



WYDANIE SPECJALNE NA WIELKANOC – 116 STRON

TYGODNIK LISICKIEGO

NR 16/319 15–22 KWIETNIA 2019

DO RZECZY

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

**SZUKAJ
EGZEMPLARZA
Z PORUSZAJĄCYM
FILMEM
FABULARNYM
O LOSACH
ŚW. PIOTRA**



ANIBALE CARACCI, „CHRISTUS UKAZUJĄCY SIĘ ŚW. PIOTROWI NA ALPIACH”

PAWEŁ LISICKI:

Tajemnica grobu św. Piotra

A PONADTO:

**Przyczajony TUSK – czy uda mu się
odbić Platformę SCHETYNIĘ**

**Między Jackiem KURSKIM
a Jarosławem KURSKIM**

**Cztery wcielenia
Zbigniewa BUJAKA**

**Wzloty i upadki ambasador
MOSBACHER**

**Elżbieta i Krzysztof ZANUSSI
całkiem prywatnie**

**Ken FOLLETT o tym, jak zostać
pisarzem i odnieść sukces**

**Ogniem i żelazem – jak Piastowie
budowali POLSKĘ**

**Ostra walka o grób generała
Francisco FRANCO**

**Marella AGNELLI – ostatnia dama
Starego Świata**



WYDANIE SPECJALNE NA WIELKANOC – 116 STRON

TYGODNIK LISICKIEGO

NR 16/319 15–22 KWIETNIA 2019

DO RZECZY

CENA 14,99 ZŁ (W TYM 8% VAT)

EGZEMPLARZ
Z PORUSZAJĄCYM
FILMEM
FABULARNYM
O LOSACH
ŚW. PIOTRA



Nr indeksu 295430

ISSN 2299-8500

ANIBALE CARACCI, „CHRISTUS UKAZUJĄCY SIĘ ŚW. PIOTROWI NA ALPIACH”

9 772299 850017

Nakład: 80 tys. egzemplarzy

PAWEŁ LISICKI:

Tajemnica grobu św. Piotra

A PONADTO:

Przyczajony TUSK – czy uda mu się
odbić Platformę SCHETYNIĘ

Między Jackiem KURSKIM
a Jarosławem KURSKIM

Cztery wcielenia
Zbigniewa BUJAKA

Wzloty i upadki ambasador
MOSBACHER

Elżbieta i Krzysztof ZANUSSI
całkiem prywatnie

Ken FOLLETT o tym, jak zostać
pisarzem i odnieść sukces

Ogniem i żelazem – jak Piastowie
budowali POLSKĘ

Ostra walka o grób generała
Francisco FRANCO

Marella AGNELLI – ostatnia dama
Starego Świata



*Zdrowych i pogodnych Świąt Wielkanocnych,
pełnych wiary, nadziei i miłości.
Serdecznych spotkań
w gronie rodziny i wśród przyjaciół.*

*Zarząd, Rada Nadzorcza
oraz Pracownicy Cedrob S.A.*





Niech Zmartwychwstanie Pańskie
przyniesie nam odrodzenie duchowe
i napetni wszystkich wiarą i spokojem
- życzy zespół tygodnika „Do Rzeczy”



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Lewicowa bezstronność

Niezmierzone są pokłady ludzkiej hipokryzji, pomyślałem, obserwując reakcje największych mediów na to, co wyrabia obecny pierwszy wiceprzewodniczący Komisji Europejskiej, Frans Timmermans. O ile polskie o jego politycznej działalności i zaangażowaniu we wspieranie Wiosny Roberta Biedronia donoszą półgębkiem i na marginesie, o tyle zachodnie nie robią tego w ogóle. A przecież to coś niebywałego: człowiek, który stoi na czele najważniejszego politycznego organu unijnego, człowiek, od którego winno się domagać bezstronności, bo ma reprezentować tzw. europejski punkt widzenia (cokolwiek to znaczy), który, co więcej, jest odpowiedzialny za spór z Polską i pozostaje w konflikcie z obecnymi polskimi władzami, dlatego szczególnie powinien trzymać się od polskiej polityki z daleka, człowiek, który chce występować jako obrońca demokracji, zasad, obiektywizmu, rozdzielania funkcji, uczciwości, przejrzystości, ten właśnie człowiek jakby nigdy nic, jakby to było normalne i zwyczajne, i powszechnie praktykowane, przyjeżdża do Warszawy i publicznie popiera Roberta Biedronia. Obaj spijają sobie z dzióbek, poklepują się, karesami i ciepłym słowem obdarzają. Mimo to, mimo że w ten

sposób pierwszy wiceprzewodniczący ośmiesza swoją rzekomą bezstronność, nic się nie dzieje. Właściwie jest cicho. Właściwie nikt się nie burzy.

Frans Timmermans ma szerokie i głębokie serce. Tak bardzo, że mieści w nim nie tylko miłość do partii Biedronia, lecz także do SLD – 6 maja ma pojawić się w Polsce znowu i wspierać kandydatów lewicy startujących z listy Koalicji Europejskiej do Parlamentu Europejskiego. Jak przeczytałem, pan Timmermans robi to, co robi, bo jest kandydatem frakcji Postępowego Sojuszu Socjalistów i Demokratów, jednej z najważniejszych grup politycznych w Parlamencie Europejskim, na nowego szefa Komisji Europejskiej.

Może to zresztą dobrze, że pierwszy wiceprzewodniczący już nie udaje bezstronnego urzędnika? Może tak jest lepiej, bardziej przejrzyste? Nic z tego, obawiam się. Otóż problem polega na tym, że postępowość i socjalizm nie są w oczach znaczącej części zachodniej opinii publicznej partykularną ideologią, ale...jedynie słusznym, powszechnym, niekwestionowanym światopoglądem. To się kiedyś nazywało „duch dziejów”. Tak jak ludzie wiedzą, że Ziemia jest okrągła, tak wiedzą (ci mądrzy w Unii), że przyszłość świata będą kształtować lewicowi postępowcy albo postępo-

wi lewicowcy. Właściwie to jedyny wybór dla Unii. Dlatego walka pana Timmermansa z polską prawicą, z wszelkiego rodzaju populistami i zwolennikami (rzekomego) autorytaryzmu nie jest aktywnością polityczną, ale niepolityczną służbą społeczeństwu.

Ktoś powie, że to, co tu opisałem, to klasyczny opis fałszywej świadomości. Że nikt nie ma monopolu na przyszłość, że reguły muszą być wspólne dla wszystkich. Ogólnie to prawda, ale dialektycznie nie. Dialektycznie to prawda, ale tylko wówczas, kiedy rządzą ci, którzy powinni. Dlatego jeśli pan Timmermans włącza się w kampanię po stronie polskiej lewicowej opozycji, wówczas robi to po europejsku i bezstronnie, a kiedy polski rząd wprowadza reformę sądów, robi to nacjonalistycznie i partykularnie. Teoretycznie fakt zaangażowania politycznego pana Timmermansa powinien podważyć i zakwestionować wszystko, co mówił i robił wcześniej w związku z praworządnością w Polsce. Teoretycznie nie można być stronnictwo bezstronnym, apolitycznym politykiem, niezaangażowanym aktywistą. A praktycznie, jeśli jest się politykiem lewicowym, można. Można występować w dwóch rolach jednocześnie i w niczym to nie przeszkadza. Kto to w końcu zauważy? ©©

NASTĘPNY NUMER „DO RZECZY” UKAŻE SIĘ WE WTOREK 23 KWIETNIA



TEMAT TYGODNIA

20 PAWEŁ LISICKI
W POSZUKIWANIU GROBU PIOTRA
Śledztwo w sprawie kości apostoła

24 ROZMOWA Z ABP. JANEM PAWEŁEM LENGĄ
TRZEBA BYĆ WIERNYM
KOŚCIOŁOWI DO KOŃCA

KRAJ

28 WOJCIECH WYBRANOWSKI
PRZYCAJONY TUSK
Kiedy były premier wróci do polskiej polityki?

31 MACIEJ PIECZYŃSKI
BRACIA KURSCY,
CZYLI PODZIELONA POLSKA

34 PIOTR SEMKA
OSTATNI AZYL ZBIGNIEWA BUJAKA

37 MARCIN MAKOWSKI
GEORGETTE MOSBACHER
– ŻYWIŁ W AMBASADZIE

40 FRAGMENTY KSIĄŻKI „ŻYCIE RODZINNE
ZANUSSICH” BARBARY GRUSZKI-ZYCH
MIŁOŚĆ TO CIĘŻKA PRACA

44 ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM SKOWROŃSKIM
MEDIA SĄ TOŻSAMOŚCIOWE

47 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
CHODZI O ŻYCIE

50 ŁUKASZ ZBORALSKI
ZROŚNIĘCI Z KATOLICYZMEM

KULTURA

52 KRZYSZTOF MASŁOŃ
ARIE NIEPODLEGŁE
Muzyczna erupcja polskości

55 ROZMOWA Z PISARZEM KENEM FOLLETTEM
PISZ KSIĄŻKI, ZAROBISZ FORTUNĘ

NIE PRZEGAP

58 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

64 ROZMOWA Z O. SANTIAGO CANTERĄ
TO BYŁA WOJNA MIĘDZY BRAĆMI
Przeor opactwa benedyktynów w Dolinie
Poległych w Hiszpanii: Jestem strażnikiem
tego wielkiego grobowca

68 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
BUDOWANIE DRUGIEJ PO-LSKI

72 ŁUKASZ WARZECHA
NADCHODZI NOWY, STRACHLIWY ŚWIAT

HISTORIA

74 JACEK KOMUDA
JAK PIASTOWIE BUDOWALI POLSKĘ
Państwo scalone ogniem i żelazem

78 PIOTR ZYCHOWICZ
JAK W WILNIE LIKWIDOWANO
KOLABORANTÓW

ŚWIAT

82 OLIVIER BAULT
DUMNY POPULISTA
Matteo Salvini – nowy lider europejskiej
prawicy?

85 TERESA STYLIŃSKA
W KRAINIE NONSENSU

EKONOMIA

90 TOMASZ WRÓBLEWSKI
ZANIM WYDRUKUJEMY
PIERWSZE POLSKIE EURO
Waluta do osłabiania innych krajów

93 JACEK PRZYBYLSKI
MILIARDERKI

96 MACIEJ PIECZYŃSKI
FABRYKA WIEDZMINÓW

STYL

100 JOANNA
BOJAŃCZYK
OSTATNIA DAMA
EUROPY
Miłość, pieniądze
i proces

SPORT

102 RADOŚŁAW
WOJTAS
NOWA MIOTŁA,
STARY KURZ
Trudne życie
trenera w Ekstraklasie

O ZDROWIU

106 ROZMOWA
Z KS. PROF. STANISŁAWEM DZIEKOŃSKIM
MEDYCYNĄ PO KATOLICKU?
UKSW zaczyna kształcić
kadry medyczne



FELIETONY: SEMKA (7), ZIEMKIEWICZ, WYBRANOWSKI (8), KOWALCZUK (10), GMYZ, GOCIEK (18), ZALEWSKI, WOLSKI (71), ZYCHOWICZ, KOPER (81), WARZECHA (88), GABRYEL, RYBIŃSKI (98), KOMUDA (108), NOWAK (112), JASTRZĘBOWSKI, MAKOWSKI (113), KATARYNA (114), ŁYSIAK (115)



Radosnych Świąt Wielkanocnych

Z okazji nadchodzących Świąt Wielkiej Nocy
Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo
życzy, aby radość zmartwychwstania była obecna
w Waszych sercach i domach

Drodzy Czytelnicy

Dziś w listach dwa bardzo poważne tematy. Dziękując za każdą wiadomość, przypominamy nasz adres e-mailowy: listy@dorzeczy.pl.

Największe zwycięstwo w dziejach świata

Wojna w Watykanie – główny temat 15. numeru „Do Rzeczy” z 8 kwietnia br. – jest dla mnie bardzo interesujący. Dziennikarze przedstawiają bowiem zagrożenia wewnątrz Kościoła, które mogą doprowadzić, a nawet już prowadzą, nie tylko do rewolucji, lecz także wręcz reformacji. Dzieje się to przy całkowitym braku zainteresowania ze strony większości katolików, dla których Kościół nie jest już czymś wartym uwagi, nie jest Matką, lecz jedynie instytucją, z której usług czasem jeszcze korzystają. [...]

Źródłem zagrożenia dla dusz ludzkich staje się na naszych oczach błędna nauka (i jej konsekwencje dla naszego zbawienia) głoszona przez samego Biskupa Rzymu i jego „progresywnych” doradców. Reformowany przez Franciszka Kościół coraz mniej przypomina ten, który istniał przez 20 wieków, upodabnia się zaś coraz bardziej do wspólnot protestanckich założonych przez Lutra czy Kalwinę, a niebędących Kościołami sensu stricto (por. deklarację „Dominus Iesus”). Nieszczęśliwe aggiornamento („udziśnienie”) ogłoszone na Soborze Watykańskim II przynosi po ponad pół wieku żałosne skutki w bardzo wielu wymiarach. Kościół zamiast być znakiem sprzeciwu wobec świata, świadczyć w porę i nie w porę o Chrystusie i Jego nauce, coraz bardziej stara się za wszelką cenę nadążyć za panującymi w nim trendami. Stara się wręcz światu przypodobać. [...]

Nie należę do entuzjastów obecnego sternika Kościoła. Już w dniu wyborów zaskoczył mnie tą chęcią „przypodobania się” wszystkim, kiedy powiedział zamiast: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”, po prostu „Dobry wieczór”. Dalej było i jest gorzej. Poprawność polityczna w ocenie niepokojących zjawisk współczesnego świata gości częściej w jego wypowiedziach. Te zresztą nierzadko są niespójne i wieloznaczne, ale niemal zawsze budzą entuzjazm lewicowych mediów, a także wielu środowisk „katolików posoborowych”.

Czy uwielbienie ze strony tłumów jest czymś złym? Samo w sobie nie. Jezus w Niedzielę Palmową także był oklaskiwany. Jednak Jego prawdziwa wielkość ukazała się w Wielki Piątek, gdy poddał policzki rwącym Mu brodę, gdy Go opluwano, bito i wyśmiewano, a On wśród nienawistnego tłumu podjął na Golgotę. Tam – po ludzku patrząc – poniósł klęskę. Mógł jej uniknąć, wyrzekając się przed Herodem wszystkim, co głosił. Albo przynajmniej starając się zawrzeć jakiś kompromis z Żydami. Nie zrobił tego i dlatego odniósł największe zwycięstwo w dziejach świata, a my możemy mieć dzięki temu udział w Jego zmartwychwstaniu.

Wojciech Zajączkowski
Łódź

Czas na debatę historyków

Oskarżenia o polski udział w zabójstwie Żydów w czasie drugiej wojny światowej („Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski”) są kwestią zbyt poważną, by pozostawić ją polemice publicystycznej (Wojciech Wybranowski, „Anatomia kłamstwa”, „DRz” 14/2019). Sprawa dojrzała do przeprowadzenia rzetelnej i rzeczowej debaty historyków poświęconej zastosowanym metodom badawczym, krytyce wyboru źródeł, ocenie pozyskanego materiału i wniosków, tym bardziej że ta publikacja wcześniej nie została poddana recenzji, a mimo to jest prezentowana jako praca naukowa. Sądzę, że debatę powinna przeprowadzić Polska Akademia Nauk jako najwyższy autorytet naukowy w kraju.

Z poważaniem
Marian Hanasz

Krzysztofowi Masłoniowi

wyrazi najgłębszego współczucia i żalu z powodu śmierci



Siostry

przyjaciele z tygodnika „Do Rzeczy”



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPÓŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan**, **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, **Piotr Gociak**, **Waldemar Łysiak**, **Krzysztof Masłoni**, **Piotr Semla**,
Łukasz Warzecha, **Rafał A. Ziemiakiewicz**
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, **Oliver Bault**, **Robert Bogdański**, **Joanna Bojańczyk**,
Grzegorz Brzozowicz, **Marek Budzisz**, **Sławomir Cenciekiewicz**,
Wiesław Chelminski, **Dominika Ćosić (Bruselo)**, **Krzysztof Czarbański**,
Piotr Gursztyn, **Maria Kądzierska**, **Katarzyna**, **Jacek Komuda**,
Sławomir Koper, **Piotr Kowalczyk (Rzym)**, **Jakub Kowalski**,
Grzegorz Kucharczyk, **Tomasz Lenkowski**, **Ewa Łosińska**, **Łukasz Majchrzyk**,
Marcin Makowski, **Monika Małkowska**, **Karolina Marchlewska-Trzmiel**,
Gabriel Michalik, **Filip Memches**, **Agnieszka Niewińska**, **Andrzej Nowak**,
Maciej Pieczyński, **Katarzyna Pinkosz**, **Witold Repetowicz**, **Agnieszka Rybak**,
Krzysztof Rybiński, **Stefan Sękowski**, **Joanna Siedlecka**, **Teresa Stylińska**,
Artur Szeremeta, **Tomasz P. Terlikowski**, **Błażej Torajski**, **Szewach Weiss**,
Piotr Włoczyński, **Marcin Wolski**, **Tomasz Wróblewski**, **Wojciech Wybranowski**,
Igor Zalewski, **Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Blanka Aleksowska**, **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak**, **Anna M. Piotrowska**, **Małgorzata Puzyr**, **Damian Lygan**, **Jan Fiedorczuk**, **Przemysław Harczuk** (także „Super Express”)

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (zespół studia), **Jakub Taniński**,
Jacek Nadratowski, **Anna Sobieska-Wojtowicz**, **Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoodbity: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**, **Anna Zalewska**, **Marzena Dobosz**,
Agnieszka Wasilewska

Rysownicy: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krzysztofa**
Okładka: **Art Media/Print Collector/Getty Images**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS

(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu nakładu podstawowego 288829

Nr indeksu nakładu z filmem 296430

Nakład 80 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyrażnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/





PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Taktyka spalonej ziemi

Jakiś czas temu, tworząc razem z Janem Hlebowiczem wywiad rzekę o moim licealnym wejściu w politykę, musiałem się rzeczy sięgać pamięcią do ponurych lat stanu wojennego. Moje gdańskie III liceum – Topolówka – było wówczas gorącym kotłem. My, młodzi, buntowaliśmy się przeciw ekipie Jaruzelskiego, a dyrekcja próbowała nas okiełznać. Gdzieś w tle był komitet wojewódzki PZPR, który naciskał na szkolną organizację partyjną, aby „coś z tym zrobić”. Były kuratorium domagające się wyjaśnień po kolejnych przerwach milczenia i wreszcie bezpieczeństwa składająca wizyty dyrektorowi szkoły. Między młotem a kowadłem byli nauczyciele. Dyrekcja zmuszała ich, by ścigali nieprawomyślne działania i zbierali rozrzucone ulotki. A oni sami musieli wybierać między naciskami z góry a obawą, by nie stracić twarzy u uczniów.

I większość zachowała się w porządku. Dla nich świadomość, że będą z każdym uczniem długie cztery lata i jakoś trzeba

zdobyć sobie autorytet w jego oczach, była ważniejsza niż gniewne tyrady dyrektora z partyjnego nadania. A z kolei my wielokrotnie nie przeciągaliśmy struny, wiedząc, że nie możemy stawiać „belfrów” w sytuacji krańcowej. Też wiedzieliśmy, że jakoś musimy ze sobą żyć i patrzeć sobie w oczy.

O tamtych czasach i kodach zachowań pomyślałem znów w minionym tygodniu, gdy szkoły zostały rozdarte w czasie egzaminów między strajkującymi a „łamistrajkami”. Przypominałem sobie tamte postawy, oglądając, jak część nauczycieli ulega modzie nagrywania filmików z piosenkami o tym, jak to krowy mają w Polsce lepiej niż nauczyciele. Relacje, jak to dla „łamistrajków”, którzy umożliwili odbycie się egzaminów gimnazjalnych, tworzone szpalery hańby. O tym, jak zakłócano pisanie egzaminów odgłosami świni i krów w wykonaniu aktywistów KOD.

Wiem, że chęć utrzymania bojowego nastroju skłania do takich pomy-

słów. Rozumiem, że materiały w „Wiadomościach” TVP o zarobkach najbardziej bojowych strajkowych dyrektorek burzą krew u protestujących. Szkoła to jednak bardzo wrażliwe miejsce, o czym pamiętali moi nauczyciele z lat 80. Środowisko, w którym każdy podział i uraz między nauczycielami pozostanie na lata. Miejsce, gdzie uczniowie uważnie obserwują swoich wychowawców w sytuacjach granicznych. Dlatego mądrzy pedagodzy unikają stawiania spraw na ostrzu noża, bo potem trzeba będzie jakoś razem żyć.

Tyle że takich mądrych pedagogów jest coraz mniej. A coraz liczniejsi są ci, którzy z rozkoszą wchodzą w stylistykę demonstracji KOD. Coraz częstsze jest przekonanie, że szczytny cel uświęca środki, że najlepiej sprzedają się zgrywa, hucpa i pójście po bandzie. Ten styl spalonej ziemi pozostawi urazy, które na długie lata podzielią szkoły. Zwolennikom permanentnej rewolucji to nie przeszkadza. Nauczycielom z powołania – powinno. ©©

NAUCZYCIELE
KONTRA RZĄD

8 kwietnia rozpoczął się strajk zorganizowany przez Związek Nauczycielstwa Polskiego i Forum Związków Zawodowych. Przystąpili do niego też: część nauczycieli z oświatowej Solidarności oraz pracownicy niezrzeszeni w związkach. Według ZNP w strajku wzięło udział trzy czwarte szkół i przedszkoli. Według MEN to ok. 50 proc. Minister edukacji Anna Zalewska podkreśliła, że za czas strajku nauczycielom nie należy się wynagrodzenie. Nauczyciel dyplomowany za każdy dzień protestu straci ok. 165 zł, a mianowany ok. 140 zł. Mimo strajku udało się przeprowadzić egzaminy uczniów III klas gimnazjalnych. (jap) ©©

RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Głuchy telefon

Do kancelarii prezydenta Dudy wpłynęła prośba o ułaskawienie zatrzymanego niedawno Marka Falenty, skazanego za zorganizowanie (wciąż nie wyjaśniono, pod czyją „kryszą”) kelnerskich podsłuchów, wystosowana przez jego rodzinę. Procedura rozpatrywania takich spraw jest określona odpowiednimi przepisami. Zanim w ogóle

z automatu poszedł do prokuratury. Mówiąc nawiasem, jest to już drugi wniosek o ułaskawienie Falenty, wcześniejszy, złożony przez jego obrońców, prezydent odrzucił.

Wydawałoby się, że z taką banalną informacją nic nie można zrobić. A tymczasem... „już się przeją mózgow szereg i wzrok się pali, i już widzimy, żeśmy kolegi nie doceniali”, jak śpiewał mistrz Młynarski. Portal Onet zrobił z niej „niosa” następującego: „Prezydent przekazał do prokuratury wniosek o ułaskawienie zatrzymanego w Hiszpanii biznesmena, Marka Falenty”.

Kto się wczytał w sam tekst, ten mógł się domyślić, o co chodzi. Orły z Ringier Axel Springer i podobnych mediów wiedzą bowiem doskonale, że większość odbiorców czyta tylko tytuły. I żeby mu od razu wskazać, co ma myśleć, dziennikarka portalu Edyta Żemła podała go w mediach społecznościowych w sposób

narzucający jednoznaczną interpretację: prezydent ułaskawia Falentę. Dalej już medialny głuchy telefon działa sam. Ułaskawia, no bo wiadomo, Falenta zorganizował „nielegalne podsłuchy”, które utopiły PO, teraz mamy dowód, że ta sprawa była PiS-owską intrygą etc., etc.

Ten mechanizm fabrykowania fejków, które w najlepsze krążą i są cytowane w mediach, mimo iż wielokrotnie je sprostowano i wyjaśniono mechanizm manipulacji, stał się już sposobem codziennego funkcjonowania mediów „totalnej opozycji”. „PiS daje pięćset na krowy i świnię, a nauczycielom nie chce” czy klasyczny już „gorszy sort” albo „opcja niemiecka”... Nic to nie ma wspólnego z dziennikarstwem, ale wszystko – z opierającą się na kreowaniu za każdą cenę i w każdy możliwy sposób negatywnych emocji propagandą. W jej najobrzydliwszym, goebbelsowskim wydaniu. ©©

Mechanizm manipulacji stał się już sposobem codziennego funkcjonowania mediów „totalnej opozycji”

zajmie się nią prezydent, wniosek odsyłany jest do prokuratury celem wydania opinii o sprawie. Dopiero razem z tą opinią sprawa wraca do Kancelarii Prezydenta RP.

Nie inaczej stało się i tym razem – wniosek w sprawie Falenty

WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Notowania prezydenta

Im bliżej podwójnych: euro-parlamentarnych i sejmowych wyborów w Polsce, tym mocniej w kuluarach Prawa i Sprawiedliwości słychać plotki „co po”. W samodzielne rządy PiS w kolejnej kadencji wierzą w tym ugrupowaniu tylko coraz mniej liczni optymiści, w rządzie koalicyjnym potrzeba będzie silnego premiera, co może oznaczać, że na jego czele stanie Jarosław Kaczyński, a to z kolei oznaczałoby też potrzebę wyłonienia przyszłego delfina prawicy „na zaś”.

Nikt też w środowisku partii z Nowogrodzkiej nie ma wątpliwości, że polityczne ambicje prezy-

denta Andrzeja Dudy nie kończą się na wygraniu drugiej kadencji prezydenckiej, stąd co jakiś czas wykonuje on gesty mające udowodnić: „Jestem gotów”.

Tak chyba trzeba traktować walkę Andrzeja Dudy o zwiększenie wpływów jego obozu w telewizji publicznej – nieoficjalną groźbę weta nowelizacji ustawy abonentowej i próbę umieszczenia swoich ludzi w zarządzie TVP. Sęk w tym, że obóz prezydencki walkę totalnie przegrał – Piotr Pałka bliski prezydentowi popełnił strategiczne błędy w tej rozgrywce, a to w efekcie poskutkowało złożeniem przez niego dymisji, a popierana

przez „duży pałac” Marzena Paczuszka została – o czym w ubiegłym tygodniu pierwsi pisaliśmy na portalu DoRzeczy.pl – odcięta od wpływu na serwisy informacyjne, w tym „Wiadomości”.

Desant ludzi prezydenta w telewizji publicznej zakończył się fiaskiem, choć teoretycznie nie była to mission impossible. Rzecz w tym, że każda decyzja w tej sprawie osłabiająca pozycję ludzi prezydenta w TVP, jak mówią na Nowogrodzkiej, była autoryzowana przez prezesa PiS, co oznaczałoby, że w kategorii potencjalnych delfinów Andrzej Duda nie ma dziś u niego wysokich notowań. ©©



FOT. HENRY NICHOLS/REUTERS/FOPIA



Gdy 29 czerwca 2012 r. ścigany przez służby Australijczyk uzyskał azyl w niewielkiej ambasadzie Ekwadoru w centrum Londynu, był pewnym siebie młodym człowiekiem. Kiedy w zeszły czwartek władze w Quito zezwoliły obcym służbom na wejście na teren swojej londyńskiej ambasady, na schodach ukazał się mocno podstarzały osobnik, przypominający pustelnika.

– To jest bezprawne. Nigdzie nie idę – bezsilnie wykrzykiwał, przemocą wyciągany przez agentów, Assange, dodając: „Wielka Brytania, musisz stawiać opór!”.

– Zgodnie z naszym przywiązaniem do praw człowieka oraz prawa międzynarodowego poprosiłem Wielką Brytanię, by zagwarantowała, że Assange nie zostanie poddany ekstradycji do państwa, w którym może być torturowany lub skazany na karę śmierci – podkreślił w wystąpieniu telewizyjnym Lenin Moreno. Nowy prezydent Ekwadoru w zeszłym roku zapoczątkował zbliżenie między Ekwadorem a USA.

I to właśnie na wniosek Amerykanów formalnie 46-letni (choć wyglądający już na 60-latkę) Julian Assange został w zeszły czwartek aresztowany. W 2010 r. WikiLeaks opublikowało bowiem wiele zastrzeżonych dokumentów CIA oraz tysiące poufnych i tajnych not dyplomatycznych, które portalowi przekazał były amerykański analityk wywiadu Bradley Manning (obecnie pani Chelsea Manning).

Za największy wyciek zastrzeżonych informacji w historii Ameryki, który naraził na niebezpieczeństwo życie amerykańskich tajnych agentów zarówno w Iraku, jak i Afganistanie oraz innych krajach świata, w Stanach Zjednoczonych Assange'owi mogłaby grozić nawet kara śmierci. Brytyjski sąd może jednak postawić warunek, iż zgodzi się

Po siedmiu latach ukrywania się w ambasadzie Ekwadoru twórca portalu WikiLeaks trafił w ręce agentów brytyjskich służb

na ekstradycję Australijczyka pod warunkiem, że Amerykanie zagwarantują, iż nie będą żądać dla Assange'a najwyższego wymiaru kary. Na razie Amerykanie zarzucają twórcy WikiLeaks, że wszedł w zмовę z Manniנגiem w celu włamania się do rządowej sieci komputerowej. Za ten czyn grozi do pięciu lat więzienia. Mimo to prawna batalia związana ze zgodą na ekstradycję może potrwać do 2020 r.

Jednocześnie służby i dziennikarze szukają odpowiedzi na pytanie, kim naprawdę jest Julian Assange. Dla jednych to perfidny agent Kremla, który

został wykorzystany przez Moskwę w przeprowadzeniu operacji uderzającej w Zachód. Dla drugich to zwykły narcyz i mitoman, który aby zaspokoić przerośniętą ambicję, naraził na śmierć wielu zagranicznych informatorów. Dla jeszcze innych założyciel WikiLeaks to walczący o prawdę wizjoner, idealista i bohater, który nie bał się wypowiedzieć otwartej wojny rządowi USA oraz wielkim korporacjom i który na nowo zdefiniował termin „dziennikarz śledczy”. Assange od dziecka był dobry z matematyki. Jako nastolatek uzależnił się od komputera, a w wieku

16 lat zdobywał pierwsze szlify w hakerskim fachu. W 2006 r. założył serwis WikiLeaks, który przez kilka lat ujawnił więcej tajnych dokumentów niż media na całym świecie razem wzięte. Za swoją działalność zdobył m.in. nagrodę Amnesty International i tytuł Człowieka Roku tygodnika „Time”.

Prawnicy Assange'a ostrzegają, że jeśli ich klient zostanie wydany do USA i usłyszy zarzuty, wówczas będzie to groźny precedens dla wszystkich mediów na świecie. – Oznaczałby on, że każdy dziennikarz może zostać wydany do USA za opublikowanie prawdziwych informacji o Ameryce – przekonywał przed londyńskim sądem prawnik Jen Robinson.

Jacek Przybylski

© © Wszelkie prawa zastrzeżone


PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Nowy wspaniały świat

Oto krzepiąca powiastka o ludzkiej przyjaźni, miłości, solidarności i bohaterstwie w panujących nam szczęśliwie czasach LGBT+, którą z gardłem ściśniętym wzruszeniem opowiada światu postępową prasę – od „Guardiana” przez „HuffPost” do „La Repubblica”. Pewnie tak zaczynały się „Kandyd”, a raczej „Kandyda”, gdyby Wolterowi przyszło żyć dziś. Rzecz wydarzyła się naprawdę i niedawno w Nebrasce.

Pani Cecile uważa, że wszystkie koszty prokurowania dzieci parom gejowskim powinno pokrywać ubezpieczenie zdrowotne, i zamierza o to walczyć

Dwóch panów (z Omahy) Matthew i Elliot pobrało się i postanowiło powiększyć rodzinę. Z pomocą w pokonaniu zasadniczej przeszkody przyszli bliscy. Matthew dostarczył spermę, a komórkę jajową – siostra Elliota. Zarodek umieszczono w macicy 61-letniej Cecile, matki Matthew, która wydała potem na świat własną wnuczkę Umę Louise. Tego w dziejach najlepszego z możliwych światów jeszcze nie było.

Poznajcie bohaterkę!” – zatytułował swój fotoreportaż poświęcony babci „HuffPost”. Jak tłumaczy doktor Carolyn Doherty, która sprawowała pieczę nad epokowym eksperymentem, bohaterstwo polega na tym, że 61-letnia kobieta wiele ryzykowała. Mogła np. dostać zawału. Miłość wzięła jednak górę. Mamobabcia wyznała, że chciała zrobić prezent ukochanemu synowi, ale też wyrazić solidarność z „dyskryminowanymi parami gejowskimi, które chcą zaspokoić potrzebę ojcostwa”.

Podarunek kosztował w sumie 40 tys. dol. Pani Cecile ma ogromną satysfakcję, że nie trzeba było płacić za usługę matce-surogatce, co w USA kosztuje od 25 do 35 tys. dol. A tak wszystko pozostało w rodzinie. Co więcej – podkreśla – gdyby taka surogatka z powodu komplikacji ciążowych się rozchorowała i trafiła do szpitala, rodzinę czekałaby ruina finansowa. Pani Cecile uważa, że wszystkie koszty prokurowania dzieci parom gejowskim powinno pokrywać ubezpieczenie zdrowotne i zamierza o to walczyć.

Jeśli kogoś oburza brak empatii babci wobec chorej surogatki, to jest w błędzie. Przecież jeśli doszłoby do najgorszego, zawsze jest wyjście: eutanazja za jedyne 5–7 tys. dol. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.


MIEDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Uroki propagandy

Język epoki słusznie minionej – czy to przez komedie Barei, czy przez dyskretny urok nostalgii za latami młodości – przenika również do współczesnej polityki. Twitter nie jest tutaj wyjątkiem, a czasami wręcz wyznacza trendy. Ot, choćby:

„»Jarkowe« robi furorę! Seniorzy zadowoleni z pomysłu prezesa PiS: To Jarek dał! Brawo tylko bić!” – pisze portal WPolityce.pl o pomysły 13. emerytury.

A skoro Jarek dał, to coś za to będzie można kupić. Z pomysłem kulinarnym przychodzi kancelaria premiera. „Premier Morawiecki w Sejmie: Nasza wołowina jest najlepiej przebadaną wołowiną w Unii i nasza wołowina jest najsmaczniejsza”.

W tyle nie zostaje bliska klasy robotniczej opozycja. „Lublin–Warszawa. Robert Biedroń jak tysiące Polek i Polaków jedzie zwykłym busem. Niecodzienny widok, gdy jeden z czołowych polskich polityków wybiera transport zbiorowy, bez obstawy ochroniarzy, bez ustawek z mediami. #NormalnaPolska #NareszcieZmiana” – napisał dumnie jeden z działaczy Wiosny.

Czasami polityków zawstydzić mogą jednak media. „Adam Michnik – człowiek, który siedział w PRL-owskim więzieniu, bo uparcie walczył o wolną Polskę. Patriota i jeden z ojców naszej demokracji. To dla mnie zaszczyt, że od wielu lat jest moim szefem” – wyznała Dominika Wielowieyska z „Gazety Wyborczej”.

Na szczęście mamy również sól Twittera – wszelkiej maści ironistów i prześmiewców, którzy nie przepuszczą nawet dopłat do trzody i bydła. „Jak taki nauczyciel co ma 2000 netto dorzuci kolejne 2000 za czwórkę dzieci, 1500 za 15 tuczników na słomie i 2500 za pięć krów wyprowadzanych na osiedlowe pastwisko, to dobije do 8000 i ma życie jak w Madrycie. Tylko trzeba chcieć” – stwierdził docent Jerzy Gątarz. „Żądam 500+ na książki!” – zaproponował Rafał Dudkiewicz. „Niemieckie krowy przekraczają Odrę i Nysę Łużycką, by skorzystać z polskiego programu #KrowaPlus” – poinformował Wypalony Wikary. ©©

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski



STRAŻNIK PAMIĘCI

2019

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER
STRATEGICZNY



PARTNERZY



FOT. LUKASZ SZELĄG/REPORTER



PAPIER WSZYSTKO PRZYJMIE?

Karolina Szostak, dziennikarka sportowa, która została celebrytką po tym, jak znacząco schudła w krótkim czasie, odcina

kupony od swoich pięciu minut sławy. Właśnie oznajmiła, że pisze kolejną, czwartą już chyba książkę. Tym razem nie o odchudzaniu, ale także poradnik i też dotyczący zdrowia.

– Kolejna książka jest w planie, ale nie chcę zdradzać szczegółów. Z Martą skupimy się na chorobie cywilizacyjnej, którą – mam wrażenie – ma wiele kobiet z mojego pokolenia. Chodzi o niedoczynność tarczycy – powiedziała. Przy okazji nawiązała też do swojej wagi, informując, że cały czas trzyma dietę. – Są tacy, którzy piszą, że to niemożliwe, że tyle schudłam, i na pewno sobie coś zrobiłam. Wiadomo, że nie przekonam nikogo, dopóki ten ktoś sam nie sprawdzi. Sama weszłam już w piąty tydzień postu. Dobrze się przy tym czuję i utrzymuję wagę, a to dla mnie jest najważniejsze – podkreśliła. Cieszymy się ogromnie, że pani Karolina dobrze się czuje i utrzymuje wagę. Tylko czy nie dałoby się jej utrzymywać w tajemnicy zamiast w książkach i gazetach?

DAJCIE JEJ JAKIŚ KONTRAKT!

Weronika Rosati rozpacza, że odkąd zaczęła w mediach opowiadać o swoim nieudanym związku, w którym miały mieć miejsce przemoc i inne złe rzeczy (jej partner zaprzecza), straciła kontrakty reklamowe, na które liczyła.

– Kiedy gwiazda nie ma życia ułożonego „jak w bajce”, idealnego małżeństwa i pięknych dzieci, wtedy nie może liczyć na kontrakty. To jest największy paradoks, bo kiedy ja zdałam sobie sprawę, że będę musiała ze wszystkim radzić sobie sama, to pomyślałam, że takie kontrakty bardzo by mi się przydały – wyznała w magazynie „Party”. – Złości mnie to, że firmy, które propagują kobiecość, wycofują się tylko dlatego, że śmiałam powiedzieć, że jestem ofiarą przemocy – dodała. Za to wywiadów z Weroniką przybywa z dnia na dzień. A im ich



FOT. MONIKA GONCZAREK/REPORTER

więcej, tym bardziej trzymamy kciuki za jakiś udany kontrakt Weroniki. Najlepiej taki długi i czasochłonny!

CZYSTA POEZJA

Tymczasem miłość Moniki Richardson-Zamachowskiej i jej męża Zbigniewa kwitnie. Niby Monika od jakiegoś czasu stara się ograniczać swoją aktywność medialną i opowieści o Zbyszk, bo zaczęło do niej w pewnym momencie docierać, że bardzo to szkodzi im obojgu, to są momenty, w których mimo wszystko nie potrafi się powstrzymać. I te momenty lubimy najbardziej! Ostatnio na Instagramie Monika pochwaliła się wierszem, który Zbyszek napisał na jej cześć. Zacytujemy w całości:

**Nad ranem z Kościelnej Hłokini
Wyłania się z piany bogini
Ma na imię Monika,
nagle a-psik! I znika
I znów człek się do się sam ślini
Moniczce – Zbysław.**

Naszym zdaniem to talent co najmniej na miarę Isabel Marcinkiewicz!

A gdyby tak wspólnie wydali tomik poezji? Zostawiamy pani Monice pod rozważę. Zwłaszcza że w ramach promocji mogłaby paru wywiadów udzielić. Czekamy z niecierpliwością.

ŚWIAT PRZED STOPAMI

Marina Szczęśna, żona bramkarza reprezentacji Wojciecha Szczęsnego, po raz kolejny postanowiła ponarzekać, jak niesprawiedliwe jest to, że media widzą w niej tylko żonę swojego męża. – Ja jestem osobą bardzo pracowitą, chociaż wrzucono mnie do worka WAGs – żali się w telewizji śniadaniowej. – Dziesięć lat temu postrzegano mnie jako dziewczynę, która osiągnie sukces, tak mi wróżyło, a potem gdzieś tam... Ja nawet nie śmiem nazywać siebie aktorką, ale jestem piosenkarką, skończyłam szkołę muzyczną – chwali się Marina. Okazuje się, że Marina będzie miała okazję, by podszlifować talenty aktorskie. W reaktywowanym właśnie przez TVN serialu „39 i pół” ma znów grać córkę głównego bohatera Amandę. Celebrytka jest zachwycona i z rozrzewnieniem wspomina dawne czasy, gdy grała w tym serialu. – Jestem mega podekscytowana. Jak tylko dostałam tę propozycję, to przypomniało mi się to wszystko, te emocje – opowiada. Co prawda narzeka, że głos ma już nie ten, bo przeszła operację strun głosowych, ale pośpiewać w serialu da radę. – Jak się rozśpiewywałam, to poczułam tamtą energię, tamtą dawną wariatkę Amandę. Te czasy, kiedy byłam gotowa totalnie na wszystko, kiedy myślałam, że cały świat stoi przed moimi stopami – mówi. Skoro Marina nadal bryluje w mediach, to świat rzeczywiście stoi, ale na głowie. ©©

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, dotarły do nas wieści, iż Kaczafi obiecał „500+” na każdą osobokrowę. To z jednej strony of kors konieczny gest postępu, za który nie zamierzamy Kaczafiego chwalić, ale z drugiej strony – jest to zrównanie osobokrowy i ludzkich osobodzieci. Dlaczego nie możemy choćby symbolicznie pokazać, iż nie musimy w każdej sytuacji być tacy antropocentryczni i przekazać na osobokrowę choćby to „501+”?

Poza tym obawiamy się, iż zasiłek na osobokrowę to przywilej głównie dla elektoratu zamieszkującego małe ośrodki, a nawet wsie. Nasz kolektyw nie posiada osobobydła, a nawet jeśli chcielibyśmy takie mieć, to nie zmieści się w naszej kawalerce. W tej sytuacji rząd powinien więc dofinansować nam kotoosobę Dyskursu lub przynajmniej balkonową uprawę kiełków sushi. Dodatkowe hajsy na domowe

osobozwierzę lub nawet paprotkę nam się po prostu należą!!!

Jesteśmy zażenowani tym, co w niemieckiej, podkreślmy – niemieckiej, lidze piłkarskiej wyprawia Robert Lewandowski. Otóż strzelił tam ponad 200 goli, a strzelił pewnie więcej, wyprzedzając kolejnych Niemców na liście najsukuteczniejszych piłkarzy w historii Bundesligi. Jakoś nie słyszymy narzekania, iż emigrant Lewandowski odbiera Niemcom osiągnięcia. My jednak jesteśmy głęboko oburzeni i zawstyżeni, iż Polak musi rozpychać się w niemieckiej lidze i pokazywać wszystkim, jaki to on nie jest skuteczny. W dodatku to niebezpieczne, iż rozbudza demony polskiego nacjonalizmu, i to jeszcze wobec kogo... :(

Tylko kilka dni dzieli nas od Spring Holidays, czyli tzw. Wielkanocy. Czy z tej okazji

planujecie pojechać na kilka dni do małych ośrodków, odwiedzić swoje osoby płodzące oraz nawieźć stoików? Musicie wiedzieć i być gotowymi na to, iż osoby płodzące mogą próbować zapędzić was na churching trwający od czwartku do poniedziałku włącznie. Poza tym będziecie zmuszani do zjadania jajek, szynki, żurku i innych niewęgańskich potraw. Wszystko to może poważnie naruszyć waszą neutralność światopoglądową. Zresztą w tym kraju nadal obowiązuje nazwa „Wielkanoc”, która w oczywisty sposób dyskryminuje inne noce, iż wyróżnia jedną konkretną ich kosztem. O Spring Holidays nikt tu nawet nie słyszał, a o tym, iżby zastąpić żurek zupą z wodorostów – nie pomyślał. ©

f FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

REKLAMA

POBYTY Z ZABIEGAMI

w Ciechocinku „Pod Tężniami”

Leczymy m.in.:

- bóle kręgosłupa i dyskopatie
- bóle mięśni i stawów oraz zmiany przeciążeniowe
- stany po urazach i operacjach ortopedycznych
- schorzenie zwane ostrogą piętową
- łokieć tenisisty i golfisty
- nietrzymanie moczu
- stany po udarach mózgu

**posiłki bez limitu - bufet
25 zabiegów na 7 dni pobytu**

- dwa badania lekarskie
- wstęp na basen oraz do zespołu saun do 90 min. dziennie
- seans w Komnacie Solnej do 45 min. co drugi dzień
- wstęp na wszystkie imprezy kulturalno-rozrywkowe

**Tygodniowe lub dłuższe pobyty w terminie:
23.04 - 23.06 oraz 23.06 - 29.09.2019 r.**



**Klinika Uzdrowskowa
„Pod Tężniami” im. Jana Pawła II**
ul. Warzelnińska 7, 87-720 Ciechocinek
www.podtezniami.pl

tel. 54 416 70 00

Jaka jest różnica między kredytem a pożyczką? Czy wybrać oprocentowanie stałe czy zmienne? Kiedy korzystniejsze są raty równe, a kiedy malejące? Dlaczego opłaca się wcześniej splota?



Terminy „kredyt” i „pożyczka” często bywają używane zamiennie. Trzeba jednak zdawać sobie sprawę, że pod względem formalnym są to zupełnie inne pojęcia, regulowane przez odmienne akty prawne. Kredyt i pożyczka różnią się również tym, że kredytodawcami mogą być jedynie banki lub SKOK-i, natomiast pożyczkodawcami mogą być nie tylko instytucje finansowe, lecz także osoby prywatne.

KREDYT ŚCIŚLE OKREŚLONY

Zasady funkcjonowania i udzielania kredytu reguluje Prawo bankowe. Zgodnie z zapisami tej ustawy „przez umowę kredytu bank zobowiązuje się oddać

Jak mądrze pożyczać?

W treści umowy powinny się znaleźć (oprócz kwoty, waluty i celu kredytu) m.in. zasady i terminy zwrotu środków, informacje na temat warunków dokonywania zmian umowy i formy zabezpieczenia spłaty (np. hipoteka lub weksel) oraz dane dotyczące wynagrodzenia, które bank pobiera za udzielenie kredytu – odsetek, opłat i prowizji. Podmiotami udzielającymi kredytu w Polsce są banki i SKOK-i. Działalność tych podmiotów jest ściśle nadzorowana przez organ nadzoru finansowego – Komisję Nadzoru Finansowego (KNF), a przez to regulowana licznymi wymogami prawnymi i restrykcjami.

POŻYCZKA, CZYLI MNIEJ FORMALNOŚCI

Zasady funkcjonowania pożyczek określa Kodeks cywilny, zgodnie z którym pożyczki może udzielić osoba fizyczna lub prawna (w tym bank), a jej przedmiotem mogą być zarówno środki pieniężne, jak i rzeczowe, będące w posiadaniu pożyczkodawcy.

Pożyczkodawca przenosi na pożyczkobiorcę własność pieniędzy lub rzeczy oznaczonych co do gatunku, a po ustalonym czasie otrzymuje zwrot tej samej ilości środków pieniężnych czy tego samego rodzaju rzeczy. Pożyczyć możemy więc nie tylko od banków, lecz także np. od znajomych lub rodziny, czy też od instytucji pozabankowych. W przypadku drobnych kwot umowa pożyczki może być zawarta w formie dowolnej, w tym ustnej. W przypadku umów o wartości przekraczającej 1000 zł umowa powinna być sporządzona na piśmie. W odróżnieniu od kredytu, pożyczkobiorca nie musi deklarować celu, na jaki potrzebuje pieniędzy. Nie ma także obowiązku zapłaty wynagrodzenia za zaciągnięcie pożyczki – odpłatność w tym przypadku zależy tylko od ustaleń stron; dowolna jest też jej ewentualna wysokość.

Pożyczka jest więc pojęciem szerszym niż kredyt. Mniej wymogów formalnych i restrykcji z nią związanych oznacza nie tylko większą swobodę, lecz także – zwłaszcza w przypadku instytucji pozabankowych – większe niebezpieczeństwo zawarcia umowy obciążonej bardzo wysokimi kosztami obsługi zadłużenia.

ZDOLNOŚĆ KREDYTOWA

Każda osoba wnioskująca o kredyt podlega, przeprowadzanej przez bank, obowiązkowej procedurze badania zdolności kredytowej. Określenie zdolności kredytowej ma chronić interes zarówno

banku udzielającego zobowiązania, jak i samego kredytobiorcy. Bank musi mieć pewność, że kredytobiorca będzie w stanie wywiązać się z umowy i w określonym czasie spłacać raty. Procedura jest też korzystna dla osoby zaciągającej kredyt – zbyt wysoka kwota comiesięcznego obciążenia mogłaby bowiem wpłynąć na znaczne pogorszenie jej sytuacji finansowej i w konsekwencji doprowadzić do wpadnięcia w tzw. spiralę zadłużenia.

Czym zatem jest zdolność kredytowa? To możliwość spłaty zaciągniętego kredytu wraz z odsetkami, w terminach określonych w umowie. Analizę zdolności kredytowej wykonują pracownicy instytucji finansowych. Jakie dane biorą pod uwagę? Podstawą są uzyskiwane dochody, od których odejmuje się miesięczne koszty utrzymania (czynsz, stałe rachunki, opłaty za media itp.) oraz aktualne zadłużenie, np. spłacane kredyty, wartość zadłużenia na kartach kredytowych, dostępne limity na rachunku bankowym, poręczone znajomym kredyty.

W kolejnym etapie analizy bank sprawdza dane, które wpływają na ocenę skłonności potencjalnego kredytobiorcy do wywiązywania się z zaciągniętych zobowiązań. Pod uwagę bierze się cechy osobowe takie jak wiek, stan cywilny, liczbę osób będących na utrzymaniu, status mieszkaniowy i majątkowy, wykształcenie, formę umowy o pracę (wyżej punktowana jest umowa na czas nieokreślony), staż pracy, wykonywany zawód i zajmowane stanowisko.

HISTORIA KREDYTOWA

Innym ważnym aspektem analizy jest sprawdzenie historii kredytowej, która pokazuje, czy dana osoba sumiennie spłacała zaciągnięte wcześniej zobowiązania finansowe. Informacje na temat wszystkich produktów kredytowych, z których korzysta dany Polak, są gromadzone m.in. w Biurze Informacji Kredytowej (BIK). Jeżeli wszystkie kredyty spłaca się na czas, to wówczas ma się dobrą historię kredytową w BIK. Biuro może być więc przydatnym źródłem informacji zarówno dla banku oceniającego potencjalnego klienta, jak i dla osoby planującej zaciągnięcie kredytu czy pożyczki.

Co ważne, dostęp do danych dotyczących obsługi własnych zobowiązań kredytowych mają nie tylko instytucje finansowe, w których ubiegamy się o kredyt, lecz także każdy z nas. Warto zatem już na etapie planowania zaciągnięcia kredytu

do dyspozycji kredytobiorcy na czas oznaczony w umowie kwotę środków pieniężnych z przeznaczeniem na ustalony cel, a kredytobiorca zobowiązuje się do korzystania z niej na warunkach określonych w umowie, zwrotu kwoty wykorzystanego kredytu wraz z odsetkami w oznaczonych terminach spłaty oraz zapłaty prowizji od udzielonego kredytu”.

Ustawodawca zastrzega więc, że przedmiotem umowy są zawsze pieniądze. Środki z kredytu muszą być przeznaczone na konkretny cel (stąd kredyty np. hipoteczne, konsumpcyjne, inwestycyjne), jego udzielenie jest odpłatne, a umowa musi mieć formę pisemną.

FOT. ADRIEN STICK

■ zweryfikować swoją historię w BIK. Może się bowiem okazać, że zapomniane zadłużenie na karcie kredytowej negatywnie wpłynie na naszą ocenę w zakresie możliwości regularnej spłaty zobowiązań. Sprawdzając te informacje wcześniej, mamy szansę spłacić zaległe zadłużenie, zanim bank zgłosi się do BIK po informacje na nasz temat.

Każdy konsument ma prawo raz na sześć miesięcy sprawdzić bezpłatnie, jakie dane na nasz temat przechowuje Biuro Informacji Kredytowej. Wystarczy złożyć wniosek o tzw. kopię danych poprzez konto utworzone na portalu BIK lub osobiście w centrum obsługi klienta BIK lub przesyłając go pocztą. Warto zgłosić się po taki dokument choćby po to, aby sprawdzić, czy nikt podszywając się pod nas, nie zaciągnął kredytu, a także by w razie potrzeby skorygować nieprawidłowe dane.

Wniosek o bezpłatną informację o zgromadzonych na nasz temat danych raz na pół roku można żądać również od innych instytucji badających terminowość spłat kredytów, takich jak np. Krajowy Rejestr Długów BIG czy Krajowe Biuro Informacji Gospodarczej.

Najlepszym sposobem na zbudowanie pozytywnej oceny kredytowej jest terminowe spłacanie zobowiązań. Jednocześnie im więcej mamy terminowo uregulowanych spłat w swojej historii, tym lepszą uzyskamy ocenę. Brak jakichkolwiek wpisów odnoszących się do potencjalnego kredytobiorcy oznacza, że jest on mniej wiarygodny dla banku od osoby, która od lat rzetelnie spłacała różnego rodzaju kredyty.

Aby zbudować pozytywną historię w BIK, można np. rozłożyć na raty zakup drobnego sprzętu elektronicznego, zaciągając kredyt gotówkowy. Podobną rolę będzie odgrywał posiadany wcześniej limit debetowy na rachunku bankowym. Przed złożeniem wniosku o nowy kredyt najlepiej spłacić wszelkie zobowiązania, włączając w to raty za zakupy w sklepach czy zadłużenie na karcie kredytowej.

Pożyczki „bez BIK”, funkcjonujące w obiegu pozabankowym, choć bardzo powszechne i łatwo dostępne, stwarzają wiele niebezpieczeństw związanych z dowolnością kształtowania ich kosztów i mechanizmów spłaty. Zazwyczaj są obciążone wysokimi odsetkami, opłatami dodatkowymi i prowizjami, dlatego są znacznie droższe niż kredyt w banku (piszemy o tym poniżej).

Uważać należy też na firmy oferujące tzw. czyszczenie BIK – jak informuje Biuro Informacji Kredytowej, z bazy BIK nie można usunąć danych kredytowych klientów. BIK nie modyfikuje bowiem danych przekazywanych przez instytucje finansowe, a jest jedynie ich administratorem. Każdy klient ma jednak możliwość złożenia wniosku o korektę nieprawdziwych lub nieaktualnych informacji – trzeba go jednak złożyć do instytucji finansowej, która przekazała te dane do BIK.

LEPSZE RATY RÓWNE CZY MAŁEJĄCE?

Nawet jeżeli bank stwierdził, że mamy wystarczającą zdolność kredytową, aby otrzymać dany kredyt, to warto pamiętać, że wysokość raty może się wahać w zależności od sytuacji na rynku finansowym.

Tutaj pojawia się pytanie, czy zaciągając wieloletni kredyt hipoteczny, wybrać oprocentowanie stałe czy też zmienne. Oprocentowanie stałe, choć zazwyczaj wyższe niż zmienne, ma ten plus, że rata jest stała co miesiąc, niezależnie od rynkowych zawirowań i możliwego wzrostu stóp procentowych.

Kredyt ze stałym oprocentowaniem przez cały okres spłaty nie jest obecnie oferowany przez żaden polski bank. Można jednak skorzystać z ofert kredytów o stałej stopie procentowej w okresie zazwyczaj do pięciu lat. Po tym okresie kredyt może mieć oprocentowanie zmienne lub stałą stawkę na kolejne pięć lat. Tego typu oferty należą jednak w naszym kraju do rzadkości.

Najczęściej banki w Polsce oferują kredyty hipoteczne o oprocentowaniu opartym na stopie z rynku międzybankowego (WIBOR), powiększonym o marżę. Decydując się na taki kredyt, warto pamiętać,

Zaciągając kredyt hipoteczny, można wybrać oprocentowanie zmienne lub stałe

że zmiana wysokości stóp procentowych może zwiększyć comiesięczną ratę nawet o kilkaset złotych. Przed zaciągnięciem kredytu warto dobrze sprawdzić budżet domowy i policzyć, czy bylibyśmy gotowi na to, aby poradzić sobie z wyższymi ratami – jeśli nie, to należy obniżyć kwotę kredytu, o który się staramy.

Pożyczając pieniądze, warto też wiedzieć, że raty kredytu składają się z dwóch części: kapitałowej (dzięki niej systematycznie zmniejszamy saldo zadłużenia wobec kredytodawcy) oraz odsetkowej (ten element stanowi zapłatę za pożyczanie pieniędzy).

Oferując kredyt hipoteczny, banki dają kredytobiorcom wybór, czy wolą spłacać go w ratach równych czy malejących (w przypadku krótkoterminowych kredytów konsumpcyjnych i pożyczek gotówkowych wyjątkowo rzadko zdarzają się oferty z możliwością spłat w ratach malejących).

Najbardziej popularne wśród klientów banków są raty równe (annuitetowe). Charakteryzują się one tym, że ich wysokość pozostaje niezmienna w całym okresie kredytowania lub do momentu zmiany stopy procentowej. W przypadku zmiany wysokości oprocentowania wysokość rat obliczona jest na nowo – wzrost stopy procentowej wpłynie na podwyższenie wysokości raty, a jej spadek na obniżenie wysokości miesięcznej raty – i obowiązuje do końca okresu kredytowania lub do kolejnej zmiany stopy procentowej. W przypadku rat równych zazwyczaj przez pierwsze lata większą część raty równej stanowią odsetki, a dopiero później większość stanowi już część kapitałowa. Raty równe mogą więc stanowić dobre rozwiązanie dla osób z niższą zdolnością kredytową.

Raty malejące (kapitałowe) są w pierwszych latach sporo wyższe od rat równych. Co miesiąc spłacamy jednak taką samą część pożyczonego kapitału, przez co każda kolejna rata jest niższa od poprzedniej. Znacznie szybciej niż w przypadku rat równych zmniejsza się również nasze saldo zadłużenia, a co za tym idzie – w przypadku rat malejących całkowity koszt kredytu jest istotnie niższy niż w przypadku wyboru rat równych.

Różnica jest tym większa, im dłuższy jest okres spłaty. Wybór tego typu rat jest więc korzystny dla tych osób, które np. planują wcześniejszą spłatę kredytu. Dodatkową zaletą jest też większy komfort psychiczny kredytobiorcy, który z miesiąca na miesiąc żyje z istotnie mniejszym długiem. Wadą takiego rozwiązania jest jednak znacznie wyższe obciążenie domowego budżetu w pierwszych latach spłaty kredytu. Można je więc polecić głównie tym osobom, których dochody są wystarczająco wysokie. Trzeba także pamiętać, że raty

malejące wymagają wyższej zdolności kredytowej.

Kredytobiorca ma również prawo do wcześniejszej spłaty kredytu – zarówno w całości, jak i dowolnie ustalonej przez siebie części. Dzięki temu kredyt staje się tańszy, bo bank nalicza wówczas odsetki od niższej kwoty zobowiązania.

Zazwyczaj banki pobierają prowizję za wcześniejszą spłatę kredytu. Wysokość ewentualnych kosztów, które trzeba ponieść, musi być zapisana w umowie kredytowej i należy je uwzględnić przed podjęciem decyzji o wcześniejszej spłacie.

CO W PRZYPADKU BRAKU ZDOLNOŚCI KREDYTOWEJ?

Jeśli wniosek o kredyt zostanie odrzucony z powodu braku zdolności kredytowej, to potencjalny kredytobiorca ma kilka możliwych rozwiązań. Przede wszystkim może zmienić parametry kredytu, czyli np. zmniejszyć kwotę kredytu. Dzięki temu obniżeniu ulegnie wysokość comiesięcznego zobowiązania uszczuplającą dostępny budżet. Z tego samego powodu dobrze jest także zlikwidować niepotrzebne karty kredytowe lub wypowiedzieć umowy na limity w koncie, bo nawet jeśli nie są używane, to stanowią dla banku potencjalne zobowiązanie dłużnika i obniżają jego zdolność kredytową.

Jeśli natomiast posiadamy już inne kredyty, to jednym z rozwiązań wartych rozważenia jest ich konsolidacja, co powinno pozwolić na obniżenie oprocentowania i wydłużenie okresu spłaty, co w efekcie może przyczynić się do poprawy oceny aktualnej zdolności kredytowej.

Innym pomysłem na podwyższenie naszej oceny jest złożenie wniosku o kredyt wspólnie z drugą osobą. Może to być np. rodzic, małżonek, brat lub siostra czy też partner lub partnerka. Takie rozwiązanie nie tylko może poprawić zdolność kredytową, z uwagi na dodatkowe źródło dochodu, lecz także zapewni dodatkowe zabezpieczenie dla banku.

Najbardziej skutecznym rozwiązaniem pozwalającym uzyskać większą zdolność kredytową będzie podwyż-

szenie zarobków. Kiedy zdobędziemy podwyżkę lub dodatkowe źródła stałego dochodu, gotowość banku do udzielania kredytu również będzie większa.

OSTROŻNIE Z PARABANKAMI

Zarówno w przypadku kredytu, jak i pożyczki zawsze należy przeanalizować ofertę, przeczytać dokładnie zapisy umowy i upewnić się co do kosztów związanych z zaciągnięciem długu.

Jak pisaliśmy w poprzednim odcinku, porównując różne oferty kredytów, warto skupić się nie tylko na oprocentowaniu nominalnym, lecz także na rzeczywistej rocznej stopie oprocentowania (RRSO). Rzeczywista roczna stopa oprocentowania określa nie tylko koszt odsetek, które będziemy musieli zapłacić, lecz także obejmuje wszystkie pozostałe opłaty, takie jak np. prowizja za przyznanie kredytu, ubezpieczenie, marże i inne koszty dodatkowe w ujęciu rocznym. Im niższy wskaźnik RRSO, tym kredyt jest tańszy.

Warto jednak pamiętać, że RRSO nie uwzględnia jednak wszystkich opłat, które ponosi kredytobiorca. Chodzi m.in. o usługi dodatkowe, których wykup nie jest konieczny do otrzymania kredytu, a także opłaty notarialne, które również ponosi konsument.

Dobrze jest też wiedzieć, że odsetki od zobowiązań w postaci kredytu konsumenckiego mogą maksymalnie wynosić dwukrotność stopy referencyjnej Narodowego Banku Polskiego, powiększonej o 3,5 punktu procentowego. Obecnie maksymalne oprocentowanie kredytów i pożyczek w Polsce wynosi 10 proc.

Osoby, które nie mają wystarczającej zdolności kredytowej, są zachęcane do

pożyczania pieniędzy przez firmy pożyczkowe oraz parabanki.

Do takich instytucji warto podchodzić ze szczególną ostrożnością, ponieważ nie podlegają one nadzorowi Komisji Nadzoru Finansowego.

W tym wypadku sprawdzenie RRSO jest szczególnie ważne.

W niektórych firmach pożyczkowych RRSO rocznej pożyczki może bowiem przekraczać nawet 150 proc. Na przykład pożyczając 5 tys. zł przy RRSO wynoszącym 159 proc., po roku trzeba będzie oddać 8 tys. zł. W takiej sytuacji „łatwa pożyczka” może szybko się stać niezwykle trudna do obsługi dla gospodarstwa domowego. Może więc nieść ze sobą ryzyko wpadnięcia w tzw. spiralę zadłużenia, a w konsekwencji nawet utraty oszczędności całego życia. Tymczasem z danych Krajowego Rejestru Długów (KRD) udostępnionych w lutym 2019 r. wynika, że Polacy mają obecnie aż 1,49 mld zł niespłaconych zobowiązań finansowych. Dotyczy to wyłącznie zaległych rat w firmach pożyczkowych. Według KRD statystyczny Polak ma obecnie do oddania firmie pożyczkowej średnio 4531 zł. To niemal dwa razy więcej niż w roku 2015 – wówczas dług statystycznego Polaka wynosił 2451 zł. Zaciągnięcie pożyczki ułatwiają m.in. nowe technologie, a zwłaszcza młodzi dłużnicy zapożyczają się przez Internet. Łatwość uzyskania takich pieniędzy sprawia, że w statystykach KRD najbardziej zadłużoną grupą są osoby pomiędzy 26. a 35. rokiem życia, które mają do oddania ponad 335 mln zł.

Podsumowując, jeśli decydujemy się zaciągnąć zobowiązanie finansowe, lepiej skorzystać z usług sprawdzonych instytucji finansowych, nadzorowanych przez KNF. Być może jednak najlepszym rozwiązaniem jest po prostu oszczędzanie, szczególnie jeśli chodzi o zaciąganie mniejszych kwot kredytów na cele konsumpcyjne. Czasem wystarczy jedynie zastosować prostą zasadę i oszczędzać konkretną kwotę regularnie, np. zaraz po otrzymaniu wypłaty. Ci, którzy potrzebują dodatkowej motywacji, mogą również korzystać z opisywanych wcześniej programów oszczędzania (poprzednie teksty są dostępne na stronie dorzeczy.pl/nbp). Jeśli bowiem kogoś stać na kredyt lub pożyczkę, to stać go również na mądre oszczędzanie.

Wściekłość i niedowierzanie. O tych uczuciach panujących wśród gogów opowiadają nasze wiewiórki z wnętrza protestującego nauczycielskiego lewiatana. A było tak: od Broniarza do szkolnego stolarza wszyscy byli pewni na 110 proc., że rząd się ugnie i podda tuż przed egzaminami. Tak pewni, że nauczyciele zgłaszali tylko jeden dzień protestu: poniedziałek. ZNP jednak przeliczył, rząd się nie ugiął i dopiero wtedy gogowie zaczęli zakreślać „do końca tygodnia”.

Tymczasem w szkołach. Do zabawnej sytuacji doszło w jednej z warszawskich szkół, do której w miniony poniedziałek przybył znany dziennikarz tefauenów, by jak co rano oddać swe dziecię pedagogom w opiekę. Na miejscu zdumiał się ogromnie, gdyż po raz pierwszy usłyszał, że jest jakiś strajk. Być może na odcinku propagandy zewnętrznej tefaueny odnoszą pewne sukcesy, ale na odcinku propagandy wewnętrznej wiele jeszcze muszą poprawić.

Jest dobrze, ale nie za dobrze. A nawet niedobrze. Oficjalnie rząd stoi murem za Anką Zalewską, mniej oficjalnie jest nieco wątpliwości. Od paru ministrów usłyszeliśmy, że trzeba było jednak zmienić zasady działania komisji egzaminacyjnych ustawą, a nie rozporządzeniem. No i ten żal do Anki, że wiedziała, co się święci, ale za późno alarmowała.

Jeszcze o negocjacjach. Wiecie, co to jest „konsternacja”? Dla tych, którzy nie wiedzą, krótka anegdota. Podczas negocjacji ZNP z rządem znany czerwono-skóry wódz Broniarz pokazał pracowni przygotowaną obszerną tabelkę, w której pokazywał, od początku świata, jakie rządy ile inwestowały w nauczycielskie pensje. Wyszło mu, że najwięcej ekipa Edwarda Gierka. To, co zapanowało w owej chwili w sali negocjacji, to właśnie konsternacja.

Ciąg dalszy konsternacji. Zapanowała też w rządzie po przeczytaniu badań CBOS, z których wynika, że co prawda Polacy zadowoleni są z polityki rodzinnej, ale jednocześnie prawie połowa twierdzi, że pieniądze z „500+” są przepijane. Natychmiast zbadano ten problem, naukowo analizując wyniki sprzedaży detalicznej oraz wpływy z akcyzy i szukając wzrostu konsumpcji alkoholu. Niestety, nie znaleziono żadnych anomalii. No może jedną:

W pałacu Andrzeja Sebastiana. Ten taki włóchaty z brodą zostanie nowym szefem biura prasowego

że rośnie sprzedaż koniaków i innej bardzo ekskluzywnej berbeluchy. Wniosek jest prosty. Albo polskie matki mają bardzo wyszukany gust, albo ankietowani za dużo naoglądali się Nurowskiej.

Tymczasem w pałacu Andrzeja Sebastiana. Potwierdzamy: ten taki włóchaty z brodą, który pracuje w kancelarii od zawsze, zostanie nowym szefem biura prasowego. Marcin Kędryna się nazywa. W zeszłym tygodniu było zabawnie, bo mimo że jeszcze nie dostał żadnej nominacji, już ludziska w pałacu zaczęły chodzić wokół niego na paluszkach. Słusznie. W departamencie pracuje przecież dwadzieścia parę osób. Wszystkich może nie wyrzuci.

To oczywiście wstrętny żart, nie o wyrzucanie tu chodzi, lecz o lepsze jutro. Dlatego zastanawiamy się, czy napisać, że Kędryna zostaje nowym Magierowskim, czy nowym Cegłą. Tak zwali się jego poprzednicy. Jeśli nowym Magierowskim, to w przyszłości czeka go stanowisko ambasadora w Izraelu. Jeśli nowym Cegłą – stanowisko ambasadora w Uście. Lepsze jutro rozstrzyga się dziś!

ZKędryną wiąże się wiele ciekawych wspomnień. Szczególnie z czasów, gdy pracował w konserwatywnym tygodniku „Ozon”. Toczył naocznie długie dysputy z radykalnymi pracownikami działu wydarzeń: Anitą Gargas, Pawłem Paliwodą, Joasią Najfeld. I najbardziej radykalną prawicówką z nich wszystkich: Elizą Michalik. Eliza nikt nie był wtedy w stanie przebić w antykomunizmie, antygejostwie i ogólnym prawactwie. Ani Gargas, ani Kędryna. Wiemy, co mówimy. Jeden z panów G. też tam pracował i musiał kierować tą całą kompanią.

Tymczasem w Eine Totalopposition. Wiadomość o przyjeździe do Polski Tuska na białym Grasiu, by wygłosić epokowe przemówienie 3 maja, została przyjęta z entuzjazmem. W Koalicji Łeuropejskiej panuje bowiem przekonanie, że europejski Donald poprze zdecydowanie Kołę. Szczególnie rozmaite przystawki żerane przez Grzegorza się cieszą. Tylko Grzegorz się nie cieszy. Ciekawe dlaczego.

Zuwagą wsłuchiwałem się w słowa europejskiego Donalda o brexitowych przepychankach. Powiedział dziennikarzom, że musi być bezstronny i nie może agitować za tym czy innym rozwiązaniem. Ponieważ jesteśmy naiwni jak wyborcy Kołę, wierzymy, że i w Polsce nie będzie za niczym agitował.

Żałujemy, że nie kandydujemy. Dobre miejsce na liście do europarlamentu jest bowiem gwarancją cudów medycznych: człowiek młodszy o 20, a czasem i 30 lat. Powyższe przemyślenia dotknęły nas dzięki reklamom z udziałem Halickiego Andrzeja, dwójki Koalicji Łeuropejskiej w Warszawie. Marzą nam się taka gładka skóra, ciepły uśmiech oraz ogólne wrażenie niezwykle świeżości. Ponieważ nie kandydujemy, zostaje tylko uśmiech. Zadumy, oczywiście.

Kuchnia wyborcza. Jak wiadomo, najprzyjemniejszą częścią procesu kulinarnego jest dzielenie skóry na niedźwiedziu, który jeszcze w lesie. Na przykład w PeŁo za pewniaka do mandatu uważa się Myszke Agresorkę. Kamila Gasiuk-Pihowicz kandyduje z dwójki Koalicji Łeuropejskiej w Warszawie i podobno ma mandat na bank. Tęsknym wzrokiem na mandat numer trzy zerka Andrzej Halicki. Ma jednak obawy, że zabierze mu



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Świnia plus ... nie, nie dam się kupić ...



go czerwona gwiazda europejska Danuta Hübner.

Jeszcze z kuchni. Nie na niedźwiedziu, tylko na łabędziu, i nie skórę, lecz pyszną skórę dzielił pewien przedstawiciel Eine Totalopposition. Tak przynajmniej słyszeliśmy, ale nie możemy powiedzieć od kogo ze względu na ochronę źródeł. Tak, macie rację, w Polsce łabędzie są pod ochroną i nikt ich nie je. W Rosji są jednak gatunkiem łownym. I przyrządza się je z jagodami. Tak też uczynił bohater tej historii podczas swych polowań na wschodzie. Zdradzimy tylko, że nie kandyduje do europarlamentu, ma wąsy i lubi też bigos.

Wracając do dzielenia, ale mandatów w Małopolsce. Eine Totalopposition stawia wszystko na Różę Thun i nie wzmocniła listy jakimiś szczególnie interesującymi innymi kandydatami. Pełowska wiewiórka opowiedziała nam dlaczego. Otóż w Małopolsce totalsi i tak dostaną straszliwe baty, bo PiS może szarpnąć

**Oficjalnie rząd stoi murem
za Anką Zalewską,
mniej oficjalnie jest
nieco wątpliwości**

nawet cztery mandaty. Na liście prawicy głosy mogą się jednak rozłożyć, bo oprócz Bełaty jest wielu mocnych konkurentów. Tylko skumulowanie głosów wyborców Eine Totalopposition na ich jedyne daje szansę na to, że choć lista przegra, to Thun w liczbach bezwzględnych dorówna Bełacie albo ją przegoni.

Tymczasem w Peezelu. Zielone wiewiórki opowiadają, że mobilizacja elektoratu na eurowybory jest raczej średnia. Gdy pytamy, jak bardzo średnia, odpowiadają: pójdzie zagłosować połowa naszych wyborców. Najbardziej interesująca jest kwestia, co zrobi druga połowa. Jeśli

bowiem zostanie w domu, to skorzysta na tym PiS. A jeśli zagłosuje na PiS, to skorzysta na tym PiS.

Za plecami Władka Kosiniaka-Kamysza z kolei znów pojawił się cień Waldeka. Waldek nie ukrywa, że ma już dość wykładów o energii odnawialnej i chciałby spróbować sił w polityce. Coraz tęskniej w jego stronę zerkają ci peezelowcy, którzy uważają, że partia zawsze powinna startować we wszelkich wyborach oddzielnie. Jeden z pawlakowców, stary peezelowski wyga, kieruje nawet specjalnym zespołem, który szykuje na jesień program partii. Osobny, osobny, nie jakiś koalicyjny program.

Pamiętacie opowieść o pechowym Richardzie Henrym Czarnieckim? To ten, który wałnął w Poznaniu billboardy wychwalające go jako europoła tydzień przed tym, jak Kaczor Dyktator zdecydował, że Richard ma kandydować z Warszawy. Podobna historia przytrafiła się Bogdanowi Zdrojewskiemu z Eine Totalopposition. Nazamawiał chłop materiałów prasowych przekonany, że będzie wiódł totalsów do boju na Dolnym Śląsku. Grzesiek Ludojad Schety na zastąpił go Ochojską, ale część materiałów Bogdana ukazała się i tak. Ach, te długie redakcyjne terminy...

À propos Zdrojewskiego – skoro nie może być ponownie europodem, marzy mu się mandat polskiego senatora. Tylko – głupia sprawa – senatorem z Wrocławia jest już jego żona, Barbara Zdrojewska. Na szczęście w mieście są dwa okręgi senackie, więc każdy mieszkaniec stolicy Dolnego Śląska, niezależnie od tego, gdzie głosuje, będzie mógł mieć swojego Zdrojewskiego. Albo Zdrojewską.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

KRS: 000 000 4522



Lubelskie Hospicjum dla Dzieci
im. Małego Księcia

1% Twojego podatku
daje **WIELE!**



Materiał promocyjny został sfinansowany ze środków finansowych pochodzących z 1% podatku dochodowego od osób fizycznych.



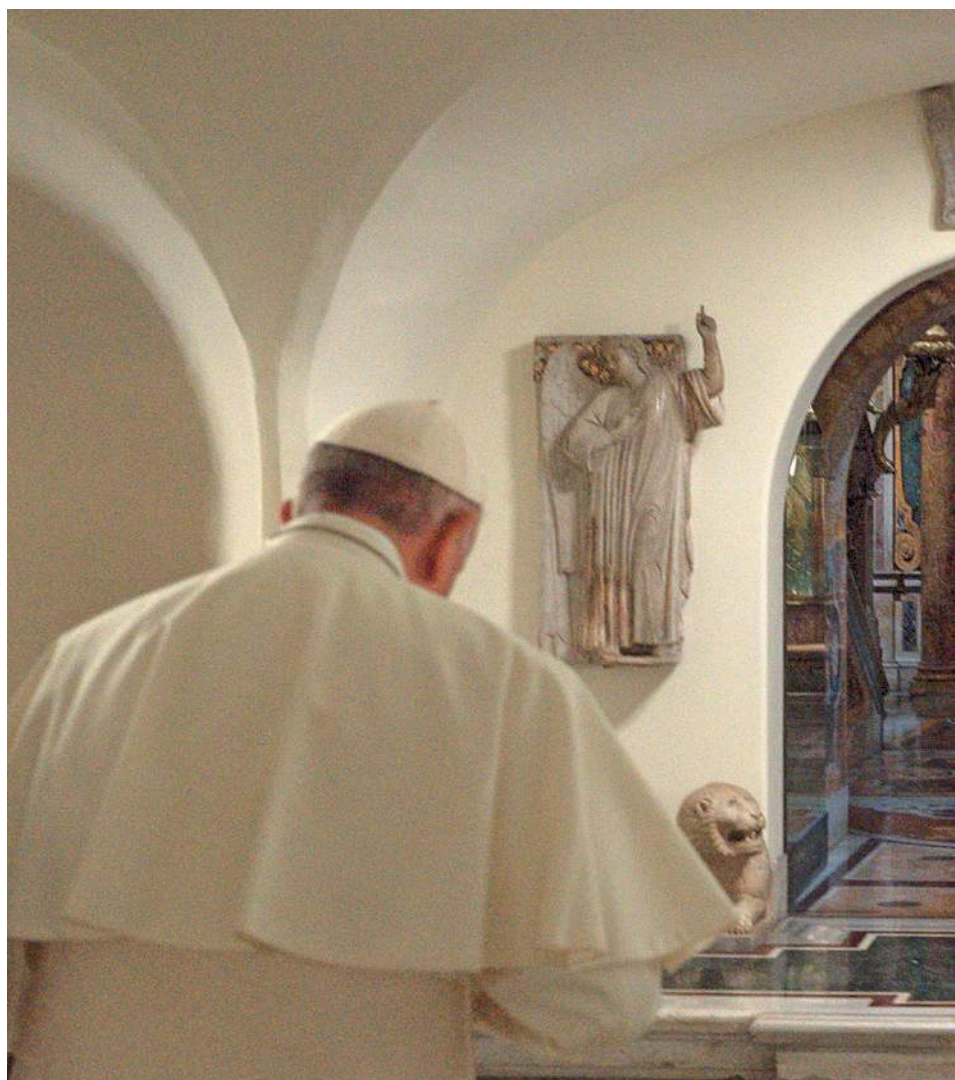
Paweł Lisicki

Czy to, co odkryli archeologowie w połowie wieku XX, jest autentycznym grobem apostoła?

Półowa listopada to czas, w którym nawet Rzym wydaje się miastem spokojnym i pustym. Mniej turystów i pielgrzymów, łatwiej dostać się do muzeów i na wystawy. Tego dnia, szczęśliwie, pogoda była piękna, temperatura sięgnęła 20 stopni Celsjusza, a słońce od chwili, jak przebiło się ranem przez chmury, cały czas już pozostało nad miastem. Może tylko poranek przypominał, że to jednak koniec jesieni i że zbliża się zima, poranek chłodny, wietrzny, niepasujący do reszty dnia, co pociąga za sobą dla przybysza wyruszającego wcześniej z domu zawsze kłopoty: jak ubrać się dość ciepło, żeby nie zmarznąć po wyjściu, i nie dość gorąco, żeby nie umrzeć potem z ciepła. Nie da się. Zawsze trzeba po kilku godzinach wrócić do domu i przebrać się w wersję letnią.

Właściwie mogłem poczekać dłużej, a jednak myśl o tym, że wreszcie po tylu miesiącach oczekiwania znajdę się tam, pod ziemią, w pobliżu miejsca śmierci i pochówku Piotra, nie dawała mi spokoju. Tak bardzo się bałem, żeby nieprzewidziana przeszkoda nie utrudniła dotarcia na miejsce, nie pokrzyżowała planów ani uczyniła wyjazdu do Rzymu bezprzedmiotowym. Dlatego wyszedłem z domu, raptem położonego kilkaset metrów od bazyliki, niemal godzinę przed umówioną chwilą spotkania i zwiedzania. Mijałem pospiesznie plac św. Piotra, obchodząc dookoła kolumnadę Berniniego. Jeszcze wczoraj wieczorem widziałem wjeżdżające tu wielkie, potężne ciężarówki, które zostawiały przy obelisku wielkie zwały piasku. „Czyżby miał się zacząć remont?” – pomyślałem zdziwiony. Po powrocie do domu przeczytałem, że piasek przywieziono, bo miał posłużyć do budowy gigantycznej szopki, dzieła grupy współczesnych artystów.

Niewielkie gromadki turystów bądź pielgrzymów – nie sposób obecnie wyraźnie rozdzielić obu grup – powoli przemieszczały się w stronę wejścia do bazyliki. Pod kolumnami raz po raz można było dostrzec leżących żebraków

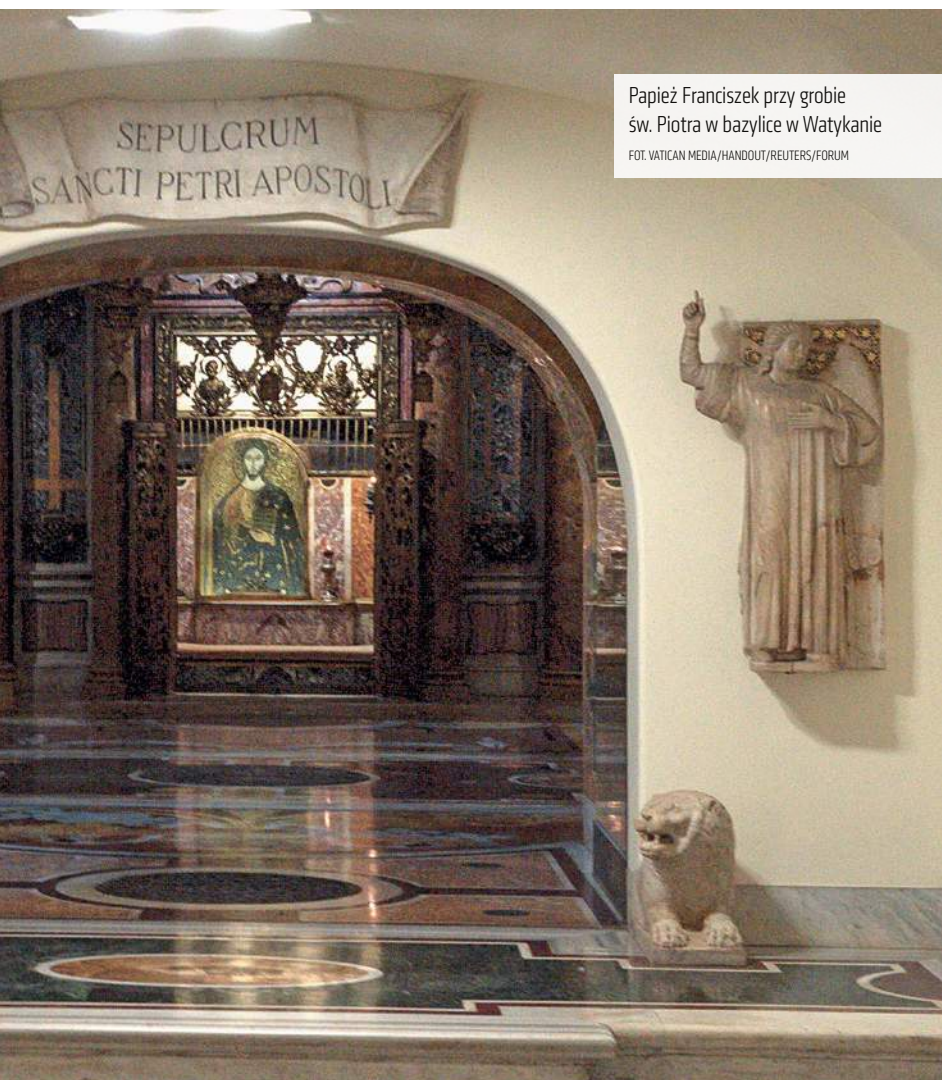


W poszukiwaniu

i bezdomnych. Tak jakby nic wokół nich nie miało znaczenia, po prostu w najlepsze leżeli, jeszcze zakopani w rzuconych w nieładzie śpiworach, opatuleni w koce, może fragmenty kołder, przykryci zmietnymi prześcieradłami. Na samym końcu dotarłem do miejsca przeznaczenia, niewielka kolejka przechodziła przez bramki. Pół godziny przed czasem byłem już tam, przed biurem z napisem „Scavi”. Stałem w miejscu przesiąkniętym krwią pierwszych chrześcijan, o czym przypominała też osobna, wmurowana w ścianę tablica. Dziwne to uczucie – stać tu w 2018 r. i pamiętać, że 1954 lata wcześniej nie było tu ani bruku, ani murów, ani wspaniałych

majestatycznych, pokrytych trawertynem ścian bazyliki, tylko zwykła czarna ziemia, tylko łąki i gaje, i porozrzucane wszędzie ciała męczenników – odciętych od krzyży, spalonych, pokłutych, zhańbionych i podeptanych. Dokładnie w tym miejscu, gdzie teraz próbowałem zabić czas i gapiłem się nieco bezmyślnie na pojawiające się z rzadka samochody oraz pojedynczych przechodniów, najpewniej watykańskich urzędników. Tutaj, gdzie znudzony nieco strażnik pomachał mi ręką, pokazując, gdzie mogę stać i czekać, było samo epicentrum piekła na ziemi.

Wraz z grupką pielgrzymów z Polski podążyłem za naszą przewodniczką



Papież Franciszek przy grobie
św. Piotra w bazylice w Watykanie
FOT. VATICAN MEDIA/HANDOUT/REUTERS/FORUM

grobu Piotra

w przeszłość. Tych niemal dziesięć metrów w dół po wąskich schodach przeniosło mnie z dzisiejszego Watykanu wprost do starożytnej nekropolii. Tak, wszyscy to powtarzają: przenieśliśmy się dwa tysiące lat wstecz. Wiem, to wyświechtany nieco slogan, pojawia się w materiałach reklamowych oraz na ustach przewodników. I tak jak wszystkie slogany nie jest całkiem prawdziwy: przecież żeby się naprawdę przenieść dwa tysiące lat wstecz, musiałbym zabrać tam innego siebie. Bez bagażu wiedzy, dystansu, poczucia inności, bez tego, co zwykliśmy nazywać zmysłem historycznym, a więc wiedzą o nieprzystawalności kontekstów

i zmienności ludzkiej mentalności, ludzkich obyczajów i wierzeń.

Zszedłem dziesięć metrów pod posadzkę bazyliki. Do wąskich, wijących się między grobowcami drózek, gdzie można było stąpać po czarnej, ubitej ziemi, zaglądać do środka grobowców, dotykać murów, utworzonych z ciasno ułożonych, płaskich, bardziej brunatnych niż czerwonych rzymskich cegieł. Powoli, powoli, zbliżać się do grobowca Piotra. Dziwne to uczucie. Miałem świadomość, że jest się go tak blisko, że widzi się postawioną bezpośrednio nad grobem kolumnkę, że z daleka (tak, z daleka, bo przecież nie na wprost i z bliska) widzi

się załom otworu w ścianie i jeśli dobrze się wysilić, znajdujące się w otworze skrzynki z pleksiglasu, gdzie znajdują się kości świętego. Jednak ta bliskość zdawała się znowu jakaś daleka. Tak jakby całe otoczenie, kolejno mijane pogańskie grobowce, wspaniałe mozaiki, freski, wnęki, obrazy bóstw i bogów, wezwania modlitewne, jakby cały ten świat pogańsko-rzymski wznosił między mną a grobem apostoła dodatkowy mur.

OGRODY NERONA

„Watykan” – to słowo pochodzenia etruskiego. Łacińskie „Vaticanus” pochodzi od etruskiego „Vatica” lub „Vaticum” – pokazuje to, że cały obszar wokół dzisiejszego placu św. Piotra należał wcześniej do Etrusków. Obejmował on „montes Vaticani”, czyli wzgórza, które rozciągały się od dzisiejszej Monte Mario do Gianicolo, i położoną u ich stóp równinę (dzisiaj: Prati di Castello, Borghi, via della Conciliazione, nadbrzeża Tybru pod wzniesieniem Gianicolo). Wraz z upadkiem miasta Wejo (396 lat przed Chr.) terytorium Watykanu zostało włączone w obszar miasta Rzymu, pozostając jednak wciąż poza murami stolicy, zarówno tymi zbudowanymi w IV w. przed Chr. (tzw. mury serwiańskie), jak i znacznie później, poza murami cesarza Aureliana i Probusa w latach 70. III w. po Chr. Zgodnie z podziałem wprowadzonym przez Augusta Watykan stał się XIV dzielnicą, obejmującą cały obszar za Tybrem (trans Tiberim). Na początku naszej ery Rzymianie starają się zmienić dotychczasowy charakter okolicy, nieużytków i pastwisk. Pojawiają się drogi, wznosi się budynki mieszkalne, zaczyna się uprawiać ziemię. Bogatsi Rzymianie kupują tu grunty i zlecają budowę podmiejskich willi. Teren ten skupiał na sobie uwagę różnych bogatych osobistości rzymskich. Część ziem należała do rodziny Domiceusów, m.in. do Domizii Lepidy, ciotki Nerona, którą ten w 59 r. po Chr. zmusił do wypicia trucizny.

Wszystkie te tereny stały się częścią jednego obszaru nazywanego ogrodami Nerona (horti Neronis). W miejscu tym, blisko ogrodów, zaczęły się pojawiać już w I w. po Chr. groby. Nie było w tym nic nadzwyczajnego, podobne groby można odnaleźć w starożytnym Rzymie blisko „ogrodów Cezara” na prawym brzegu Tybru. Starożytni chętnie chowali zwłoki swoich zmarłych na pobrzeżach dróg. Zatem można je odnaleźć wzdłuż wszystkich wielkich dróg prowadzących



■ z Rzymu: przy via Appia, via Latina, via Prenestina. Niekiedy zdarzało się, że takie wolno stojące groby stawały się załącznikiem późniejszych, okazałych i rozbudowanych nekropolii. Bogate i okazałe grobowce odkryte pod bazyliką św. Piotra nie są starsze niż czasy Hadriana, a więc niż 130 r. po Chr. Czy wynika z tego, że przed powstaniem nekropolii nie mógł się tu znajdować grób Piotra?

Dokładne badania archeologiczne wykazały, że groby budowane tu już wcześniej, w I w. po Chr. – dowodem na to jest pieczęć na jednej z płyt nagrobnych, pochodząca z czasów cesarza Wespazjana (69–79 r. po Chr.). Z kolei pod zakrytą watykańską znaleziono nagrobek z inskrypcją umieszczoną tam przez wyzwolenca cesarza Domicjana (83–96 r. po Chr.). Dzięki pracy archeologów udało się też odkryć w tym miejscu lampki nagrobne, które nosiły imię L. Munatiusa Threptusa – takie same znaleziono wcześniej w grobowcu Messaliny, trzeciej żony Nerona, zamkniętym w 70 r. po Chr. Wynika z tego, że już w latach 60. I w. po Chr. w okolicy tej mogły znajdować się pierwsze, rozproszone jeszcze groby. Pojawiły się one wzdłuż starożytnej drogi, zapewne via Cornelia, która wiała się między Tybrem a wzgórzami montes Vaticani. Via Cornelia pokrywa się zapewne z dzisiejszą via della Conciliazione, następnie starożytna droga przechodziła przez plac św. Piotra, przez oś bazyliki aż do miejsca, gdzie wznosi się kościół św. Szczepana, zwany też kościołem Abisyńczyków. Tam właśnie w latach 1939–1949 grupa archeologów odkryła wielką pogańską nekropolię oraz położony w jej najwyższym punkcie, obecnie kilka metrów pod głównym ołtarzem bazyliki św. Piotra, centralnie położony grób i zbudowaną nad nim kapliczkę.

SCEPTYCY MAJĄ GŁOS

Przed kilku laty brytyjski Channel 4 pokazał film dokumentalny, w którym kolejni znawcy zaprzeczali obecności św. Piotra w Rzymie, twierdząc, że wszelkie informacje na ten temat, podobnie jak przekazy na temat męczeńskiej śmierci apostoła w Wiecznym Mieście, to wymysły katolickiej propagandy. Opowieści te miały powstać wskutek „spisku wierzących”. Ich rozpowszechnienie było od początku dziełem sprytnych kościelnych polityków, którzy w ten sposób próbowali uzasadnić pozycję, władzę i autorytet papieństwa. Dowodem słuszności



Portret św. Piotra z XVII w.

FOT. ART MEDIA/PRINT COLLECTOR/GETTY IMAGES

oskarżeń miał być, według brytyjskich twórców, rzekomo odnaleziony w Jerozolimie prawdziwy grób Piotra apostoła, o którym Watykan przezornie milczy. Głównym zwolennikiem tych, trzeba przyznać, dość szokujących tez był niejaki prof. Robert Beckford z Oxford Brookes University, który zaprzeczył, że film jest atakiem na katolików. Skądże by znowu! Nie, jak łatwo przewidzieć, była to próba odkrycia i zbadania faktów. „Chodzi o pokazanie, na czym oparte są filary władzy, i na sprawdzeniu przesłanek naukowych, które większość katolików przyjmuje bezkrytycznie” – mówił ówże uczony w wywiadzie dla brytyjskiego dziennika „Daily Telegraph”.

Takich prób podważenia i zanegowania obecności Piotra w Rzymie jest wiele. Żyjemy w epoce postmodernistycznej, to zaś oznacza, że waga i siła tezy zależne są od siły i mocy, z jakimi jest ona propagowana. Zdanie słabsze staje się silniejsze, a silniejsze słabsze nie ze względu na rozumową treść, ale z powodu odpowiedniego przedstawienia. W tekście pod wielce wymownym tytułem „Skała, której nie było w Rzymie” z 24 kwietnia 2000 r., a więc przy okazji Wielkiego Jubileuszu, Rudolf Augstein, słynny wydawca i jednocześnie publicysta „Spiegla”, najbardziej wpływowego niemieckiego tygodnika, pisał: „Brakuje jakichkolwiek dowodów i wskazówek, że apostoł Piotr był kiedykolwiek w Rzymie, nie wspominając nawet o tym, że był biskupem Rzymu. Również legenda, że miał zostać ukrzyżowany jak jego Zbawiciel w cyrku Nerona,

ale że z czystej pokory z głową skierowaną w dół, nie jest niczym innym jak tylko pobożną bajeczką. W jaki to niby sposób dotarłby on do Rzymu, jeśli nie na rozkaz rzymskich władców?”. I dalej w tym samym duchu: „Jednakże bazylika Piotra w Rzymie była i jest uważana za duchowe centrum katolików z całego świata, nawet wszystkich chrześcijan. Niemal żaden wierzący nie gorszy się z tego powodu, że ta majestatyczna budowla została wzniesiona na fałszerstwach, oszustwach i marzeniach sennych”. O ile Paweł mógł zginąć w Rzymie, łaskawie przyznaje wydawca i założyciel „Spiegla”, o tyle cała tradycja dotycząca Piotra jest wymysłem. „Czy oficjalny Kościół katolicki może się ze swoją nieprzerwaną linią następców na urzędzie papieskim w ogóle powoływać na św. Piotra jako na biskupa Rzymu? Odpowiedź brzmi po prostu: nie”.

KONIECZNE PYTANIA

Dyskusja o obecności Piotra w Rzymie ma kilka, jeśli tak można powiedzieć, wymiarów. Po pierwsze, chodzi o spór dotyczący rozumienia tekstów przekazanych przez Tradycję. Co dokładnie mówi o życiu i śmierci Piotra Nowy Testament? Czy faktycznie milczy on tak głęboko, jak chcą tego krytycy? Po drugie, co na temat Piotra i jego związków z Rzymem mówią późniejsze, choć też wczesne, bo pochodzące już z końca I i początków II w. po Chr., świadectwa pierwszych ojców Kościoła? Po trzecie, czy istnieją, a jeśli tak, to jakie, inne doniesienia dotyczące Piotra, których autorami są pisarze pogańscy? Po czwarte, jak należy ocenić wyniki prac archeologów pod bazyliką św. Piotra w latach 1939–1949? Jak wiadomo, wśród samych badaczy również doszło do długiej, zacieklej i praktycznie niekończącej się dyskusji. Od lat 50. aż do końca XX w. trwał zaciekle spór o. Antonia Ferruy z Margherittą Guarducci. Ten pierwszy, jezuita, faktycznie kierował archeologiczną częścią prac w latach 1939–1949, ta druga, profesor epigrafii, przybyła do Rzymu w 1952 r. i do roku 1978, do śmierci papieża Pawła VI, nadzorowała teren wykopalisk pod bazyliką. Ferrua i Guarducci doszli do skrajnie odmiennych konkluzji. Co gorsza, uczony jezuita nie wahał się organizować przeciw Guarducci prawdziwej kampanii dyfamacyjnej, w której bardziej niż rzeczowe argumenty liczyły się urażona ambicja i zawiść. Po piąte, nie da się zrozumieć przebiegu prac wykopaliskowych, nie uwzględniając kontekstu, czyli tego, że lata prac pod



ziemią to okres największego nasilenia zmagania wojennych.

Dopiero suma odpowiedzi na wszystkie pytania pozwoli stwierdzić, gdzie znajdowało się miejsce pochówku Piotra i czy to, co odkryli archeologowie w połowie wieku XX, jest autentycznym grobem apostoła.

NIE MA ŻADNYCH WĄTPLIWOŚCI

O tym, że Piotr był w Rzymie, świadczą już teksty Nowego Testamentu – aluzja w Dziejach Apostolskich, aluzja w liście do Rzymian. Na to, że zginął na krzyżu, wskazuje zakończenie Ewangelii według św. Jana. Że przed śmiercią pisał z Rzymu – tego dowodzi lektura pierwszego listu Piotra. Święty Klemens wie o śmierci męczennickiej Piotra i Pawła, a Ignacy z Antiochii robi aluzję do ich kultu. Tacyt pisze o wielkich prześladowaniach za Nerona i o tym, że miały miejsce w Watykanie, a to, że troska o miejsce pochówku Piotra była dla rzymskiej wspólnoty ważna, wynika z tego, kim musiał być dla nich apostoł. Jego rolę wikariusza i skały pokazuje Ewangelie i Dzieje. Archeologowie udowodnili, że pomnik na grobie Piotra powstał w połowie II w. po Chr., słowa Gajusza pokazują zaś, że pod koniec II w. po Chr. chrześcijanie rzymscy chlubili się jego obecnością. Konstantyn zbudował tam bazylikę, bo wiedział, że w tym konkretnym miejscu spoczęły kości męczennika. Prace archeologiczne dowiodły istnienia grobu, a także odkryły kości. To, że wiedza ta nie od razu została przyjęta, wynika z dodatkowych okoliczności: wojny, niebezpieczeństw, a później ambijonalnej walki między badaczami.

Wbrew sceptykom można wskazać kilka odkryć, które razem prowadzą do przyjęcia, że grób i resztki ciała Piotra znajdują się pod bazyliką watykańską. W latach 1939–1949 archeologowie odkryli pusty grób z I w. po Chr. Ustaliли, że dla wszystkich pozostałych był on swego rodzaju centrum. Znaleźli także pomnik grobowy z II w. po Chr. o dosyć nietypowych kształtach. Wspomina o nim pod koniec II w. jako o pomniku pamięci Piotra jeden z rzymskich kleryków. Na znajdującym się tuż przy pomniku murze ze skrytką z końca III w. wyryto liczne, zakodowane wezwania do Chrystusa, Marii i św. Piotra. W skrytce znaleziono kości, które przeniesiono do niej z pochodzącego z I w. grobu. O tym, że kości były czczone, świadczą znalezione przy nich i na nich ślady przetykanej złotem pur-

pury. W pobliżu skrytki archeologowie odnaleźli grecki napis „Petros Eni”, czyli „Piotr jest tu wewnątrz”.

Wszystkie kości znalezione w skrytce w murze należą do szkieletu jednego mężczyzny, który – co się tyczy wieku i postury – odpowiada portretowi Piotra. W chwili śmierci miał on od 65 do 70 lat, cechował się krzepką budową ciała. Co ciekawe, w schowku nie znaleziono kości stóp, co może być dodatkowo wskazówką, że przekazana przez tradycję informacja o śmierci krzyżowej głową w dół Piotra jest prawdziwa. Do tego zbioru danych zebranych przez archeologów w latach 40. i 50. XX w. można dodać jeszcze kilka innych, niezwykle istotnych ustaleń.

W 2009 r. Benedykt XVI ogłosił, że w bazylice św. Pawła za murami odnaleziono szczątki ciała św. Pawła. Co więcej, wykonane wówczas badania metodą węglą C14 pokazały, że chodzi o fragmenty zwłok mężczyzny, który zmarł w I w. po Chr. W tym samym grobie odnaleziono ślady przetykanej złotem purpury, dokładnie takie same jak wcześniej w schowku w murze g. W roku 1998 odnaleziono płytę marmurową z napisem „Przy Piotrze” tuż przy grobie uznawanym za miejsce pochówku Piotra.

Tych kilka punktów razem i to wszystko, co podaje tradycja literacka, powinno wystarczyć, by śledztwo w sprawie grobu i szczątków Piotra można było uznać za zamknięte. Jak zauważył profesor patrologii Ernst Dassman z Bonn, ważnym argumentem na rzecz prawdziwości grobu Piotra było samo miejsce pochówku – otwarty pogański cmentarz, położony pod gołym niebem. Nie mógł się tu pojawić nikt, kto chciałby dokonać oszustwa. Poza tym, jak dodawał, Rzymianie nie znali pojęcia masowych grobów. „Masowe groby – mówił badacz z Bonn – są wynalazkiem współczesnym. Rzymianie ani nie byli mordercami na masową skalę, ani nie zajmowali się budową masowych grobów. Z pewnością za czasów Nerona zginęło tu i zostało straconych wielu chrześcijan. Tacyt, pogański pisarz, mówi o wielkim tłumie (ingens multitudo). Jednak ma to inne znaczenie dla nas, którzy znamy wielomilionowe miasta, niż dla starożytnych. Rzymianie mieli głęboką świadomość

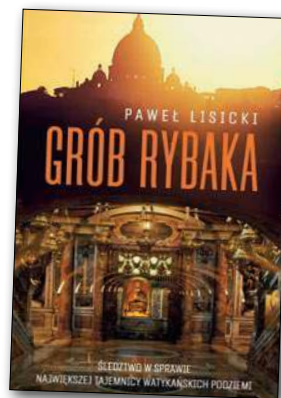
znaczenia prawa”. Mogli skazywać na śmierć chrześcijan, bo ci nie chcieli oddawać czci cesarzowi ani nie chcieli składać za niego ofiar, co z rzymskiego punktu widzenia oznaczało brak szacunku należnego majestatowi władcy. Jednak nie pociągało to za sobą pohańbienia zwłok. Te na ogół były wydawane bliskim skazańca po to, by je we właściwy sposób pochować. Najmocniejszym argumentem przemawiającym za tym, że grób Piotra znajduje się pod posadzką bazyliki św. Piotra, jest według Dassmana „ciągłość kultu”. Nie ma wątpliwości, że znamy dokładnie miejsce, w którym już w 160 r. po Chr. wspólnota rzymska oddawała cześć Piotrowi. A to oznacza, że pomyłka jest niemożliwa. Tak, w Watykanie, kilka metrów pod ołtarzem, znajdują się drogie relikwie Wielkiego Rybaka.

OSTATECZNE POTWIERDZENIE

Decyzję o badaniu podziemi watykańskich podjął w 1939 r., w wigilię święta Piotra i Pawła, Pius XII. To on też w 1950 r. ogłosił publicznie, że archeologom udało się znaleźć grób Księcia Apostołów. W 1969 r. Paweł VI ogłosił, że znaleziono tam też jego kości. Jednak ostatecznie ich odkrycie potwierdził Franciszek po tym, jak Benedykt XVI postanowił dokonać szczegółowego przeglądu wszystkich danych zgromadzonych przez historyków. Wszczęte za jego

pontyfikatu prace kontynuował Franciszek. On sam pojawił się w podziemiach wkrótce po swoim wyborze, po południu 1 kwietnia 2013 r., w Wielki Poniedziałek.

Po gruntownym przebadaniu wszystkiego raz jeszcze 24 listopada 2013 r., na koniec roku wiary, pokazał on kości z grobu g. „W niedzielę dziewięć fragmentów kości wystawiono na widok publiczny w gablocie z brązu. Po homilii Franciszek przez kilka minut modlił się, trzymając gablotkę w ramionach”. Kilka dni później, 5 grudnia 2013 r., papież Franciszek w czasie publicznej uroczystości znowu przeniósł kości do wnęki w murze g. Znajdują się one w tym miejscu aż do dziś. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



Fragmenty książki „Grób Rybaka. Śledztwo w sprawie największej tajemnicy watykańskich podziemi”, która wkrótce ukaże się nakładem wydawnictwa Fronda.



**Z abp. Janem Pawłem
Lengą, emerytowanym
biskupem Karagandy
w Kazachstanie**

rozmawia Tomasz Rowiński

TOMASZ ROWIŃSKI: Jak doszło do tego, że został ksiądz arcybiskup kapłanem? To nie były łatwe czasy?

ABP JAN PAWEŁ LENGA: Wychowałem się na sowieckiej Ukrainie, w rodzinie katolickiej. Moja mama była kobietą pobożną, u taty, który przede wszystkim dużo pracował, wyglądało to nieco inaczej. Księży było wtedy niewiele i nieczęsto się ich spotykało. Władza przeszkadzała w praktykowaniu wiary. Jednak mama przekazała mi taki rodzaj może dość pierwotnej pobożności, ale to był fundament. Zadbana też o sakramenty, o chrzest, o pierwszą komunię, także o bierzmowanie, które przyjąłem przed odbyciem obowiązkowej służby wojskowej. Potem ok. 1970 r. pojawił się u nas w Gródku Podolskim, bardziej na stałe, ksiądz. Ludzie się wokół niego zaczęli gromadzić, gromadziła się też młodzież. Również zacząłem chodzić do kościoła, byłem członkiem Róży Różańcowej, potem służyłem do mszy.

I w tym czasie nastąpił przełomowy moment?

Można tak powiedzieć. Doświadczylem wewnętrznego poruszenia. Pewnego razu nasz ksiądz wobec nas, młodych, zaczął tak opowiadać: „Zobaczcie, jak wiele jest pracy w parafii, jak wiele osób chce się spowiadać. Może ktoś z was chciałby zostać księdzem?”. Gdyby nie te słowa, nigdy pewnie nie pomyślałbym, że bycie księdzem jest w ogóle w zakresie dostępnych mi powołań. Kapłanów otaczała w naszej społeczności aura świętości, prawie anielska. Potem jeszcze nasz ksiądz zwrócił się do mnie bezpośrednio z pytaniem, czy nie chciałbym zostać duchownym. Nie odpowiedziałem na to, ale pytanie pracowało we mnie. Jednocześnie w parafii zlecano mi kolejne odpowiedzialności, choćby śpiewanie litanii w czasie nabożeństw, odwiedzanie chorych. Te okoliczności spowodowały we mnie jakieś wyrobienie ducha i konsekwencji – gdy ksiądz zaproponował mi wstąpienie do seminarium duchownego, wtedy się zgodziłem.

Wszystko odbyło się bez problemów?

Zupełnie nie. Były wtedy dwa seminaria katolickie w: Rydze i Kownie, ale



Trzeba być wiernym Kościołowi do końca

FOT. YOUTUBE/MEDIA NARODOWE



ostrzeżono mnie, że przed wstąpieniem będę musiał przejść przez badanie bezpieczeństwa i że lepiej sobie tego oszczędzić. Tak też trafiłem do podziemnego seminarium księży marianów, które znajdowało się na Łotwie. Przynależałem w tamtym czasie do łotewskiej prowincji zgromadzenia. Świecenia – zarówno diakonatu, jak i potem prezbiteratu – przyjąłem z rąk bp. Vincentasa Sladkevičiusa MIC. Działo się to w nocy, w ukryciu. To był rok 1980.

Potem zaczęła się posługa, ale nie został ksiądz arcybiskup na Litwie?

Nie, przez miesiąc byłem na Ukrainie w ukryciu, a potem trafiłem do Tadżykistanu, gdzie pomagałem innemu księdzu, który ukończył również tajne seminarium. W Tadżykistanie posługiwałem głównie Niemcom zesłanym z Ukrainy. Po krótkim czasie byłem wydany przez służby specjalne za moją posługę. Kiedy wróciłem na Łotwę, po kilku tygodniach krótkiego urlopu przełożeni rekomendowali mi wyjazd do Kazachstanu, gdzie trafiłem i służyłem 30 lat.

Co to znaczyło w tamtych czasach być katolikiem w Kazachstanie?

Kazachstan to jest ziemia zesłańców. Mieszkają tam potomkowie 136 różnych narodowości, w tym katolikami głównie byli na początku Polacy i Niemcy, ale także Łotysze, Litwini, Białorusini, nieco grekokatolików. Kiedy ludzi tam zsyłano, zostawiano ich nieraz na stepie, na gołej ziemi, wbijano tylko kołek z kartką podpisaną: „Wioska nr 1”. Te warunki sprawiały, że bardzo wielu zesłańców umierało, choćby wtedy, gdy musieli przeżyć zimę w jakichś ziemnych jamach bez stałego źródła pożywienia. Mimo tej dramatycznej sytuacji razem z katolikami przewędrowały do Kazachstanu i przetrwały w nim i chrześcijańska kultura religijna, i wiara. To ważne, choć często ludzie opuszczali swoje domostwa na Ukrainie czy gdziekolwiek indziej tak, jak stali, prawie bez niczego czy tylko z ograniczoną ilością sprzętów – zabierali ze sobą też książki do modlitwy, święte wizerunki, obrazki. Wokół tych przedmiotów zaczęło się także odbudowywanie życia religijnego, gromadzenie się.

Władze interesowały się tą sytuacją?

Oczywiście, ale jednak ludzie się gromadzili. Pojawiały się osoby, które brały na siebie odpowiedzialność zwoływania innych na modlitwę. Wybierano tych lepiej

wykształconych religijnie, by prowadzili modlitwy. Przeważnie była to modlitwa różańcowa, jakieś koronki. Ingerencję władz starano się obchodzić. Cmentarze rosły wtedy szybko i szybko też stawały się miejscami gromadzenia się na modlitwie. Ludzie mogli odwiedzać groby swoich zmarłych, tego władze nie zabraniały, jednak tę okoliczność wykorzystywano dla wspólnotowego praktykowania wiary. Organizowano się jeszcze w inny sposób, w niektórych domach przygotowywano pokoje, które dziś moglibyśmy nazwać oratoriami. Była tam przestrzeń do modlitwy, jakaś namiastka ołtarzyka, obrazy świętych. Gdy zaczęli się pojawiać księża, niejednokrotnie przywożono ich ukradkiem nocą i w takiej sali odprawiano mszę, chrzczono, spowiadano, udzielano ślubów czy słuchano katechez.

Skoro „księża się pojawiali”, to znaczy, że w zasadzie ich nie było?

Na początku często nie było. Z czasem różni księża byli zwalniani z więzień lub trafiali do Kazachstanu jako zesłańcy. Tak było choćby z bł. ks. Władysławem Bukowińskim, który po zwolnieniu z gułagu prowadził tajne duszpasterstwo w Karagandzie. Znalazł się tam, ponieważ miał zakaz powrotu do miejsca, z którego został wywieziony. Zanim komunizm zaczął upadać i rozluźniać swój ucisk, a Kościół się odradzał, katolicy już byli dość dobrze zorganizowani. Oczywiście przeważnie wewnątrz swoich grup narodowościowych. Niemcy organizowali swoje życie religijne po niemiecku, natomiast polscy katolicy często mówili między sobą po ukraińsku, bo tak też porozumiewali się jeszcze u siebie w domach, ale modlili się po polsku.

Udawano się utrzymywać działalność księży w sekrecie?

Moim zdaniem władze coś przeważnie nie wiedziały, ale wśród ich lokalnych przedstawicieli, i po prostu tamtejszej ludności, wytworzyła się przychylność wobec katolików. Do stosowania represji przymuszały przede wszystkim władze centralne. Niestety, to odstraszanie przynosiło pewien skutek, szczególnie jeśli chodzi o młodych ludzi. Szkoła była ateistyczna, do tego dochodziła zwykła obawa o przyszłość i młodzież, pozbawiona umocnienia poprzez katechezę odpadała.

Czy sytuacja zmieniła się na lepsze po upadku komunizmu?



Bardzo się zmieniła, i to zdecydowanie na lepsze. Pierwsze oznaki zmiany były już zresztą odczuwalne mniej więcej pięć lat przed upadkiem komunizmu. Widziałem to dobrze. Posługiwałem w Kazachstanie od 1981 r. i nigdy się nie przejmowałem naciskami władz. Widziałem, że robię to, co należy, i mam prawo do tego dane od Boga, prawo, by służyć ludziom. Jednocześnie jednak dzięki temu dość jasno widziałem, że naciski władzy słabną.

Jak wyglądała praca księdza arcybiskupa w tych zmieniających się warunkach?

Gdy przyjeżdżałem do miejscowości, wszystko już było gotowe do mszy, do spowiedzi, które trwały nieraz cały dzień. Msze odprawiane były często w takiej formule, że różne części recytowano w różnych językach: niemieckim, polskim i rosyjskim. Na przykład „Gloria”, czyli „Chwała na wysokości Bogu”, była po polsku, a „Credo”, czyli „Wierzę w jednego Boga”, po niemiecku, a „Ojcze nasz” po rosyjsku. Kazania głosiliśmy po rosyjsku, ponieważ rosyjski był zrozumiały dla wszystkich. Czasem Polacy czy Niemcy prosili mnie, żeby odprawić raz mszę po polsku, a raz po niemiecku, ale to nie byłby dobry pomysł, ponieważ wtedy Polacy nie przychodziliby w tygodniach, kiedy msza byłaby po niemiecku, a Niemcy – rzecz jasna – odwrotnie.

Co się zmieniło w nowych czasach?

Do dziś wybudowano w Kazachstanie 30 kościołów, które są ocieplane i zapewniają godne warunki. Powstały plebanie i domy zakonne dla sióstr. W Kazachstanie jest teraz około stu księży i stu sióstr zakonnych. Zresztą sytuacja ustabilizowała się w całym regionie Azji Środkowej. Sądzę, że wiele z tego jest zasługą tych pierwszych zesłańców, którzy swoją modlitwą i swoim poświęceniem przybliżali dobrą sytuację, którą mamy dziś.

Kościół w Kazachstanie to dalej przede wszystkim Polacy i Niemcy?

Nie tylko. Są księża Kazachowie, jeden z nich nawet studiuje w Rzymie. Mamy też naprawdę dobre wydanie mszału po kazachsku. Zresztą seminarium w Karagandzie jest seminarium międzynarodowym, studiują u nas choćby Gruzini i inne nacje. W tej chwili z tych 136 narodów żyjących w Kazachstanie już 20 ma w swoich szeregach katolików. Nierzadkie są przypadki, gdy do Kościoła

wraca ktoś, kto miał zupełnie niewierzących rodziców, ale babcię czy dziadka katolika. Są też tacy, którzy w ogóle nie mają korzeni katolickich.

Kazachowie to ateistyczne społeczeństwo?

Ateizm w Kazachstanie był oficjalny, ale jednocześnie bardzo powierzchowny. Myślę, że dziś w Polsce jest więcej takich niedowiarków i antyklerykałów z przekonania niż w Kazachstanie. To sprawia, że ewangelizacja jest w tym kraju czymś znacznie prostszym niż w zbuntowanej przeciw Bogu Europie. Oczywiście niezbędne jest świadectwo księży i innych wierzących. Tam ludzie czują, czy ktoś przynosi dobro czy zło.

Komunizm ich nie zepsuł?

Komunizm jaki był, taki był, ale jednocześnie nie było w nim miejsca na ideologie, które teraz toczą Zachód, czyli gender, polityczny ruch homoseksualny itd. I do dziś w Kazachstanie nie ma tych ruchów. Państwo troszczy się o rodzinę – może dzieje się to tylko na poziomie jakiejś swojej ideologii, ale jest to bardzo wyraźne od strony praktycznej. Każdy też może wychowywać swoje dzieci we własnej tradycji i religii.

Księżu arcybiskupie, jak możemy dziś głosić, że to Kościół wciąż jest miejscem zbawienia człowieka?

Przede wszystkim nie zapominajmy, że Kościół istnieje z ustanowienia Bożego. Nie założył go żaden prorok, ale Jezus Chrystus, który jest Bogiem i człowiekiem. Jeśli się tę prawdę odrzuci, to człowiek staje się jak Robinson Crusoe na bezludnej wyspie. Nie wie, po co dalej ma żyć, nie wie, jaki jest cel jego istnienia poza przeżyciem, przetrwaniem, przyjemnością. Dzisiaj wiarę chrześcijańską traktuje się często na równi z jakimś mitami. Co więcej, ten sposób myślenia wszedł także do samego Kościoła. Od Soboru Watykańskiego II jest to bardzo wyraźny trend, ale ujawnił się już wcześniej, w czasach kryzysu modernistycznego, jeszcze w XIX w. Dzisiaj na uczelniach katolickich modernizm przodkuje i stanowi awangardę zepsucia Kościoła. Moderniści, tak jak dawni filozofowie scharakteryzowani przez św. Pawła, poznali wszystkie nauki, ale poznając wszystkie nauki, nie poznali tego, który dał im możliwość poznania i jest ważniejszy od wszelkich nauk. Wprowadzili do Kościoła różne rozważania, które zaprzeczają

ją prawdzie stworzenia świata przez Boga, zaprzeczają jedyności zbawienia przez Chrystusa, zaprzeczają, że Bóg dał Izraelowi obietnicę mesjańską, której spełnienie zostało przez naród wybrany odrzucone, ponieważ Izrael chciał mesjasza politycznego, a nie ukrzyżowanego. Moderniści zaprzeczają też, że Chrystus prowadzi Kościół inaczej, niż chce duch świata. Duch świata doprowadził Kościół do zepsucia, grzechu, hedonizmu, czyli do tego, co jest codziennością świata.

A co z Polską?

Niestety, dziś nie czuje się, by Polska była katolicka. Wprawdzie statystyka mówi o 90 proc. ochrzczonych, ale mam wrażenie, że z wiarą jest gorzej niż w czasach komunistycznych. Wtedy Polacy żyli zasadami wiary i dzięki temu wiedzieli, że komunizm jest ich wrogiem. Dzisiaj wydaje się, że wielu wierzących żyje, jak gdyby nie było żadnego wroga. Jednak to dlatego, że wielu z biskupów brata się ze światem. Niewiele mówi się w Kościele o Chrystusie, niewiele o cierpieniu i grzechu. Nie głosi się katechizmu. Przez to w Kościele jest zamęt, ludzie nie wiedzą, co robić, co jest wymaganiem wiary, a co nie. Kiedy zacząłem się jakiś czas temu wypowiadać o problemach Kościoła, nagle spotkałem się z niechęcią wielu biskupów i w Polsce, i w Watykanie. A prawda jest taka, że ja po prostu mówię to, co i inni powinni mówić, a tego nie robią. Mam ochotę zapytać swoich braci w biskupstwie, komu służą. Czy Chrystusowi, czy sobie?

Czy widzi ksiądz arcybiskup jakiś centralny problem Kościoła w Polsce?

Wielka jest bieda, moim zdaniem, w Polsce z powodu powiązania władzy świeckiej i władzy kościelnej. To jest wielka szkoda zarówno dla jednych, jak i dla drugich, ale bardziej dla władzy kościelnej. Władza kościelna w Polsce jest zniewolona tą relacją, a to zniewolenie przekłada się na milczenie w sprawach zasadniczych. Biskupi przez swoje związki z władzami boją się mówić prawdę. A ponieważ obawiają się mówić te różne konkretne rzeczy, które powinni mówić, Bóg zabrał im w ogóle siłę mówienia. Biskupi w Polsce właściwie siedzą cicho w większości spraw albo wypowiadają się ezopową mową. I rzeczywiście, kiedy zacząłem się wypowiadać o sytuacji Kościoła, znacznie większe zrozumienie znalazłem u świeckich niż u biskupów.



Arcybiskup Jan Paweł Lenga prowadzi obrzęd konsekracji nowo wybudowanej katolickiej katedry w mieście Pawłodar w Kazachstanie. FOT. TASS/PAP

Dlaczego tak jest zdaniem księdza arcybiskupa?

Ponieważ wielu świeckich przyswoiło sobie katechizm, traktuje zawarte tam prawdy poważnie, a niejeden teolog czy nawet biskup traktuje katechizm z przyzwyczajenia. O problemie złego wykształcenia młodych pokoleń księży mówił sam kard. Gerhard Müller w swoim „Manifeście wiary”. Tradycyjna doktryna Kościoła wychowywała prezbitera na drugiego Chrystusa, który idzie na krzyż

ze swoją posługą. Czerwony kardynałski biret nie jest dany po to, by pięknie wyglądał, ale jako znak gotowości tego, który go przyjmuje, na męczeństwo, na przelanie krwi. Chrystus powiedział apostołom, że będzie z nimi przez wszystkie dni aż do skończenia świata, ale jeśli będą głosili to, co im przekazał, to, czego byli świadkami w dniu Zmartwychwstania. Kiedy się tego, co powinno, nie naucza, to i kościoły stoją puste. Nie dzieje się to wcale dlatego, że wszyscy ci ludzie

nagle stali się bezbożnikami i zjadłymi wrogami Kościoła.

Jak to wyjaśnić?

Ludzie potrzebują Boga także w tych krajach, gdzie jest dobrobyt, ale często nie otrzymują prawdy o nim w Kościele, bo im się go tam nie głosi. Nie napelni się duch ludzki próżnością świata. Wszyscy – i świeccy, i biskupi – muszą pamiętać, że na Sądzie Ostatecznym zdadzą sprawę ze swoich czynów i wtedy żadne układy z władzą czy bogactwo nie będą miały znaczenia.

Czy kryzys, którego doświadczamy w Kościele, nie jest szansą dla każdego z nas, by opowiedzieć się po stronie wiary?

Szansa polega na tym, że Bóg jest naszym obrońcą. Jezus mówił do Piotra: „Piotrze, diabeł prosił, żebyś was przesiać jak pszenicę, ale ja modliłem się za Ciebie, żebyś nie ustała Twoja wiara, a Ty, kiedy się nawrócisz, utwierdzaj braci w wierze”. Chrystus powiedział także, że bramy piekielne Kościoła nie zwyciężą. Matka Boża Fatimska powiedziała, że Niepokalane Serce zatriumfuje. Wielka odpowiedzialność spoczywa także na następcach apostołów, czyli biskupach, którzy nie powinni iść za własnymi pomysłami, ale głosić naukę Chrystusa, taką, jaką On im polecił głosić.

Jaka przyszłość czeka Kościół?

Może się stać tak, jak kard. Ratzinger mówił przed laty, że Kościół przyszłości będzie wspólnotą katakumb. Nie w takim sensie jak w starożytności, że w jakichś grotach zacznie się gromadzić, ale w małych wspólnotach, w prywatnych mieszkaniach. Jedno jest pewne, przetrwa ten Kościół, który będzie wierny swojej dwutyścioletniej tradycji, a nie powiem takiej czy innej mody w nauczaniu. Warunkiem zmiany sytuacji jest powrót do głoszenia katechizmu, rygorystyki Ewangelii i Tradycji. Jeśli biskupi do tego wrócą, to odzyskają też siłę mówienia i znów pojawią się nawrócenia na prawdziwą wiarę.

Jakie przesłanie zostawi ksiądz arcybiskup wiernym świeckim czytającym naszą rozmowę?

Trzeba być wiernym Kościołowi do końca. Jest Bóg, są przykazania Boże i trzeba je wypełniać. Uczestniczyć we mszy, spowiadać się i modlić, przeciwstawiać ideologiom. To jest teraz najważniejsze w tych trudnych czasach.



Wojciech Wybranowski

Działacze PO, zwłaszcza w terenie, z niecierpliwością oczekują powrotu do krajowej polityki Donalda Tuska. To jednak nie nastąpi tak szybko, jak się spekuluje

To ma być przełomowa data na polskiej scenie politycznej. Jak spekulują media – 4 czerwca powstanie ruch, nawiązujący nazwą do wyborów z 1989 r., który ma być z jednej strony dla opozycji nowym otwarciem, a z drugiej trampoliną do przyszłego powrotu Donalda Tuska na polską scenę polityczną. Jego kadencja na stanowisku przewodniczącego Rady Europejskiej upływa dopiero z końcem listopada, ale tajemnicą poliszynela jest, że Tusk już czeka na wygodny dla siebie moment, by włączyć się do politycznej gry w Polsce.

Samo czerwcowe wydarzenie będzie jednak znacznie mniej spektakularne niż zakładano. Już wiadomo, że prawdopodobnie nie pojawią się na nim Barack Obama wraz z małżonką. Politycy PO, z którymi rozmawialiśmy, uważają, że wydarzenia ostatnich miesięcy, w tym zawiązanie Koalicji Europejskiej, sprawiły, iż udział Tuska w czerwcowym evencie politycznym będzie miał charakter raczej symboliczny. Jako lider walki z PiS objawić ma się dopiero jesienią.

– Były premier jest politykiem, który wcześniej mocno kalkuluje każdy swój ruch, w związku z tym nie będzie się angażował w żadne działania dopóty, dopóki nie będzie miał wysokiego prawdopodobieństwa ich efektywności – ocenia w rozmowie z „Do Rzeczy” prof. Maciej Drzonek, politolog z Uniwersytetu Szczecińskiego. Uważa, że dobrym momentem powrotu Tuska byłyby mocne wahnięcia w nastrojach społecznych. – Pewne symptomy tego są już wyczuwalne – twierdzi ekspert.

SONDOWANIE ZAPLECZA

Jak poinformował portal Gazeta.pl, Tusk ma się pojawić w Polsce 3 maja, na finiszu kampanii wyborczej do Parlamentu Europejskiego. Ma wygłosić mocne przemówienie, którego jednym z ważnych punktów będzie ryzyko ewentualnego

Przyczajony Tusk

FOT. ANANDU/AGENCY/GETTY IMAGES

polexitu – o dążenie do niego opozycja próbuje oskarżać Prawo i Sprawiedliwość. Wszystko ma się odbyć w Auditorium Maximum Uniwersytetu Warszawskiego.

– Tutaj chodzi o interes Polski, i to nie tylko w perspektywie mojego pokolenia, lecz także moich dzieci, wnuków. Te wybory prawdopodobnie rozstrzygną, jakie będą Polska i Europa. Nie będę udawał, że to nie moja wojna, że to nie moje wybory – mówił Donald Tusk w lutym, w rozmowie z TVN24.

Według nieoficjalnych informacji były premier podczas majowego wydarzenia

będzie mówił też o europejskiej odpowiedzialności, o budowaniu wspólnej Europy.

– Liczymy, że padną też mocne słowa dotyczące zagrożenia dla Polski w Europie pod dalszymi rządami PiS. Jednak w mojej ocenie nie chodzi Donaldowi tylko o wsparcie dla nas w kampanii, lecz także pewien sondaż społeczny, na ile dziś jest on człowiekiem, który może być silnikiem napędowym opozycji antypisowskiej – mówi nam jeden z polityków Platformy, dziś zaliczany do obozu wewnątrz największej partii opozycyjnej, niechętnego Grzegorzowi Schetynie. O obecnym



przywódcy swojej partii mówi tak: – Grzegorz jest liderem Koalicji Europejskiej, ale liderem nader topornym.

Problem w tym, że ostatnie sondaże zaufania opinii publicznej nie kreują Donalda Tuska na polityka, który dla większości wyborców byłby przekonujący. Opublikowany w połowie marca ranking przygotowany przez IBRiS dla portalu Onet.pl daje Tusкови zaledwie czwarte miejsce. Ufa mu 38,3 proc. respondentów. Byłego premiera wyprzedzają prezydent Andrzej Duda (46,3 proc.) i premier Mateusz Mora-

wiecki (41,7 proc.). Szef Rady Europejskiej potrzebuje sukcesu, dlatego niezbyt aktywny w rozwiązywaniu kwestii związanych z brexitem, teraz – jak poinformowało BBC – zamierza zaproponować Wielkiej Brytanii wydłużenie okresu wyjścia z Unii Europejskiej o pół roku.

– Nadzieje na powrót na „białym koniu” już upadły, teraz gra toczy się o to, by Donald wrócił do Polski jako człowiek, który nie walczy o doraźne polityczne interesy, ale o wspólną Europę, nasze miejsce w niej i fundusze

– uważa inny polityk PO zaliczany do obozu zwolenników Tuska.

Kolejna wizyta byłego premiera – 4 czerwca – też będzie okazją do mobilizacji i policzenia jego zwolenników. On starannie wykorzystuje każdą możliwość, by wysłać swojemu zapleczu czytelny sygnał: jestem gotowy i wrócę. To m.in. dlatego przyjechał do Gdańska na pogrzeb prezydenta tego miasta Pawła Adamowicza, poparł następczynię Adamowicza – Aleksandrę Dulciewicz, spacerował w ubiegłym roku po krakowskim Rynku Głównym czy wystąpił z mocnym



przemówieniem w przededniu uroczystych narodowych obchodów stulecia niepodległości (powiedział wtedy o PiS: „Jeśli Józef Piłsudski i Lech Wałęsa mogli pokonać bolszewików, a obaj mieli o wiele trudniejszą sytuację, niż jest dzisiaj, to dlaczego wy nie mielibyście dać rady pokonać współczesnych bolszewików?”).

SCHETYNA KONTRATAKUJE

Oprócz kadencji szefa Rady Europejskiej jest jeszcze jeden powód, dla którego 4 czerwca Tusk nie będzie chciał pokazać się jako lider polskiej opozycji. Grzegorzowi Schetynie w ostatniej chwili udało się nieco zneutralizować plany rywala. –

Nie tylko z powodu kadencji szefa Rady Europejskiej Tusk nie pokaże się jako lider opozycji 4 czerwca. Plany pokrzyżował mu też Schetyna

Pomysł powołania nowego ruchu, którego twarzą byłby Donald, pojawił się w momencie, gdy Schetyna nie radził sobie z tworzeniem Koalicji Europejskiej. Można było założyć, że pójdziemy do wyborów podzieleni i znów PiS odniesie sukces – mówi nam młody polityk Platformy. – Teraz jakoś się to spięło, koalicja dociera się w bólach, ale działa, więc Donald znów się przyczaił – dodaje. Sam przyznaje jednak, że chciałby, by powstała nowa siła, która powalczy politycznie z PiS. I pomysły na „coś nowego” pojawiają się od czasu przegranych przez PO wyborów prezydenckich i sejmowych w 2015 r. Nieoficjalnie w Platformie mówiło się, że bliscy współpracownicy Donalda Tuska, wśród których wymieniano m.in. Ewę Kopacz, lobbują za utworzeniem na bazie PO i Komitetu Obrony Demokracji nowego ruchu społecznego, z nową nazwą, niekojarzącą się z partią. Twarzą tego miał być – choćby wyłącznie zdalnie, z Brukseli – Donald Tusk. Na tym tle miało też kilkakrotnie dochodzić do ostrych spięć wewnątrz PO między zwolennikami Tuska i Schetyny, zakończonych m.in. usunięciem z ugrupowania Stefana Niesiołowskiego i Stanisława Huskowskiego.

– Widzę Donalda w krajowej polityce. Tylko on jest w stanie odsunąć PiS od władzy – mówił jesienią ubiegłego roku Stefan Niesiołowski w wywiadzie dla „Su-

per Expressu”. I dodawał: – Uważam, że Tusk powinien stanąć na czele zjednoczonej opozycji. To byłoby dobre rozwiązanie. A ja wtedy będę w obozie politycznym, w PO, jeśli szefem będzie Tusk.

Ostatecznie nowa partia nie powstała, bo Schetyna zrealizował plany swoich przeciwników, jednocząc opozycję pod neutralnym szyldem Koalicji Europejskiej. Kilku zagorzałych zwolenników Tuska znalazło się na liście KE do Parlamentu Europejskiego, co oznacza, że jeśli zdobędą mandaty, to ich wpływy na partię „w Warszawie” i politykę krajową znacznie spadną.

Czy to oznacza, że dziś Tusk może mieć problem z przejęciem wpływów w opozycji od Schetyny? – Wszystko zależy od wyniku Koalicji Europejskiej w majowych wyborach do PE – uważa dr Jacek Kloczkowski, politolog z Ośrodka Myśli Politycznej. – Jeśli będzie niezły, to Grzegorz Schetyna zrobi wszystko, by nie pozwolić odebrać sobie zaszczytnego tytułu pierwszego antypisowca w RP. Donald Tusk oczywiście może nawet w takiej sytuacji wrócić, ma dość silny popierający go elektorat, natomiast może to prowadzić do pewnych podziałów na opozycji.

Nieco innego zdania jest prof. Maciej Drzonek, który uważa, że nie trzeba porażki Koalicji Europejskiej, by Donald Tusk objął się przeciwnikom rządów Prawa i Sprawiedliwości jako lider opozycji. – Trochę jeżdżę po Polsce, robiąc swoje badania terenowe, i w ich trakcie przeprowadzam anonimowe rozmowy z anonimowymi politykami. Rozmawiam też z terenowymi działaczami PO i z tych rozmów wynika, że jest wśród nich spore oczekiwanie na Donalda Tuska – przekonuje politolog. Profesor Drzonek tłumaczy też, skąd się to bierze: – Pozycja Schetyny może wzrosnąć, jeśli osiągnie on sukces z Koalicją Europejską, ale proszę pamiętać, że samo stworzenie KE paradoksalnie uderzyło w Schetynę wewnątrz PO. W wyborach do PE jest tylko „trzyście jedynek”, z których część oddano politykom ugrupowań koalicyjnych. To niekoniecznie podobało się ludziom Platformy „w Polsce”, którzy od dawna pracowali na rzecz tego ugrupowania, licząc, że będą mieli swój udział w ewentualnym sukcesie i władzy.

UKRYTY SMOK

W połowie lutego tygodnik „Wprost” informował, że Donald Tusk zlecił

swojemu zaufanemu Pawłowi Graśowi przegląd struktur Platformy Obywatelskiej z myślą właśnie o nowej inicjatywie politycznej mającej powstać 4 czerwca.

– Co jakiś czas mamy sygnały od ludzi, o których wiemy, że są blisko związani z Donaldem Tuskiem, sondujące czyha, czy staniemy za nim czy poprze-my Schetynę. To wygląda na liczenie szabel – mówi nam jeden z poznańskich działaczy samorządowych Platformy Obywatelskiej. Jednak i on uważa, że przynajmniej do jesiennych wyborów parlamentarnych zaangażowanie Tuska w walkę z PiS w Polsce będzie bardziej medialne i symboliczne niż faktyczne. – No, chyba że wynik naszej Koalicji Europejskiej w wyborach do PE i dalsze sondaże będą tak dobre, że Donald uzna, iż przejmując opozycję z rąk Schetyny, prowadzi ją do zwycięskiej walki o krajowy parlament i na tej bazie, niesiony falą „pogromcy PiS”, wystartuje w wyborach prezydenckich – uzupełnia nasz rozmówca.

Donald Tusk raczej nie odpuści sobie rywalizacji z Andrzejem Dudą w wyborach prezydenckich, bo mogą być one dla tego polityka najlepszym momentem, by po zakończonej kadencji w Brukseli pozostać na politycznej scenie.

– Uważam, że to jest świetny kandydat, najlepszy, jaki może być – mówiła Ewa Kopacz, bliska przyjaciółka Donalda Tuska, pytana przez Radio Zet, czy powinien on startować w wyborach prezydenckich. Podobnego zdania był również przewodniczący klubu PO-KO Sławomir Neumann. – Mówimy o tym od wielu, wielu miesięcy, o tym, że byłby dobrym, idealnym wręcz kandydatem Koalicji Europejskiej, wtedy już nie opozycji, myślę, że wtedy rządzących – na prezydenta w wyborach w 2020 r. – stwierdził polityk PO w rozmowie z Radiem TOK FM.

Nie oznacza to jednak, że start Tuska w nich jest przesądzony. Gdyby doszło do podwójnej porażki opozycji w wyborach: do Parlamentu Europejskiego i krajowych, Tusk mógłby zawiesić swoje plany. – Wystartuje tylko wówczas, jeśli mobilizacja antypisowska będzie tak duża, iż będzie miał gwarancję sukcesu. Jest w sytuacji, w której nie może pozwolić sobie na żadną porażkę – uważa dr Jacek Kloczkowski.



FOT. WOJCIECH STRÓŻYŃSKI/REPORTER

Bracia Kurscy, czyli podzielona Polska



Maciej Pieczyński

Jarosław i Jacek wychowali się w patriotycznej rodzinie, w duchu walki z komunizmem. Dzisiaj stoją po dwóch stronach ideowej barykady. Są liderami opinii swoich politycznych „plemion”. Kurscy personifikują dwie walczące ze sobą Polski

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej”, jawnie stojący po stronie anty-PiS i prezes Telewizji Polskiej, oskarżanej o sprzyjanie PiS. Trudno wyobrazić sobie głębszy podział na obecnej scenie politycznej nad Wisłą. Trudno też zrozumieć, jak to się stało, że dwaj bracia poszli w dwóch tak różnych kierunkach. Przy czym ich



drogi zaczynały się podobnie – od walki z komunizmem. Nic dziwnego – o ich patriotyczne wychowanie zadbała matka. Anna Kurska była żołnierzem „Szarych Szeregów”, uczestniczyła też w powstaniu warszawskim jako sanitariuszka. W PRL działała w opozycji, w Zarządzie Regionu „Solidarność”. Była sędzią Sądu Okręgowego w Gdańsku. Za swoją opozycyjną aktywność w czasie stanu wojennego straciła pracę. Jej mąż, Witold, do tej działalności odnosił się z dystansem. Dawni współpracownicy Anny Kurskiej wspominają, że gdy w jej domu organizowane były konspiracyjne spotkania opozycjonistów, niezwykle ważne było, żeby nie obudzić męża.

Krzysztof Wyszowski poznał Jacka i Jarosława właśnie jako synów sędzi Anny Kurskiej, która jako sędzia pozostawała w kontakcie z Wolnymi Związkami Zawodowymi. – Pamiętam, jak przychodziłem do ich domu, by przekazywać materiały związane z działalnością konspiracyjną. Pukałem w okno pokoju Jacka i Jarka. Chłopcy mieli wtedy po kilkanaście lat. Pomimo późnej pory zawsze chętnie zrywali się z łóżek, żeby pomóc, otworzyć drzwi czy przekazać mamie jakąś ważną wiadomość. Byli bardzo uczynni, grzeczni, sympatyczni, uprzejmi – wylicza Krzysztof Wyszowski. Założyciel WZZ przyznaje, że udział w opozycyjnej działalności mógł być dla ówczesnych nastolatków także zwyczajną „fajdą”, wielką przygodą. Szczególnie że wychowani w patriotycznej rodzinie, jako synowie uczestniczek powstania warszawskiego, mieli świadomość, iż biorą udział w dalszym ciągu walki o niepodległość.

Po raz kolejny Wyszowski spotkał Kurskich już w wolnej Polsce. Z Jackiem pewnego razu razem wracali z Warszawy do rodzinnego Gdańska. Młodszy Kurski był wtedy dziennikarzem gazety „Solidar-

artykuł o tamtych wydarzeniach. Nic nie pomylił, napisał wszystko profesjonalnie, kompetentnie, zwracając uwagę na najważniejsze kwestie. Musiał mieć doskonałą pamięć, bo nie nagrywał tej rozmowy. Poza tym okazało się, że pomimo młodego wieku doskonale rozumiał ówczesną polską politykę – podkreśla.

– Pamiętam, jak już po obradach Okrągłego Stołu wybrałem się w odwiedziny do Lecha Wałęsy, który wówczas był jeszcze moim kolegą i przyjmował mnie niemal o każdej porze – wspomina. – Przychodzę do gabinetu, chwytam za klamkę, a tu od wewnątrz ktoś otwiera drzwi. Okazało się, że to Jarek. Był już wówczas rzecznikiem Wałęsy. Przedstawiłem się. Przypomniałem mu, że się znamy. „Pamiętam cię, Jarku, jako małego chłopaka” – mówię mu. Przyznał, że kojarzy, ale po chwili zamknął mi drzwi przed nosem. Trochę byłem zdziwiony, bo to raczej ja, jako wieloletni współpracownik Wałęsy, powinienem wprowadzać młodego Jarka Kurskiego do gabinetu szefa Solidarności, nie odwrotnie – opowiada Wyszowski. – Wtedy zrozumiałem, że to już nie jest ten sam uprzejmy, greczny chłopak, tylko dorosły, pewny siebie mężczyzna, który ma już swoje, bardzo konkretne, polityczne ambicje – dodaje.

NIESPODZIEWANY AWANS

Jak mówi Krzysztof Wyszowski, nie brakowało wówczas w środowisku solidarnościowym opinii, że Jarosław Kurski, świadom wysokiej pozycji, jaką dawało stanowisko rzecznika prasowego Wałęsy, stał się dominujący, opryskliwy, antypatyczny. Jednocześnie funkcja ta niewątpliwie pozytywnie wpłynęła na dalszą karierę starszego z braci.

Rzecznikiem Wałęsy Jarosław Kurski został dość niespodziewanie. W tamtym czasie Anna Kurska przyjaźniła się z Gwiazdami i Anną Walentynowicz

łęsą, uprzedzała, że się rozczaruje. Wałęsa do 1989 r. był wielkim Wałęsą. Gdy się u niego zatrudniałem, był u szczytu. Jednak zaraz zaczęła się wojna na górze. Zrozumiałem, że polityka to brudna walka o władzę, kłębowski zmij, pole chorych emocji i irracjonalnych ambicji – wspominał po latach Jarosław Kurski w rozmowie z „Polityką”.

Rzecznikiem Wałęsy był Jarosław Kurski między październikiem 1989 r. a lipcem 1990 r. Odeszł u progu tzw. wojny na górze. Rok po odejściu ze stanowiska rzecznika opublikował książkę pod wiele mówiącym tytułem „Wódz” na temat Lecha Wałęsy. Swojego byłego pracodawcę opisał w niej bardzo krytycznie. Zbierając materiały na temat tytułowego bohatera, zwrócił się z prośbą o rozmowę m.in. do Krzysztofa Wyszowskiego. – Nie pamiętam już dokładnie, czy zgłosił się do mnie jeszcze jako rzecznik Wałęsy czy już po odejściu. Jeśli zaczął pisać książkę na temat szefa przed zakończeniem współpracy, to było to skrajnie nielojalne. Nawet jednak jeśli pomysł narodził się w głowie byłego już rzecznika, to jednak nie najlepsze wrażenie robiło to, że Jarek obsmarował swojego dawnego pracodawcę. Wyglądało to tak, jakby wykorzystał sławę Wałęsy, by na jego nazwisku zdobyć popularność – ocenia opozycjonista. Do warsztatu dziennikarskiego starszego z braci Kurskich wtedy jeszcze nie miał jednak zastrzeżeń: – W ramach prac nad książką odbyliśmy trzy-cztery rozmowy. Moje wypowiedzi cytował w uczciwy sposób, choć oczywiście wybrał te kwestie, które wydały mu się najciekawsze.

Z kolei Bogdan Borusewicz chwali książkę starszego Kurskiego. – Jarek napisał nie tyle złośliwą, ile niezwykle krytyczną, ale bardzo interesującą biografię Wałęsy. Przede wszystkim genialnie ją zatyłował. „Wódz” w pełni oddaje osobowość bohatera książki – mówi Borusewicz. Swoje zdanie o publikacji podtrzymuje, pomimo że dziś jego formacja polityczna pozostaje w bardzo dobrych relacjach z Wałęsą.

W 1986 r. Jacek Kurski, wraz z Piotrem Semką i Maciejem Wilczyńskim, dostali propozycję prowadzenia gazety „Solidarność”. Pismo Regionu Gdańskiego”.

„Jarku, uważaj, bo ty się powoli zmieniasz z Kurskiego w Arskiego” – tak Krzysztof Wyszowski ostrzegał już jakiś czas temu starszego z braci. Miał na myśli Stefana Arskiego, historyka, który w czasach PRL bezpardonowo

Krzysztof Wyszowski poznał Jacka i Jarosława jako synów sędzi Anny Kurskiej, która pozostawała w kontakcie z Wolnymi Związkami Zawodowymi

ność. Pismo Regionu Gdańskiego”. – Po drodze pypytywał mnie szczegółowo o różne wydarzenia z okresu Okrągłego Stołu, o moje poglądy na to, co się wydarzyło latem 1989 r. Był bardzo dociekliwy – wspomina Wyszowski. – Na bazie tej rozmowy napisał długi, czterostronicowy

oraz podzielała ich negatywne zdanie na temat lidera Solidarności. – Kiedyś w rozmowie z Jackiem Wałęsą opowiadał, że z nim wojowała, ale podkreślał, że zawsze grałam czysto – wspominała w 2013 r. w rozmowie z „Do Rzeczy”. Ostrzegała syna przed współpracą z Wa-



atakował podziemie niepodległościowe. Jarosław nie odpisał. – Później już po prostu nazywałem go „Arskim” – przyznaje Wyszkowski. – Niestety, Jarek sprzeniewierzył się ideom Solidarności. Stał się postacią zakłamaną, zwyczajnym propagandystą postkomunizmu – dodaje. Jednocześnie przyznaje, że, niezależnie od polityki, ceni Jarosława Kurskiego od strony zupełnie prywatnej – jako opiekunczego, troskliwego rodzica. Po raz ostatni widzieli się na pogrzebie Anny.

Braci Kurskich dzieliła nie tylko różnice polityczne, lecz także charakterologiczne. – Jarek był drażliwy, delikatny. Jacek przebojowy – przewodził klasie, kochał piłkę nożną. Wołał: „Banda za mną!” i biegł na czele sfory dzieciaków. Lubił się chwalić. Skakał w dal na plaży i krzychał: „Ludzie, patrzcie, ja skaczę!” – wspominała w jednym z wywiadów Anna Kurska. Jarosław był od zawsze wrażliwy, wyważony, spokojny. Jacek z kolei – otwarty, spontaniczny, bezpośredni, ambitny. „Ojciec wiązał z Jackiem wielkie nadzieje, ja z kolei chciałem zasłużyć na akceptację ojca. Lubiłem jego pasje i kontynuuję je do dziś” – przyznał Jarosław w rozmowie z „Tygodnikiem Powszechnym”.

Bracia Kurscy uczęszczali do III Liceum Ogólnokształcącego im. Bohaterów Westerplatte w Gdańsku. Ta jedna z najpopularniejszych trójmiejskich szkół średnich, nazywana „Topolówką”, cieszyła się opinią niepokornej i zbuntowanej. Młodzież i część nauczycieli były stale inwigilowane, represjonowane. – O braciach Kurskich po raz pierwszy usłyszałem w połowie lat 80., właśnie jako o uczniach słynącej z opozycyjności „Topolówki”. W tej szkole ciągle coś się działo, demonstracje na przerwach, protesty... Żona mojego współpracownika z podziemnej Solidarności była tam bibliotekarką, więc miałem informacje na bieżąco – wspomina Bogdan Borusewicz. Jak przyznaje wicemarszałek Senatu, od samego początku częściej do czynienia miał z Jackiem niż z Jarosławem. – Jacek był zawsze bardziej ekspansywny, przebojowy, pchał się na afisz – mówi Borusewicz. Od początku jednak ich relacje nie układały się najlepiej. – Pamiętam, jak na początku lat 90., już jako pracownik Telewizji Polskiej, kręciłem program o Adamie Michniku. Wtedy po raz pierwszy zrobił mnie w konia – twierdzi. I wyjaśnia: – Wyjął moje wypowiedzi z kontekstu, zmontował w takiej formie, że praktycznie całkowicie zmienił ich sens. Bardzo

negatywnie mnie to zaskoczyło. Od tej pory nie miałem do niego zaufania.

Bogdan Borusewicz przyznaje, że początkowo nie miał pojęcia, jak wielka jest przepaść między poglądami obu braci. Był przekonany, że nie ma między nimi większych różnic światopoglądowych.

KAŻDY POPEŁNIA BŁĘDY

Wicemarszałek Senatu, pomimo osobistej niechęci do Jacka Kurskiego, znajduje dla obecnego prezesa TVP słowa uznania. – Cechuje go niewątpliwie nadzwyczajna żywotność polityczna – przyznaje. – Już wiele razy wydawało się, że to już koniec jego kariery. Niejednokrotnie nad jego głową zbierały się ciemne chmury. A jednak zawsze potrafił znówu zabłysnąć na firmamencie polskiej polityki. Giętkość i elastyczność Jacka Kurskiego idą w parze z bezwzględnością w walce o władzę. Pamiętam, że z zażenowaniem obserwowałem, jak publicz-

Borusewicz nie zgadza się ze stwierdzeniem, że bracia Kurscy personifikują podzieloną Polskę. – Nie można ich ze sobą porównywać. Jacek postępuje zwyczajnie nieetycznie, niezależnie od poglądów – mówi.

Zupełnie inne zdanie na temat braci ma Krzysztof Wyszkowski. – Obaj wychowali się w patriotycznym domu, ale to Jacek poszedł w ślady matki i wciąż realizuje wyznawane przez nią ideały – ocenia legenda opozycji antykomunistycznej. – Oczywiście jako człowiek w życiu osobistym jak każdy popełnia błędy. Nie ma też w sobie tej wrażliwości, delikatności uczuć co jego brat. Jednak najważniejsze, że trwa na froncie obrony wartości – dodaje. Przebojowość i bezkompromisowość młodszego z braci zdaniem Wyszkowskiego są jego wielkimi atutami: – W polityce trzeba cenić ludzi, którzy wiedzą, czego chcą, są ambitni, pchają się na afisz, starają się

Oprócz patriotycznego wychowania łączyła ich również fascynacja muzyką Jacka Kaczmarskiego. Po jego śmierci napisali wspólny tekst poświęcony pamięci barda

nie padł na kolana przed Jarosławem Kaczyńskim. Zrobił to, rzekomo, z przyróżeniem oka. Jestem jednak przekonany, że naprawdę chciał się ukorzyć przed prezesem PiS, szczerze prosił go o wybaczenie w tak poniżający sposób. Tylko po to, by wrócić na polityczny szczyt – ocenia Bogdan Borusewicz. Mówiąc o giętkości Jacka Kurskiego, wspomina czasy, gdy obaj pracowali w samorządzie. Borusewicz był członkiem zarządu województwa pomorskiego, Kurski – radnym sejmiku. – Przedstawiał się wówczas jako największy antykomunista, co nie przeszkadzało mu ściśle współpracować z postkomunistami, dzięki czemu został wiceprzewodniczącym sejmiku – mówi Borusewicz. Obaj startowali w wyborach na prezydenta Gdańska. Kurski uzyskał gorszy wynik. – Nigdy mu nie zapomnę insynuacji, które wówczas wysunął pod moim adresem. Twierdził, że dostałem więcej głosów tylko dlatego, iż w tamtym czasie zmarła moja żona – wspomina wicemarszałek Senatu. – Dlatego również osobiście jest dla mnie człowiekiem skończonym. Poza tym jako prezes TVP zamienił telewizję publiczną w tubę propagandową – dodaje.

zmieniać rzeczywistość. Takim właśnie człowiekiem jest Jacek. A że jest za to atakowany... To zrozumiałe, dotyczy to każdego, kto realizuje się politycznie.

Oprócz patriotycznego wychowania łączyła ich również fascynacja muzyką Jacka Kaczmarskiego. Po jego śmierci napisali wspólny tekst poświęcony pamięci barda. Jak mówią znajomi braci, dopóki żyła Anna Kurska, dopóty pod wpływem matki potrafili wspólnie usiąść do świątecznego stołu, nie poruszając drażliwego tematu polityki. Niedługo po tym, jak Jacek został prezesem TVP, Jarosław, uczestnicząc w demonstracji KOD, wykrzykiwał pod adresem PiS: „Dziś przyszli po media publiczne, jutro będą chcieli przyjść po media prywatne. Nie pozwolimy im! Pamiętajcie, nie wszyscy Kurscy są do kitu!”. „To już kolejny atak brata na mnie, ale pierwszy tak otwarty, publiczny [...]. Jarosław nie przepracował statusu jedynaka. Gdy się urodziłem, wdarem się w jego bezpieczny świat i jako drapieżnik zburzyłem spokój” – oceniał wówczas Jacek Kurski w jednym z wywiadów. Obaj bracia wciąż stoją po dwóch przeciwnych stronach barykady.



Piotr Semka

Jeden z liderów robotniczej Solidarności lat 80. powraca do polityki w barwach Wiosny Roberta Biedronia. Które to już polityczne wcielenie Zbigniewa Bujaka? Dlaczego poprzednie wcielenia nie kojarzyły się z sukcesem?

Media uwielbiają takie powroty po latach. Come back kogoś, kto wciąż jest znany starszemu pokoleniu, ale nagle zgłasza akces do politycznego ruchu młodszej generacji.

Zbigniew Bujak, jeden z liderów robotniczej Solidarności z lat 80., a potem działacz solidarnościowego podziemia, otrzymał pierwsze miejsce w wyborach do europarlamentu na liście partii Wiosna w Lublinie. Ostatni raz kandydował do Parlamentu Europejskiego 14 lat temu. Bez powodzenia. Teraz znów interesują się nim media. A on sam ogłasza, że „ma dość duopolu PiS-PO” i znalazł wreszcie ruch, który „przypomina mi »Solidarność« z lat młodości”.

Nic dziwnego, że Robert Biedroń obysypuje go teraz komplementami: „Człowiek idei. Człowiek czynu. Człowiek z żelaza. Człowiek z Wiosny. Czuję się zaszczycony, że Zbigniew Bujak, legenda Solidarności, nazywa mnie przyjacielem. Wspólnie będziemy tworzyć Polskę naszych marzeń”.

Jednak w kręgach liberalnego salonu akces Bujaka do Wiosny wywołał kąśliwe uwagi. Święte oburzenie spowodowała jego niedawna uwaga, że „gdyby konstytucja i sądy działały dobrze, Kaczyński nie odważyłby się tego ruszyć”. Liderów Koalicji Europejskiej nazwał: „ludźmi o wielkich ambicjach i pustych głowach”.

„Zbyszku, stałeś się symetrystą?” – zapytał Wojciech Sadurski, wojujący publicysta obozu antykacyzmu. Z prawej strony komentarze też są chłodne. „Znów ktoś wzięł Zbyszka za rączkę i zaprowadził do własnego obozu” – komentuje jeden z polityków PiS obserwujący polityczne perypetie Bujaka od początku lat 80.

Ile było już tych wcieleń Zbigniewa Bujaka w ostatnich 40 latach i dła-



Ostatni azyl Zbigniewa Bujaka

go po 1990 r. jego polityczne wybory zazwyczaj nie kończyły się dobrze?

WCIELENIE NR 1: CHŁOPAK Z URSUSA

Młody robotnik, który stanął na czele strajku w Ursusie w Sierpniu '80, był w tamtym czasie dla inteligenckiej opozycji objawieniem. Energiczny, charyzmatyczny, a jednocześnie chłonący mądrości polityków lewicy laickiej, takich jak Adam Michnik czy Jacek Kuroń. Jako szef Regionu Mazowsze szybko stał się adwersarzem Lecha Wałęsy, którego oskarżał o kunktatorstwo i zbytnią ostrożność. W marcu 1981 r., gdy lider Solidarności narzucił związkowi ugodę z komunistyczną władzą, ciskał w Wałęsę gromy. Jego ówczesny radykalizm z niepokojem obserwował Kościół, wzywający do umiaru i samoograniczenia. Już wtedy przeciwnicy Bujaka zarzucali mu, że politycznie daje się wykozystywać przez Adama Michnika i Jacka Kuronia. Bujak etykiety radykała się nie

wypierał. Lubił dawać do zrozumienia, że jako były komandos, który służbę wojskową odbywał w powietrznodesantowych oddziałach czerwonych beretów – nie obawia się ryzyka. Jesienią 1981 r. staje się współzałożycielem Klubów Rzeczpospolitej Samorządnej – załączka lewicowej partii, wykreowanej przez środowisko KOR-owskie. Rychło jednak wybucha stan wojenny. Łut szczęścia sprawia, że Bujakowi, jadącemu z obrad Komisji Krajowej „S” w Stoczni Gdańskiej, wyznaczono nocleg nie w pobliskim gdańskim hotelu Monopol, ale w odległym sopockim Grand Hotelu. Bujak przybywa do sopockiego hotelu na tyle późno, by zorientować się, że jego kolegów aresztowano, i to ratuje go przed internowaniem. Udaje mu się uciec i w mundurze kolejarza przedostać z Gdańska do Warszawy.

Zaczyna się ukrywać i jako solidarnościowy Robin Hood umykający latami przed pogonią SB – staje się narodowym bohaterem. „Zbyszek Bujak, Zbyszek” – bez



Zbigniew Bujak (z prawej) z Robertem Biedroniem. Bujak wystartuje do europarlamentu z list Wiosny

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

skandowania tego nazwiska nie obeszła się żadna wielka solidarnościowa „zadyma” w latach stanu wojennego. Na magnetowidach VHS Polacy kopiują sobie reportaże z zachodnich telewizji, na których najbardziej poszukiwany członek podziemia udziela wywiadów w dość teatralnej peruce, z przyklejoną brodą. Wtedy to nikogo nie śmiesz, ale raczej budzi podziw. Gdy w końcu wpada w ręce bezpieki w maju 1986 r., siedzi w więzieniu tylko nieco ponad cztery miesiące. Wychodzi na mocy amnestii 11 września 1986 r. i szybko potem wchodzi do Tymczasowej Rady Solidarności.

Nie wojuje już wtedy z Wałęsą. Jest już trwale zdominowany przez czołówkę doradców lidera „S” – Bronisława Gerem-



Książka (wywiad ze Zbigniewem Bujakiem) „Przepraszam za Solidarność” wywołała szok u ludzi Solidarności

FOT. MAT. PRAS.

ka, Adama Michnika i Jacka Kuronia.

Z tego powodu nie oponuje, gdy rozmowy z komunistyczną władzą po strajku w Stoczni Gdańskiej w 1988 r. przejmuje Komitet Obywatelski przy Lechu Wałęsie, a nie formalne władze nielegalnej Solidarności. Przy Okrągłym Stole bez większych różnic zdań akceptuje politykę doradców Wałęsy i powoli staje się malowanym liderem robotniczej „S”.

WCIELENIE NR 2: WZORCOWY ROBOTNIK

Geremkowi i Michnikowi Bujak jako gwarant wsparcia robotniczej Solidarności dla rządu Tadeusza Mazowieckiego jest bardzo potrzebny. Jak trzeba, gasi strajki. Jego sława robotniczego bohatera wciąż robi wrażenie.

Bujak jest wtedy tak prostopadlinowo lojalny wobec lewicy laickiej, że nawet kontestuje wybór Mazowieckiego, a nie Geremka, na premiera. „Dla mnie była to zła decyzja – mówił po latach w jednym z wywiadów. – Gdybym był przez Lecha konsultowany, to bym się jej sprzeciwił. Ja uważałem, że ten urząd [tj. premiera – przyp. aut.] mogą z naszej strony pełnić tylko dwie osoby: albo Lechu, albo Geremek”.

„Gdybym był konsultowany” – wspominał Bujak w 1991 r. Jednak nie był. Tak samo nikt z kręgu Michnik-Geremek-Kuroń także nie traktował opinii Bujaka serio. Lider regionu Mazowsze miał słuchać mądrzejszych od siebie i wcielać ich linie w życie „drużyny Lecha”. W zamian dostawał honorowe dowody uznania – zostaje np. jednym z trzech założycieli Agory, wydawcy „Gazety Wyborczej”, oraz pierwszym prezesem Fundacji Batorego.

Gdy w 1990 r. wybucha wojna na górze z Wałęsą, znów jest bardzo przydatny lewicy laickiej. Jako młody robotnik atakuje starszego o 11 lat Wałęsę za przedkładanie własnych ambicji ponad dobro całego obozu Solidarności. Chętnie przyjmuje zaproszenie do bycia jednym z założycieli Ruchu Obywatelskiego Akcja Demokratyczna (ROAD), który w 1990 r. wspiera w wyborach prezydenckich Mazowieckiego. Z zadęciem ogłasza w „Polityce”, że ROAD sytuuje się „na zachód od Porozumienia Centrum” braci Kaczyńskich.

Wygrana Wałęsy nad Mazowieckim podcina jednak nogi jego karierze. NSZZ „Solidarność” wspiera przyspieszenie Wałęsy, więc dla Bujaka nie ma już zbyt wiele miejsca w związku. A formuła ROAD się wyczerpuje, bo rząd Mazowieckiego, który ruch ten miał wspierać, podaje się do dymisji. Jego dotychczasowi mentorzy – Michnik i Kuroń – są już nieco znużeni naiwnością i tromtadracją swego politycznego wychowanka. Poza tym robotnicy nie są już im potrzebni – stawiają na silną partię opozycyjną: Unię Demokratyczną. Tam za legendę Solidarności robi już o wiele sprytniejszy Władysław Frasyniuk. Bujak pod pretekstem protestu przeciw włączeniu ROAD do UD ogłasza swoje odejście. Ku jego zaskoczeniu – nikt nie prosi go, by został.

WCIELENIE NR 3: OGNISTY LEWICOWIEC

W kwietniu 1991 r. Zbigniew Bujak ogłasza powstanie nowej partii Ruchu Demokratyczno-Społecznego. Nowe ugrupowanie ma być wyrazicielem prosocjalne

■ i wznieść się ponad podziały Solidarność – komuna. Wielkiego sukcesu nie ma. W wyborach parlamentarnych w październiku 1991 r. tylko Bujakowi udaje się zdobyć miejsce w Sejmie.

Aby zademonstrować swój brak uprzedzeń wobec ludzi PRL, tuż przed 10. rocznicą 13 grudnia 1981 r. Bujak przyjmuje propozycję, aby wystawić swoją legitymację Solidarności na aukcji zorganizowanej przez żonę Czesława Kiszcza. W tym samym czasie na rynek wchodzi jego wywiad rzeka pod nazwą „Przepraszam za Solidarność”. Wszystko to wywołuje szok u ludzi Solidarności, którzy widzą w tym zdradę ideałów niegdyśszego bohatera podziemia.

Inni po cichu wskazują, że Bujak pozbawiony ręki Michnika pakuje się w głupstwa wskutek braku politycznej wyobraźni. Sam bohater obu skandali broni hardo swoich wyskoków. W wypadku legitymacji „S” kłóci się, że aukcja miała cele charytatywne, a w wypadku „Przepraszam za Solidarność” tłumaczy, że chodziło o ludzi z zakładów niszczonych przez reformy rynkowe.

Sam jest za słaby na samodzielną politykę, więc w 1992 r. wchodzi do Unii Pracy. Lider UP Ryszard Bugaj chętnie bierze do swej partii człowieka o tak głośnej niegdyś opozycyjnej przeszłości, ale szybko i on traci cierpliwość do naiwnego, ale zaufanego w sobie Zbyszka. Zresztą sprzedaż legitymacji „S” osłabiła jego prestiż. W 1993 r. startuje do Sejmu z listy UP, ale się nie dostaje. Po paru latach obraża się także na Unię Pracy. Tym razem pretekstem do trzaśnięcia drzwiami jest przechył UP pod wodzą nowego szefa Marka Pola w kierunku postkomunistów.

WCIELENIE NR 4: POLITYCZNY ROZBITEK

Z politycznego niebytu wyciąga go sam Leszek Balcerowicz. Za jego protekcją Bujak wraca w orbitę Unii Wolności i zostaje na dwa i pół roku szefem Głównego Urzędu Ceł. Równolegle Bujak spełnia swe marzenia o wyższym wykształceniu. Kończy studia na wydziale nauk społecznych, potem filozofię. Zapowiada nawet napisanie doktoratu. Jednak znów dopada go pech. Do obozu Unii Wolności trafił u schyłku tej formacji. W 2002 r. jako



W 1990 r. Bujak miał być dowodem, że robotnicy rozumieją potrzebę ostrych reform Balcerowicza. FOT. TOMASZ WIERZEJSKI/FOTONOVA

kandydat Unii Samorządowej (koalicja UW i samorządowców) na prezydenta Warszawy zdobywa tylko 2,7 proc. głosów. W 2005 r. startuje jeszcze z listy UW do europarlamentu, ale bez powodzenia.

Nie kryje rozgoryczenia. W jednym z wywiadów narzeka na „ogromne poczucie niewykorzystania”. Wolny czas użytkuje na akcję pomocy dla Ukrainy. W 2014 r. współzakłada Komitet Solidarności z Ukrainą. Jednak



W latach stanu wojennego „solidarnościowego Robin Hooda” umieszczano na podziemnych banknotach

tradycyjnie nie mija dużo czasu, gdy Bujak znów musi palnąć coś mało mądrego. W styczniu 2015 r. proponuje: „Byłoby fantastycznie, gdyby polscy żołnierze walczyli na Ukrainie”. Wybuścha skandal i znów wszyscy po cichu odcinają się od niegdyśszej legendy „S”.

Ten zaczyna się odcinać od liberalnego salonu. W 2015 r. po wyborach prezydenckich ujawnia, że głosował na Andrzeja Dudę, i krytykuje dominację sporu PiS kontra Platforma w polskiej polityce.

JAK ŻYĆ LATAMI Z LEGENDY?

Kolejny raz ktoś uznał, że nazwisko Bujak wzmocni jego polityczne aktywa. Tym kimś jest teraz Robert Biedroń.

Sądząc po poprzednich politycznych flirtach byłej legendy „S”, czułe relacje potrwać aż do chwili jakiejś nie najmądrzejszej wypowiedzi byłego komandosa. Jednak Biedroń nie ryzykuje zbyt wiele. Bujak przyciąga uwagę do list Wiosny, ale nie ma wielkich szans na zdobycie mandatu w Lublinie. Wyznaczona mu misja demokratycznej pracy wychowawczej w Przedwiośniu – młodzieżówce Wiosny – nie niesie ze sobą zbyt wielu zagrożeń dla image'u nowej partii.

Na razie przyciąga uwagę deklaracjami, że obraził się na środowisko lewicy laickiej. „Moje stosunki z Adamem Michnikiem są więcej niż napięte. Nawet sprostowania o swojej śmierci już w »Gazecie« nie zamieszczę, ale gdy się spotykamy, to oczywiście rozmawiamy” – taki cytat Bujaka zamieścił tygodnik „Polityka”. Co ciekawe, na tych samych łamach Bujak podkreśla swe odmienne poglądy od Władysława Frasyniuka: „Tym się różnię od Władka, że nie uważam pokonania PiS za najważniejsze zadanie dla Polski na najbliższe lata”.

Tyle że takie poglądy na nikim nie robią już większego wrażenia. Prawica nie traktuje go serio już od trzech dekad. Salomon liberalno-lewicowy uważa go za dziwaka i outsidera. Gdy coś w polskiej polityce od niego zależało w okolicach Okrągłego Stołu, Bujak był ugniatany jak

wosk przez Michnika i Kuronia. A potem zepchnięty na boczny tor, gdy już nie był tak bardzo potrzebny. Wielu ludzi podziemnej Solidarności nie jest w stanie zapomnieć, że jego haniebna sprzedaż legitymacji „S” dała postkomunistom satysfakcję z upokorzenia niegdyśszych adwersarzy.

A młodemu pokoleniu jego sława herosa podziemia jest coraz bardziej obca. Skąd niby mają wiedzieć o Bujaku legendzie, skoro tej epoki nie pokazuje żaden film ani komiks. Wiele wskazuje, że Bujak obok Frasyniuka i Bogdana Lisa przejdzie do historii jako jeden z bohaterów, który rozmienił się na drobne po 1989 r. I żadne kolejne gromkie deklaracje byłego robotnika Ursusa niczego tu nie zmieniają. Nawet jeśli pan Zbyszek kolejny raz spektakularnie obrazi się na cały świat.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Żywiół w ambasadzie



Marcin Makowski

Czy lobbująca w interesie amerykańskich firm ambasador zaczęła sprawniej poruszać się w świecie dyplomacji?

Znajomi dyplomaci mówią o niej „force of nature”. Żywiół. Urodzona w Indianie bizneswoman, która z branży kosmetycznej, dzięki zbieraniu funduszy dla republikanów, doszła na szczyt manhattańskiej śmietanki towarzyskiej. Ambasadora w Polsce miała być dla niej – jak sama podkreśliła w przesłuchaniu senackim – przygodą. Dosyć szybko okazała się jednak przeprawą przez pole minowe na styku lobbingu

i mediów. Czego Georgette Mosbacher nauczyła się o polskiej polityce i czego polska polityka nauczyła ją po ponad ośmiu miesiącach od przejścia warszawskiej placówki z rąk Paula Jonesa?

INDIANA, MANHATTAN, WARSZAWA

– Od początku było wiadomo, że Mosbacher została wybrana, bo ma trzy zalety: znajomość z Donaldem Trumpem, znajomość z Mikiem Pence’em oraz lata budowania kontaktów w środowisku waszyngtońsko-nowojorskiej elity – mówi mi jeden z amerykańskich analityków politycznych.

– To kobieta biznesu, która na każdym spotkaniu myśli nie o mediach, ale o tym, z kim nawiązać relacje – dodaje amerykański dyplomata pracujący w Polsce. Właśnie te cechy: łatwość budowania kontaktów i wyraźne, osobiste wsparcie

Białego Domu przewijają się najczęściej, gdy o mocne strony amerykańskiej ambasador pytam moich kilkunastu rozmówców z Krakowa, Warszawy, Nowego Jorku, Waszyngtonu i Wirginii.

Swoją pozycję świadomie buduje na skracaniu dystansu, omijaniu protokołów dyplomatycznych i charakterystycznym dla Amerykanów łechtaniu ego Polaków. Gdy przy okazji wywiadu w grudniu 2018 r. zapytałem Georgette Mosbacher o polskie korzenie, o których wspominała w rozmowach z naszymi politykami, okazało się, że chodzi o dziecięce lata spędzone na zabawie w parku Kościuszki i knajpy z pierogami w leżącym na przedmieściach Chicago rodzinnym Highland, otoczonym polską robotniczą diasporą pasa rdzy. Miejsce, w którym się wychowała (choć po sprzedaży apartamentu z widokiem na Central Park została oficjalnie rezydentką Waszyngtonu), jest



■ jednak niezwykle istotne ze względów politycznych. „She’s a Hoosier” – miał powiedzieć wiceprezydent Pence podczas wizyty w Polsce z okazji szczytu bliskowschodniego, przyjacielsko obejmując Mosbacher na zamkniętym spotkaniu z Mateuszem Morawieckim i kilkoma ministrami. To potoczne określenie stanu, z którego oboje pochodzą, i polisa ubezpieczeniowa na wypadek kryzysów, takich jak skandal dyplomatyczny, który wybuchł po ujawnieniu przez „Do Rzeczy” pełnego błędów listu do premiera w obrobie TVN.

– Uważam, że Georgette Mosbacher sprawdza się w roli ambasadora. Owszem, ma inny styl niż jej poprzednik Paul Jones czy ja, ale każdy z ambasadorów wnosi do tego urzędu swoją własną

przed jej nazwiskiem do końca życia, a ciężar sprawowania tego urzędu i danych obietnic spadnie na kogo innego – przekonuje mój rozmówca.

„OBOWIĄZKI LOBBINGOWE”

Prawdziwy problem, kilka miesięcy po mianowaniu, stanowiły jednak nie tyle ambicje towarzyskie i temperament nowej ambasador, ile przenoszenie wzorców zachowania w środowisku lobbystyczno-biznesowym na relacje międzynarodowe. Jak twierdzi jedno z moich źródeł z kręgów rządowych, Georgette Mosbacher zbyt często „upycha zbyt wiele rzeczy na jedną łódkę”, mając tendencję do tego, żeby do kwestii bezpieczeństwa dokładać inne wątki: od restytucji mienia pożydowskiego do

Według naszych informatorów z kręgów rządowych Georgette Mosbacher zbyt często „upycha za wiele rzeczy na jedną łódkę”

osobowość. Świetnie dba o amerykańskie interesy, ale jest też silną rzeczniczką dobrych relacji polsko-amerykańskich – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy” Stephen Mull, obecnie dziekan na Uniwersytecie Wirginii w Charlottesville.

– Doskonale widzimy, że skutecznie załatwia amerykańskie sprawy, stawia na swoim nawet mimo tego, że niektórzy uważają, iż Ameryka nami dyryguje. Poza Polską słyszałam dużo pozytywnych opinii na jej temat. Choćby od gubernatora Mike’a Huckabee – odpowiada minister Anna Maria Anders.

– Od samego początku naszych kontaktów uważa mnie za swojego odpowiednika – w tym sensie, że pełniemy swoje funkcje w obu krajach również po to, żeby często ze sobą rozmawiać, radzić się i wspierać, jeśli chodzi o problemy współpracy polsko-amerykańskiej – dodaje prof. Piotr Wilczek, polski ambasador w Waszyngtonie.

W oficjalnych rozmowach ambasador jest chwalona, gdy pytam, już anonimowo, jedną z osób biegle poruszających się po kulisach polityki USA, słyszę mniej optymistyczne résumé. – Mosbacher na początku kadencji opowiadała swoim znajomym z Nowego Jorku, że leci do Polski na najwyżej pół kadencji, przed walką Trumpa o reelekcję. Dzięki temu tytuł ambasadorski będzie błyszczeć

kwestii podatkowych dla amerykańskich firm. – To nie jest tak, że tylko Stany Zjednoczone są dobrym wujkiem dla Polski, a nasze relacje są jednokierunkowe. USA też czasami czegoś od Polski potrzebuje – mówi jeden z polityków. I dodaje, że brutalny szantaż, którego dyplomaci unikają, jest być może skuteczny w kilku przypadkach, ale na dłuższą metę psuje stosunki między państwami.

Rzeczą przewijającą się w opiniach moich rozmówców są również wątpliwości natury prawnej, które pojawiają się w wypadku lobbowania przeciwko tzw. podatkom u źródła. – Jeżeli Unia zmierza do tego, aby amerykańskie firmy płaciły podatki tam, gdzie zarabiają, a ambasador chciałaby, aby na terenie Polski nastąpiło wyłączenie z tej regulacji, to przepraszam bardzo, jak to nazwać? – pyta informator „Do Rzeczy”, sugerując, że zawodowy dyplomata przed rozpoczęciem nieformalnych zabiegów (na jaw wyszły również opisane przez nasz tygodnik przypadki lobbowania na rzecz Ubera i Facebooka, dziennik „Fakt” przeświadczył interwencje związane z wpisywaniem konkretnych farmaceutyków na listę leków refundowanych, ostatnio mówi się również o firmach wydobywających miedź) zapytałby o opinię prawną Departamentu Stanu.

Na uległość rządu PiS w tych sprawach zwracają uwagę również politycy

opozycji, i to nie tylko z flanki narodowej, lecz także Koalicji Europejskiej. – Rolą każdego ambasadora jest obrona interesów gospodarczych swojego państwa, ale normalna nie jest uległość, jaką ten rząd wykazuje wobec realizacji nacisków USA. Mam wrażenie, że zawieszenie prac nad kwestią repriwatywacji oraz uporządkowania statusu Ubera w Polsce to efekt dostosowywania się do oczekiwań pani Mosbacher – twierdzi Katarzyna Lubnauer, przewodnicząca Nowoczesnej oraz członkini zespołu parlamentarnego Polska-Stany Zjednoczone. Niemal tym samym głosem mówi Robert Winnicki, który uważa, że choć Mosbacher, podobnie jak Donald Trump, rozumie politykę w sposób transakcyjny i nie sposób jej za to winić, to „martwi postawa obecnego rządu”. Szczególnie w kontrze zachowania Prawa i Sprawiedliwości z lat 2005–2007. – Przykładem niech będzie temat likwidacji WSI. Mało kto wie, że wysoki urzędnik z ambasady USA pojawił się kilkanaście lat temu i oznajmił polskim politykom, że Stany nie życzą sobie tej likwidacji, bo to służby, którym zdążyły już zaufać, a mówiąc prościej – przewerbować. Wtedy to nie zrobiło na nikim wrażenia, a dzisiaj takiej determinacji nie widzę – zdradza lider Ruchu Narodowego.

– Pani ambasador mówi, że to jej obowiązkiem, aby lobbować za amerykańskim biznesem w Polsce. Wydaje mi się, że ma rację, bo taka jest rola ambasadorów, jednak wynikiem takiego wsparcia nie mogą być jakiegokolwiek przywileje prawne czy podatkowe dla firm z jednego państwa – precyzuje prof. Wilczek, zaznaczając, że choć w innym stylu, on również zabiega o interes polskich przedsiębiorców za Atlantykiem. Rozmówcy „Do Rzeczy” z Kancelarii Prezesa Rady Ministrów dodają jednak, że ostatnio sytuacja zmieniła się na lepsze, a „biznesowy temperament” ambasador musimy przyjmować „z dobrodziejstwem inwentarza”. – Szkoda tylko, że często ten „inwentarz” to odwzajemnianie przysług dla jej znajomych, od właściciela Discovery Davida Zaslava do właścicieli firm farmaceutycznych. Poprzedni ambasadorowie w Polsce też lobbowali, ale umieli to robić ciszej – mówi mi jeden z byłych dyplomatów.

ZA DUŻO SPRAW

Interesujące w tym wymiarze wydają się zatem obecne relacje z rządem i prezydentem, już po ich ujawnieniu i czasie, który upłynął od wcześniej wymienio-



nych kontrowersji. – Relacje z ambasador są bardzo dobre, a pomiędzy nią a prezydentem regularne i osobiste. Było to wiadać choćby podczas niedawnej wspólnej wizyty w jednostce NATO w Szczecinie – mówi minister Błażej Spychalski z KPRP. – Współpraca ambasador z premierem jest niestandardowo dobra, mają ze sobą osobisty kontakt SMS-owy. Sytuację napięcia po wycieku listu obie strony chcą już puścić w niepamięć – dodaje doradca Mateusza Morawieckiego.

Na to, że rządy nie potrzebują jednak opinii publicznej, aby się ze sobą komunikować, a gaszenie pożarów po fakcie nie ułatwia pracy między obiema stronami, zwraca uwagę Sławomir Dębski, dyrektor Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych. – Myślę, że zakres spraw, które Georgette Mosbacher podejmuje w Polsce, nie odbiega od standardu kwestii, którymi dyplomacja USA zajmowała się od zawsze – mówi. – Oczywiście każdy ambasador musi uważać na kilka rzeczy, ale w dyplomacji szczególnie odradza się stawianie rządu państwa przyjmującego w niezręcznej sytuacji. To zawsze utrudnia komunikację pomiędzy państwami, czyli podważa fundament misji ambasadora – wskazuje.

Według źródeł „Do Rzeczy” faktycznie napięcie we wzajemnych stosunkach od grudnia 2018 r. zelżało, istotnie nadwy-

tu Stanu. – Georgette ma dobre stosunki z Johnem Boltonem, doradcą Trumpa ds. bezpieczeństwa narodowego, podlega bardziej pod Białą Dom niż Departament, pamiętajmy również, że choć zatwierdza go komisja senacka, to ambasadora w Ameryce mianuje prezydent – mówi mi jeden z amerykańskich rozmówców.

Z innych źródeł słyszę, że nieprzychylna nowej ambasador jest część jej zaplecza administracyjnego w Warszawie, przyzwyczajona do pracy z zawodowymi dyplomatami, którzy nie łamią konwenansów i nie skracają dystansu. Nie jest to niechęć natury personalnej, lecz systemowa antypatia do tzw. political appointees, czyli nominantów politycznych. W Departamencie Stanu po prostu się ich nie lubi, ponieważ ograniczają liczbę stanowisk dla korpusu dyplomatycznego oraz ścieżki kariery, generując niepotrzebne koszty wizerunkowe, które według urzędników byłyby do uniknięcia. Stąd często nowe nabytki amerykańskiej (ale również polskiej) dyplomacji na starcie w ramach chrztu bojowego wpuszczane są naminy. Jedną z nich miało być ujawnienie wspomnianego listu do premiera, drugą niepoinformowanie ambasadora, że wypowiadając się luźno i nieformalnie o mediach w Polsce na posiedzeniu komisji sejmowej, uczestniczy w spotkaniu, które ma charakter publicz-

obrony Polski czy Izraela? Skoro wbrew prawu i historycznym faktom zmuszacie Polskę, by oddała swe terytorium i majątek rzeczowy Żydom? Zna pani prawo w tych sprawach?” – zapytała w swoim stylu na Twitterze posłanka PiS Krystyna Pawłowicz. I choć rzecznik prezydenta Błażej Spychalski mówi „Do Rzeczy”, że „nie ma napięć na linii roszczeń żydowskich”, to w kontekście niedawnych protestów Polonii w USA i postawienia sprawy jasno przez Mike’a Pompeo przed szczytem bliskowschodnim mogą się jednak pojawić.

Jak zachowa się ambasador? – Ona pochodzi z Nowego Jorku, a to stolica różnych instytucji reprezentujących diasporę żydowską. Zna wielu z tych ludzi osobiście, a jej modus operandi jest taki, że jeśli kogoś zna, to go wspiera, dzwoni i odwzajemnia lub wykonuje przysługi – przekonuje jeden z członków wpływowego think tanku. – Mosbacher do Nowego Jorku kiedyś wróci i wtedy też może potrzebować wsparcia. Nie wykluczam, że restytucja mienia pożydowskiego może być wysoko na liście jej priorytetów.

– Nie sądzę, aby roszczenia żydowskie były jej na rękę, to raczej komplikuje pracę w Polsce. Mosbacher uważa to za kłopot, nie chce być twarzą kwestii restytucyjnych. Ambasador z niezadowolaniem odebrała przemówienia Pompeo w Łazienkach przed szczytem bliskowschodnim. Była zła, że kwestii restytucyjnych z nią nie konsultowano – twierdzi z kolei jeden z dobrze poinformowanych doradców w MSZ.

– Współpraca z panią ambasador Mosbacher jest bardzo dobra. Jak wszyscy wiedzą, jest ona osobą niekonwencjonalną. Jednak w wielu sytuacjach jej nastawienie na konkretny podejście do sprawy jest pomocne – przekonuje ambasador Wilczek, gdy pytam go o szczerą ocenę wzajemnych relacji. Bez względu na dalszy ciąg tej historii jedno nie ulega wątpliwości – 45. ambasador USA w Polsce zanotowała wejście w dyplomację, którego nie miał chyba żaden jej poprzednik. Czy będzie to faktycznie „przygoda” w długiej karierze, czy autentyczna praca na rzecz poprawy relacji bilateralnych, zwieńczona obiecany do końca kadencji zniesieniem wiz – czas pokaże. „Jeśli tego nie dopilnuję, to może nie napisać o mnie, co chcecie” – stwierdziła w rozmowie z „Do Rzeczy” ambasador Mosbacher. Przynajmniej w sprawie wolności słowa lobbowanie wydaje się działaniem we wspólnym interesie.

Nieprzychylna ambasador jest częścią jej zaplecza administracyjnego, przyzwyczajona do pracy z zawodowymi dyplomatami

żyło jednak wzajemne zaufanie. Brakowało ma go również, jak słyszę od jednego z zagranicznych dyptomatów, na linii Mosbacher – reszta korpusu dyplomatycznego w Warszawie, w związku z czym ambasador USA ma rzekomo unikać kontaktów, nie odpowiadać na zaproszenia i stronić od życia towarzyskiego z przedstawicielami innych placówek, ograniczając się do spotkań z kluczowymi graczami polskiej i amerykańskiej polityki oraz biznesu.

Ambasada USA w Warszawie twierdzi, że to nieprawda, jednak wielu moich rozmówców podkreśla, że Georgette Mosbacher może się czuć po prostu niepewnie w sytuacji, w której dyskusja schodzi na kwestie geopolityczne – nie jest bowiem zawodowym dyplomata, ma również działać na uboczu Departamen-

ny, jest nagrywane i będzie elementem debaty publicznej.

CIEMNE CHMURY

Coś jednak zmienia się z czasem na lepsze. – Widać, że Georgette Mosbacher oswoiła się w swojej roli, dobrze zdefiniowała centrum decyzyjne w Polsce, nawiązała intensywne relacje z premierem i orientuje się już, że część jej personelu dyplomatycznego ewidentnie ją sabotuje. To dobry prognostyk na przyszłość – uważa polityczny aktywista z Nowego Jorku, Matthew Tyrmand. Chmury na kolejną burzę, tym razem nie do końca zawinioną, zbierają się już jednak nad głową przyjaciółki Trumpa. „Pani ambasador G. Mosbacher, nie rozumiem. To te bazy amerykańskie Fort Trump u nas to mają być dla



Fragменты książki „Życie rodzinne Zanussich. Rozmowy z Elżbietą i Krzysztofem” Barbary Gruski-Zych

To pierwsza książka pokazująca dotychczas mało znane życie prywatne Krzysztofa Zanussiego i jego żony Elżbiety. Tę sferę wybitny reżyser przez lata otaczał dyskrecją. Jego legendarne powściągliwość i arystokratyczny dystans sprawiają, że jest osobowością niedającą się zamknąć w żadnym schemacie. Autor „Barw ochronnych” jeszcze nigdy nie dopuścił w rozmowie tak blisko nikogo ze swoich rozmówców. Na skrócenie dystansu wpłynął fakt, że Barbara Gruska-Zych przyjaźni się z nim i jego żoną od ponad 20 lat, co, naturalnie, narzuca inną perspektywę. „Rozmowy z Elżbietą i Krzysztofem” tym bardziej zasługują na uwagę, że w tym roku reżyser świętuje

piękne kobiety. Mógłby mieć pan takie urozmaicone życie. Nie ma pan na to czasu czy może to pana nie interesuje?”. Mój kłopot polegał na tym, że najpierw musiałem odpowiedzieć sobie na pytanie: „Co ja teraz chcę przekazać milionom oglądających ten program, którzy tak samo jak ta dziennikarka nic z mojego świata nie rozumieją?”. Powiedziałem jej wtedy o grze „Monopoly” i do dziś uważam, że to był wynik interwencji Ducha Świętego. Oni się wtedy w Rosji bardzo pasjonowali tą kapitalistyczną grą. Jej uczestnicy zdobywają punkty, a zwycięża ten, kto zgromadził ich więcej. Stwierdziłem przed kamerami: „Myśmy z żoną zdobyli bardzo dużo punktów. Jakby trzeba było to wszystko skasować do zera

Miłość to ciężka praca

80. urodziny. Książka będzie dostępna w księgarniach od 8 maja.

O UCZUCIACH

ELŻBIETA GROCHOLSKA-ZANUSSI: Prawdę powiedziawszy, można by się w życiu zakochać ze sto pięćdziesiąt razy i próbować, czy z danym partnerem lepiej się przeżyje kolejnych kilka lat, ale to jest założenie zupełnie idiotyczne, bo wtedy następuje kolosalny rozkład życia.

KRZYSZTOF ZANUSSI: Pamiętam kluczową dla tego tematu rozmowę, którą odbyłem w telewizji rosyjskiej. To były lata 90., miałem wtedy dopiero 60 lat. Prowadząca ją panienka pełna dobrych chęci z naiwnością zapytała mnie: „Dlaczego ma pan tylko jedną żonę? Przecież jest pan znany, jest pan bogaty i zna pan

i z nową partnerką musiałbym zaczynać od nowa, to byłaby ogromna strata, bo już nigdy tylu punktów nie zdobędę”. Po latach wspólnego życia bez obaw mogę postawić tezę, że miłość to ciężka praca, a nie jakiś powiew namiętności. W kwestii namiętności mamy spore doświadczenie, obserwując zachowania naszych psów.

E.G.Z.: Miłość to stały rozwój, który się osiąga ciężkim wysiłkiem. Gdyby z niego zrezygnować, trzeba by za każdym razem biec za kimś, jak to robią nasze psy, kiedy budzi się ich instynkt.

K.Z.: To odniesienie wymyślił mi wspólnie i ono nie jest bez sensu. Moja żona na co dzień przygląda się psom, a ja nieraz miałem możliwość obserwowania zachowań zakochanych koni.





Krzysztof Zanussi, jego żona Elżbieta Grocholska-Zanussi (z lewej) i Barbara Gruska-Zych FOT. ARCHIWUM BARBARY GRUSZKI-ZYCH

To, co się wtedy z nimi dzieje, zadziwia. Z tym że ich wzajemne zainteresowanie jest intensywne, ale trwa niezwykle krótko. Jeśli widzę, że zakochani okazują sobie miłość tylko przez „wzdychulce”, jak je na nasz użytek z Bietką nazwaliliśmy, to, na miłość Boską, mnie to nie wzrusza. Wyjątkowo nie znoszę tych pełnych emocji porywów, przewracania śliskimi oczami, dawania do zrozumienia, że coś się w człowieku zagotowało. Namietność nie jest tak zupełnie błaha. Myślę, że fakt, żeśmy się zeszli już jako starsi ludzie, też wpływa na to, jak ją postrzegamy. Wiek troszkę ją sublimuje, ale za to relacje robią się głębsze. Po moich studentach widzę, jak inaczej przeżywa uczucia pokolenie, które nie wyrosło na miłości płomiennej, wywodzącej się z tradycji romantycznej. Młodzi stawiają sobie pragmatyczne pytania: „Dlaczego kogoś Kocham i co ten ktoś może mi zaoferować?”. [...] Dziś ludzie całkowicie zapominają, że człowiek jest władny powodować sobą. Twierdzenie, że każdy z nas jest skazany na występne postępowanie, jeśli okoliczności go do tego zmuszą, to błąd. Wielu uważa, że kiedy spotyka kogoś atrakcyjnego, to natychmiast musi z nim zdradzić współmałżonka. Podobnie kiedy spostrzeżenie, że coś smacznego leży na stole, zaraz po to sięga. Człowiek jest wolny i w każdej chwili podejmuje wybór, który jest albo dobry, albo zły.

E.G.Z.: Gdybym w pewnej chwili się zorientowała, że dla mnie ważny jest jakiś inny mężczyzna, wtedy natychmiast powiedziałabym Krzysztofowi, żebyśmy wspólnie spędzali więcej czasu, troskliwiej zajmowali się sobą, bo znalazłam się w niebezpieczeństwie. Nie musiałabym od razu z tym drugim iść do łóżka, a jednak czułabym, że trzeba interweniować... Nie znoszę mówienia o seksie, bo to jest tak prymitywne. Miłość to przede wszystkim straszliwy pociąg, którego bardzo ciężko się pozbyć. Trudno zachować takie relacje jak św. Franciszek i św. Klara. Myślę, że oni przeżyli coś niewiarygodnego, ale na poziomie metafizyki, a nie fizyczności. Wzajemne pożądanie przebywania ze sobą sprawiło, że Klara wstąpiła do założonego przez Franciszka zakonu. Pewnie musiała mu tłumaczyć: „Bracia będą się z ciebie śmiać, no to ja zakładam drugi klasztor, a ty będziesz mi pomagał, żeby był równie dobry jak twój”. Mam przekonanie, że straszliwe pożądanie doprowadziło ich

■ do wspólnego odkrycia miłości Boga, która okazała się dużo mocniejsza.

MIŁOŚĆ MŁODZIEŃCZA

K.Z.: [...] Niedawno zmarła osoba, z którą w młodości byłem bardzo blisko, w której byłem bardzo zakochany. Dużo by o tym opowiadać, ale od tamtej pory zostało mi przekonanie, że warto swoje emocje hamować na wszystkich szczeblach. Do dzisiaj trwa we mnie takie zapętlenie uczuć w sobie.

E.G.Z.: W skrócie trzeba by powiedzieć, że miłością Krzysztofa z młodzieńczych lat...

ba Moniki wybuchła później, nie wtedy, kiedy się znaliśmy. To moje krycie emocji wzięło się z tamtych czasów, a poza tym jestem przekonany, że uczucia trzeba ukrywać, żeby je dobrze pokazać, bo bez tego nie mają formy. Kiedy ją tracą, tracą też wiarygodność. Muszę przyznać, że jestem bardzo wrażliwy na fałszywość uczuć. Źle to znoś i budzi to we mnie wielki wstręt. Wiem też, jak łatwo nimi manipulować. Często bohaterowie moich filmów manipulują innymi. Ci żywiący prawdziwe uczucia są wodzeni za nos przez tych, którzy je udają, zwodząc ich. Tego się zawsze w życiu bałem. Może

sytuacji było dla mnie pewnym poświęceniem, które uważałam za słuszne.

K.Z.: A jednak czasem wasze relacje nie były łatwe. Nie kształtowały się wyłącznie naturalnie, ale za sprawą świadomej woli. Byłem już starym chłopem i dotąd mama miała mnie na sto procent. Kiedy w życie syna po czterdziestce wkracza inna kobieta, katastrofa jest gwarantowana. Mało tego, chwilę po naszym ślubie mama zamieszkała u nas. Dotąd była królową w swoim domu, a nagle znalazła się u kogoś.

E.G.Z.: Szalenie sobie ceniłam to, że mama nie chciała mi w niczym zrobić krzywdy, nie utrudniała mi życia. Myślę, że od początku zdawała sobie sprawę, iż i tak będzie niełatwe. Bardzo kochała Krzysztofa, a przez niego i mnie. Wydaje mi się, że Krzysztof jest do niej podobny. Zachowywała nieustanną młodość, co wyszło na jaw na spotkaniu z hiphopowcami, którzy występowali przed Janem Pawłem II, a potem przyszli zatańczyć dla niej. Nie mogła się z nimi nagadać, jakby była ich równolatką. Krzysztof też stale ma wykłady dla młodych. Jednak cechowała ją też nieufność do świata, którą on od niej przejął. Za to umiała sobie radzić z wieloma problemami i nie obarczała nimi innych. Gdy przeżywała trudności w życiu małżeńskim, bardzo pięknie potrafiła się w tym wszystkim znaleźć. Nigdy też nie narzekała na swoje zdrowie.

K.Z.: Mama trzymała klasę. Spokojnie przyjęła do wiadomości, że nie wolno jej się szarogęść w naszym domu. Umiała przygotować kilka dobrych dań, ale generalnie nie była artystką kuchni. Właściwie jedyną potrawą, którą przyrządzała lepiej od ciebie, była jajecznica. W zasadzie we wszystkim jesteś dużo lepsza i mama umiała to przyznać.

E.G.Z.: Co ty mówisz! Przecież mama piekła też genialny sernik! Była bardzo sprawną manualnie i technicznie, i starała się sama wykonywać różne prace. Jednak widziałam też, jaki czuje zachwyt, gdy przebiłam ją w praktycznych i technicznych umiejętnościach. Na przykład robiłam obiad w piętnaście minut...

K.Z.: A mama w dwadzieścia...

E.G.Z.: A przyjęcie dla pięćdziesięciu osób przygotowywałam w ciągu dwóch i pół godziny. I do dziś nie jest to dla mnie większym problem. Naprawianie kontaktu zajmowało mi tylko chwilę. Kiedy widziałam zepsuty kran, z którego leje się woda, to za moment już się nie lała. Kiedy zauważyłam, że kółko od jej fotela

Jestem przekonany, że uczucia trzeba ukrywać, żeby je dobrze pokazać, bo bez tego nie mają formy

K.Z.: ... nie miłością, ale pasją... Ja całą jej złą stronę widziałem od początku, a mimo to z nią byłem.

E.G.Z.: Pasją? A co to jest pasja?

K.Z.: Coś jak namiętność...

E.G.Z.: No więc Krzysztof ogromnie zainteresował się osobą niesamowicie zdolną pisarsko, drukującą w pismach, przebojową...

K.Z.: ... postawioną dużo wyżej ode mnie w hierarchii świata artystycznego. Monika była wtedy w centrum salonu literackiego. Dzisiaj oglądalibyśmy ją na pierwszych stronach kolorowych magazynów.

E.G.Z.: Ja nie miałam z tym światem nic wspólnego. Ale ta osoba wyszła za innego pana...

K.Z.: ... mojego przyjaciela zresztą.

E.G.Z.: Zajął się nią, korzystając z nieobecności Krzysztofa w Polsce.

K.Z.: Nie, Bietko, przede wszystkim skorzystał z mojego niezdecydowania. Nie wykazywałem żadnej konkretnej inicjatywy.

E.G.Z.: Krótko po jej ślubie odezwała się straszliwa, niszcząca dalsze życie choroba.

K.Z.: Ta choroba była motorem mojej fascynacji nią. Schizofrenia ma postać tak urzekającą, że można dać się jej uwieść. Czytam o tym, słyszę i widzę to u wielu innych osób. Mają momenty, kiedy posiadają jakąś zupełnie uwodzący siłą, prawie magiczną moc zaklinania świata. Z tym że choro-

moje wyczulenie wzięło się właśnie z tamtych czasów? Zresztą to dotyczy spraw nie tylko osobistych, lecz także uwiedzenia przez idee. Uwiedzeni nimi przeżywają złą miłość podobnie jak to się dzieje w stosunkach osobistych.

ŻYCIE CODZIENNE

E.G.Z.: Wspólnego czasu z Krzysztofem nigdy nie mieliśmy za dużo... Po ślubie bardzo się starałam, żeby nie zabierać go na wyłączność mamie Krzysztofa, z którą dotąd mieszkał, i przy tej okazji muszę się pochwalić jedną moją zaletą. Kiedy wracał z podróży, mama siadała przy nim w fotelu i towarzyszyła mu bez względu na to, czym się zajmował. Wtedy kompletnie się wycofywałam, rozumiejąc, że to są ich ostatnie lata i trzeba dać im ten czas.

K.Z.: Mama dożyła prawie setki, a my nasze małżeństwo zawarliśmy po czterdziestce.

E.G.Z.: Wycofywałam się w sytuacjach, kiedy każda młoda żona trzasnęłaby drzwiami. Znam parę przykładów pokazujących, jak zaborczość matek szkodzi związkom ich dzieci. Przychodzi mi do głowy sytuacja mojej siostrzenicy z Włoch, której teściowa pierwsza podchodziła do drzwi i przed nią witała wracającego syna. Kiedy młoda żona chciała zawisnąć mu na szyi, to się stawało po prostu niemożliwe. Usuwanie się na drugi plan w podobnej



BARBARA GRUSKA-ZYCH
„ŻYCIE RODZINNE ZANUSSICH”
ZNAK 2019



Z Krzysztofem Skowrońskim,
prezesem Stowarzyszenia
Dziennikarzy Polskich
rozmawia Kamila Baranowska

Media są tożsamościowe



KAMILA BARANOWSKA: Platforma planuje, po wygraniu wyborów, likwidację spółek TVP i Polskiego Radia. Jak się panu ten pomysł podoba?

KRZYSZTOF SKOWROŃSKI: To pomysł, który w głowach liberałów jest od początku transformacji i wraca regularnie. Pamiętam, że był na tapecie w okolicach 2000 r. Afera Rywina też była częścią planu likwidacji mediów publicznych, a przynajmniej osłabienia i sprzedaży drugiego programu telewizji. I wtedy, i dziś uważam, że to pomysł wybitnie szkodliwy.

Dlaczego?

W rozmaitych dokumentach unijnych, na które niektórzy tak lubią się powoływać, jest wyraźnie zapisane, że media publiczne są ostoją demokracji. Też tak uważam. Żyjemy w świecie silnej komer-

cjalizacji oraz konkurencji i musi istnieć medium, które ma wpisane w swoje działania elementy misyjne. Niezależnie od tego, czy uważamy radio i telewizję za upolitycznione, to właśnie tu powstają filmy dokumentalne, fabularne, spektakle Teatru Telewizji, tu są kanały o tematyce kulturalnej, historycznej, informacyjnej. W obiegu informacji jest bardzo ważne, by było medium, które musi mówić o ważnych sprawach społecznych i narzuca pewne standardy. Niezależnie od tego, co kto myśli na temat standardów TVP – gdyby jej nie było, to kto miałby wymusić na telewizjach prywatnych, by inwestowały np. w drogie programy informacyjne? Przecież zamiast wiadomości można wyprodukować tani serial i ludzie też będą to oglądać. Jaką mamy gwarancję, że tak by się nie stało?

Ten pomysł świadczy o pewnym zaburzeniu myślenia o demokracji. Wiadomo nawet, z czego to wynika. Przejęcie przez PiS władzy i kontroli nad mediami publicznymi spluralizowało obieg informacji, co z punktu widzenia opozycji jest niekorzystne. Kiedy rządzą, media publiczne i media prywatne mówiły jednym głosem. Najłatwiejszym i najbardziej skutecznym sposobem, by to wróciło, jest zlikwidować, sprywatyzować, jednym słowem – zaorać media publiczne. Wtedy nie będzie możliwości powrotu do sytuacji, z którą mamy do czynienia dzisiaj.

Mówi pan, że przejęcie przez PiS mediów publicznych spluralizowało obieg informacji. Inni powiedzą, że upartyjniło na skalę dotychczas niespotykaną.



publiczne. Nie żyjemy jednak w świecie idealnym.

Ogląda pan „Wiadomości”?

Nie oglądam, ale mniej więcej wiem, jak wyglądają.

Często jadą po bandzie.

Pewnie jadą. Głównie słucham radia. I to jednego.

Swojego?

Tak, Radia Wnet. Przeglądam też Internet i czasem oglądam TVP Info. Wiem jednak, z jakimi problemami spotkał się Krzysztof Ziemięć, prowadząc „Wiadomości”. Ten hejt był okrutny dla niego i jego rodziny. TVN powinien się cieszyć z tego, że nie ma takiej mobilizacji prawej strony i pod jego siedzibą nie ma żadnych demonstracji. Skoro są pod TVP, to równie dobrze mogłyby być i tam.

Tutaj zwykle pada argument, że media publiczne są zobowiązane do przestrzegania standardów bardziej niż prywatne.

Dlaczego? Standard informacji jest jeden. Rzetelność informowania powinna obowiązywać wszystkie media jednakowo. Można jednak rozmawiać o formie, w jakiej to się dzieje, i standard formy przekazywania informacji oczywiście w telewizji publicznej powinien być wysoki. Od mediów publicznych oczekiwałbym większej świadomości dziennikarskiej.

Chodzi panu o warsztat i doświadczenie dziennikarzy?

Chodzi o dbałość o warsztat i niepoprzestawanie na przyspieszonych i najprostszych formach – że jest news, sadzamy dwóch komentatorów i tyle. Chciałbym wejścia głębiej w tę informację, w przyczyny, w konsekwencje, wtedy można osiągnąć zupełnie inny poziom dziennikarstwa i wtedy można mówić o rzetelności dziennikarskiej. O rzetelności, nie obiektywizmie, bo to słowo wyrzuciłem już dawno ze słownika. Rzetelne dziennikarstwo to jest to, o co powinno nam wszystkim chodzić.

W czasach mediów tożsamościowych obiektywizm nikomu już nie jest potrzebny?

Taka jest tendencja w mediach, tyle tylko, że media tożsamościowe mogą się dzielić na rzetelne i nierzetelne, na propagandowe i takie, które dążą do czegoś więcej.

Gdzie leży ta granica? Łatwo ją bowiem przeoczyć.

Trudniej ją przeoczyć wtedy, gdy ma się swój własny sposób patrzenia na świat. Tożsamość mediów niekoniecznie musi być tożsamością polityczną, może być tożsamością wartości. Wówczas oceniamy polityków, czy spełniają te standardy, czy nie. Ważne, aby ten system wartości był określony, byśmy zaglądając do konkretnych mediów, dokładnie wiedzieli, czego się spodziewać.

Coraz częściej tak właśnie jest. Nie wiem, czy to dobrze.

Dobrze. Poglądy dziennikarzy powinny być jawne. Był taki czas, kiedy wierzyłem w doktrynę obiektywnego dziennikarstwa, ale okazało się, że zawsze jest w tym wszystkim ukryty pewien system aksjologiczny. Dlatego dziś uważam, że dziennikarzy powinno się podpisywać tak, by widz wiedział, z kim ma do czynienia, np. „dziennikarz liberalny”, „ateista”, „zwolennik tego lub tego”. Wtedy widz zyskuje, bo wie, kto jest kim i dlaczego zadaje takie, a nie inne pytania, dlaczego akurat w tę stronę. Wtedy byłoby uczciwie.

Nie byłoby bardziej uczciwie, gdyby czytelnik czy widz nie był w stanie rozszyfrować poglądów dziennikarza?

Taka postawa dziennikarska ma swoje zalety, ale ona w którymś momencie się wyczerpała. Kiedy politycy i ich PR-owcy wytworzyli między ludźmi mur nie do przeskoczenia, to zanim się człowiek zorientował, już był po tej, a nie innej stronie muru. I niespecjalnie ma dziś wybór. Choćby nie wiem, jak się starał, i tak zostanie przyporządkowany którejś stronie, więc w tej sytuacji uczciwiej jest stanąć z otwartą przyłbicą.

Dlaczego środowisko dziennikarskie pozwoliło się tym murem podzielić? I który moment można nazwać kluczowym?

Podział w środowisku dziennikarskim był bardzo mocny właściwie od początku transformacji. Od Okrągłego Stołu, a potem jeszcze mocniej od 1992 r. Ten podział był wówczas bardzo asymetryczny, mainstream dziennikarski był dużo szerszy, a dominacja „Gazety Wyborczej” i mediów publicznych była prawie absolutna. Po drugiej stronie stała grupa dziennikarzy obozu prawicy, która była mało słyszalna i łatwo się ją pomijało w dyskusji. Podziału więc nikt nie zauważał.

Ta sytuacja ewoluowała i miała kilka istotnych punktów. Takim punktem była



FOT. TOMASZ GOŁĄB/REPORTAŻ FORUM

To twierdzenie nieprawdziwe. Media publiczne, niestety, zawsze były związane z tymi, którzy rządzą. Był jeden przypadek, gdy było inaczej – rządy AWS, która też chciała media przejąć, ale nie potrafiła się do tego zabrać. W czasach rządów PO-PSL media były bardzo mocno upolitycznione, wszyscy dziennikarze, którzy mieli inne poglądy, z wyłączeniem jednego programu Jana Pospieszalskiego, zostali skutecznie z mediów publicznych wyrzuceni. W tej chwili dzięki mediom publicznym Polacy mają szeroki dostęp do informacji. Tej z lewej strony i tej z prawej. Jest wybór.

A nie powinno być tak, że publiczne, zamiast być przeciwwagą dla innych, powinny same zapewniać rzetelny program, uwzględniający obie strony?

W świecie idealnym tak powinno być. Powinniśmy mieć CNN, Fox News i media



■ historia z listą Wildsteina, potem rok 2005, wygrana PiS i decyzja Platformy, by każdego, kto się jakoś kojarzy z PiS, uczynić wrogiem, a następnie rok 2010, który był kluczowy, bo wtedy wybudowano i zabetonowano definitywnie mur, który od tamtej pory jest coraz większy i mocniejszy. Tego się doświadcza tak po ludzku, na każdym kroku.

Jak?

Ja np. nie spotykam już swoich dawnych kolegów, nawet przypadkowo. Nasze drogi są dziś tak różne, że nawet przypadkowych spotkań jest niewiele, a już spotkań w czasie jakichkolwiek uroczystości nie ma wcale, bo lewa strona ma swoje uroczystości, a prawa swoje. Z wyjątkiem urodzin Roberta Mazurka nie ma okazji do tego, by spotykać się w nie swoim, ale w bardziej wymieszanym gronie.

Coraz bardziej zamykamy się w swoich bańkach informacyjnych.

A może po prostu spór jest głębszy, prawdziwy, aksjomatyczny? To znaczy mamy tak różne spojrzenie na świat, że już nie ma o czym dyskutować. Tego doświadczamy także w życiu towarzyskim. Jeżeli chcemy z naszymi przyjaciółmi, którzy mają inne poglądy, nadal się przyjaźnić i utrzymywać kontakt, to nie możemy rozmawiać o polityce, bo każda taka rozmowa kończy się awanturą. Zbiory faktów, do których się odnosimy, są bowiem tak różne, że coraz trudniej się porozumieć.

SDP, któremu pan szefuje, nie kryje się specjalnie z tym, że wspiera prawą stronę. Tak być powinno?

To sytuacja podobna do tej z 2015 r., gdy politycy obrazili się na wyborców, że w Polsce demokratycznie wygrał PiS. Tak samo było w stowarzyszeniu. Zostałem szefem, a ci, którzy przegrali, obrazili się i postanowili pójść gdzie indziej. W związku z tym, że sami zdecydowali się na amputację lewej nogi, niech się nie dziwią, że nasze stowarzyszenie chodzi na nodze, którą ma. SDP jest demokratyczne, co trzy lata są wybory, trzykrotnie je wygrałem. Staram się prowadzić sprawę stowarzyszenia rzetelnie. Przy czym nie mogę zawiesić na kołku myślenia o tym, co uważam za rzetelne, ani tego, co uważam za najbliższe prawdy. W tym sensie rzeczywiście bardziej przyglądamy się negatywnym rzeczom po lewej stronie. Chociaż przyznam, że wielokrotnie mieliśmy ochotę

na krytykę tego, co się dzieje w mediach publicznych, ale ostatnio np. wyprzedziła nas Platforma, która postanowiła TVP bojkotować. Nie chcieliśmy wpisywać się w scenariusz opozycji.

Może należało to zrobić, aby zyskać wiarygodność w oczach drugiej strony środowiska dziennikarskiego?

Przecież to nie miałyby specjalnego znaczenia, bo cały spór jest zideologizowany. Nieważne, co zrobimy, i tak zarzuci się nam upolitycznienie. Dlatego robimy to, co uważamy za słuszne. Jeśli przyznajemy nagrody, to zawsze przeglądamy prace i TVN, i TVP, różnych rozgłośni, gazet, dziennikarzy wielu redakcji. Staramy się to robić rzetelnie.

A na koniec i tak nagrody zgarniają dziennikarze prawicowi.

Ponieważ najbardziej podobają nam się ich dzieła.

SDP miało oczekiwania co do reformy mediów publicznych. Nie czuje się pan rozczarowany podejściem PiS, który wiele obiecywał, a niewiele zrobił?

Patrząc na dokumenty ze zjazdu SDP w 2015 r., rzeczywiście można uznać, że nasza myśl szła w innym kierunku niż to, co zdarzyło się w mediach publicznych. Wyobrażaliśmy sobie media publiczne jako miejsce największej aktywności i twórczości, pozytywne i otwarte. Poszło to w innym kierunku. Myślę, że SDP wy-

Jest chęć, by całkiem wyeliminować media prawicowe z rynku, i jeśli opozycja wygra wybory, to ten plan zacznie realizować

powie się, jak sobie wyobrażamy media i co się powinno wydarzyć w tej sprawie po następnych wyborach.

To się zemści. Gdy PiS przegra wybory, rewanż będzie bolesny i – w oczach wielu – usprawiedliwiony.

Myślę, że niezależnie od tego, co by robiła telewizja publiczna, siła nienawiści byłaby taka sama. Jest chęć, by całkiem wyeliminować media prawicowe z rynku publicznego, i jeśli opozycja wygra wybory, to ten plan zacznie realizować. Pretekst się zawsze znajdzie – jeśli nie mowa nienawiści, to inny. Różne europejskie stowarzyszenia dziennikarzy lubią

podkreślać, jakim zamachem na równowagę sił i medialny pluralizm jest to, że spółki Skarbu Państwa nie dają reklam do mediów związanych z opozycją. Tylko nikt już nie dodaje, że wielkie korporacje w kampaniach reklamowych bardzo często pomijają media prawicowe. Czy to nie jest zagrożenie dla równowagi i pluralizmu? Niezależnie od tego, czy dane media mają widzów i słuchaczy, jeśli dojdzie do zmiany władzy, to wysuszanie mediów po prawej stronie – także finansowe – będzie szybkie i radykalne.

Łatwiej czy trudniej prowadzi się radio konserwatywne po 2015 r.? Dostęp do podobnych treści jest bowiem dużo szerszy.

Łatwiej. Radio Wnet otrzymało koncesję w Warszawie i Krakowie, rozwija się, buduje studia zewnętrzne w Wilnie, we Lwowie, w Kijowie, Bejrucie, Dublinie, a za chwilę dojdą następne. Jest energia, jest twórczość, są autorskie audycje. Mamy koncepcję radia i ją realizujemy. Niezależnie od tego, co się dzieje dookoła.

W czasach, gdy liczą się nagłówki, memy, tweety, clickbaity, pan nadal wierzy, że tradycyjne radio, tradycyjne media mają sens. Jak się pan uchował?

Wierzę, że to ma sens. Jest publiczność, która chce powagi i poczucia, że nie wszyscy jesteście skazani na memy i tweety. Nawet jeśli Donald Trump tweetuje i to jest jego jedyny kontakt ze społeczeństwem, to przyjemność ze słuchania radia w części audytorium zawsze zostanie.

Korzysta pan w ogóle z Twittera?

Ani z Twittera, ani z Facebooka. I uważam, że dziennikarze powinni wykonać jeden akt solidarności i przestać cytować tweety. Nikogo niestety pewnie od tego nie namówię, bo tweet jest źródłem informacji, ale jest też źródłem manipulacji. To, że my – zawodowi dziennikarze – tak dużo czasu poświęcamy na tweety, jest wielką szkodą dla dziennikarstwa i dla nas samych. Polityk dzięki tym krótkim zdaniom ułatwia sobie życie – wpływa na opinię publiczną, nie musi już organizować konferencji prasowych i odpowiadać na trudne pytania, nie musi szukać drogi komunikacji. To, że polityk tak robi, to jego sprawa. Dziwi mnie jednak, że dziennikarze, często bezmyślnie, wdają się w jakieś twitterowe bitwy i cytują jakieś bzdurne rzeczy. To niszczy debatę publiczną i dziennikarstwo.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Chodzi o życie



FOT. PIOTR MOJSK

Wiosna na chwilę pokazała swoje chłodniejsze oblicze, ale w domu pani Marii i pana Mikołaja w podlaskiej

Siemianówce już od progu czuć przyjemne ciepło bijące od kaflowych pieców. Doktor Paweł Grabowski, specjalista medycyny paliatywnej i założyciel Hospicjum Proroka Eliasza – pierwszej takiej wiejskiej placówki w Polsce – od jesieni ma pod opieką chorego na nowotwór pana Mikołaja. – Gdyby nie pan doktor, to pies z kulawą nogą by do nas nie zajrzał – mówi pani Maria.

To na niej spoczywa codzienny trud opieki nad mężem. Stara się mu przychylić nieba. Przenosi z łóżka na wersalkę i z wersalki na łóżko. Albo na wózek, którym może przewieźć męża do kuchni, by mógł zjeść obiad przy stole. – Ja nie liczę, że będzie lepiej. Ja bym chciała, żeby nie było gorzej – mówi pani Maria. – Bo jak się ma 60 lat, to można liczyć, że będzie lepiej. Ale 90 lat to już co innego – dodaje. – 88 lat – poprawia ją małżonek. Mimo



Agnieszka Niewińska

Zostawił Warszawę, klinikę i ruszył tam, gdzie na wsiach niewyleczeni pacjenci zostają bez pomocy. Lekarz Paweł Grabowski zapewnia opiekę wielu ludziom w ich domach, a chce jeszcze stworzyć stacjonarne hospicjum

trudów pogoda ducha ich nie opuszcza i trudno nie być urzeczonym, patrząc na to, jak wzajemnie się wspierają.

Wizyta lekarza z hospicjum to nie tylko badanie, lecz także rozmowa zarówno o tym, co boli, jak i o codzienności. O nowym rowerze, do którego trudno się przyzwyczaić, a jest jedynym środkiem transportu, o wnukach, o tym, jak dawniej zagniatano ciasto na chleb.

Pani Maria i pan Mikołaj są w podobnej sytuacji do wielu innych mieszkańców wsi. Dzieci i wnuki wyprowadziły się za pracę do większych ośrodków. Do miasta daleko, więc dostęp do opieki

medycznej jest ograniczony. Z pomocą do takich ludzi chciał wyjść dr Grabowski, kiedy zdecydował się na założenie wiejskiego hospicjum.

„MIAŁO BYĆ DALEKO. ALE AŻ TAK?”

Siedem lat temu zaryzykował. Był lekarzem warszawskiego Centrum Onkologii, pracował w Klinice Nowotworów Głowy i Szyi. Zainteresował się tym, co dalej się dzieje z pacjentami, których nie udaje się wyleczyć. Pracował w kilku hospicjach, zrobił specjalizację z medycyny paliatywnej. W końcu postanowił za-



■ łożyć hospicjum tam, gdzie brakuje go najbardziej, czyli na terenach wiejskich.

Zrezygnował z pracy w Warszawie i przyjechał na miejsce, które podpowiedział mu prawosławny duchowny, władyka Jakub. Prawosławna parafia we wsi Nowa Wola przejęła wówczas budynek po zamkniętej szkole i trwały dyskusje, jak go zagospodarować. Stał się pierwszą siedzibą hospicjum. – Wiedziałem, że będzie trudno. Wiedziałem, że będzie daleko, że nikt, kto liczy na zrobienie biznesu, nie przyjedzie w takie miejsce. Miałem też przekonanie, że skoro taka opieka jest tu potrzebna, to to będzie musiało się udać – opowiada. Nie miał myśli, żeby się spakować i wrócić tam, skąd przybył. – Dziwiłem się tylko wtedy, kiedy przyjechałem tu po raz pierwszy. „Panie Boże, miało być daleko. Ale aż tak?” – pomyślałem. Potem już niczemu się nie dziwiłem. Uważałem, że mimo trudności trzeba w tym wytrwać. Tym bardziej że nie zawsze jest pod górę. Tutaj się dzieje mnóstwo przepięknych rzeczy, które utwierdzają mnie w tym, że warto było to zrobić – mówi.

Maria Stachurska, reżyser, dokumentalistka, poznała Pawła Grabowskiego nie jako lekarza, ale autora scenariusza, dramaturga i poetę. – Zadzwoń kiedys do mnie, powołując się na kompozytora Michała Lorenca, i poprosił mnie o to, żebym przeczytała jego scenariusz i powiedziała, czy podjęłabym się go zrealizować – wspomina. – Podczas jednego ze spotkań wzięłam do ręki jego tomik poezji. Okazało się, że przez lata dostawał pierwsze nagrody literackie za swoją twórczość. Dopiero później się dowiedziałam, że jest lekarzem, że pracuje w Centrum Onkologii. Opowiedział mi o swoim pomysle na to, by wyjechać z Warszawy i otworzyć hospicjum. Oddał się tym ludziom całkowicie, konsekwentnie chodzi od domu do domu. Leczy tak, jak leczono kiedyś. Nie przychodzi leczyć np. tylko chorej ręki, nie mówi, że do bolącej nogi pacjenta przyjdzie ktoś inny. On obejmuje pacjenta całościową opieką, zapewnia mu także duchowe wsparcie – opisuje. Stachurska należy dziś do rady wspierającej Hospicjum Proroka Eliasza.

NA POCZĄTEK 2 TYS. ZŁ

Na Podlasie dr Grabowski przyjechał z funduszem założycielskim w wysokości 2 tys. zł. Liczył na kontrakt z NFZ. Nie było go przez pierwsze pięć lat, ale mimo to hospicjum działało, nie pobierając opłat od pacjentów. – Od razu trafiłem tu na

dobrych ludzi, na batiuszkę Jarka Szczerbacza, z którym zakładaliśmy fundację. Otworzył przede mną lokalne środowisko. To było ogromne ułatwienie. Od razu spotkałem się z dużą życzliwością – opowiada dr Grabowski. – Zawsze nam brakowało kasy, ale też zawsze prosiłem Pana Boga, by dawał nam pieniądze tak, żeby zawsze ich trochę brakowało. Chodzi o to, by nie odubiło nam z ich nadmiaru. Nawet wtedy, kiedy nie było ani grosza od państwa, ok. 25 pacjentów miało zapewnioną opiekę w swoich domach, a kilkanaście osób zespołu wynagrodzenia.

Dzisiaj hospicjum ma kontrakt z NFZ, który finansuje leczenie do 14 pacjentów. – A mamy ich zazwyczaj prawie 40, w zależności od tego, kto się akurat zapisze, kto umrze, kogo wypiszemy, bo np. jego stan się poprawił i już nie potrzebuje naszej pomocy – opowiada dr Grabowski. – Nasi pacjenci to osoby zależne, potrzebują wsparcia i pomocy. W dużych miastach taką pomoc dostają np. z pielęgniarskiej opieki długoterminowej, z fizjoterapii domowej. Ludzie w miastach są też przeważnie trochę zamożniejsi, więc czasami mogą sobie pozwolić na wizytę prywatną. U nas są osoby, dla których choroby byłyby wyrokiem śmierci, jeśli byśmy do nich nie przyjechali. Są takie wioski, w których starsza osoba po udarze mózgu, jeśli po wypisie ze szpitala wyląduje w domu, jest pozostawiona bardzo często bez pomocy. Umrze na pierwsze zapalenie płuc lub z powodu odleżyn. Ale jak pani zapyta w urzędzie, kto ma w tych wioskach zakontraktowane wizyty, to pokażą pani, że tam jest zapewniona opieka. Jak ubiegaliśmy się o kontrakt z NFZ, to przekonywano nas, że trzy hospicja z Białegostoku mają tam zakontraktowane wizyty, więc po co my jeszcze mamy jeździć do chorych. Prawda jest jednak taka, że tam nikt nie dojeżdżał.

W torbie lekarskiej, z którą dr Grabowski rusza do pacjentów, są karty w granatowych i pomarańczowych teczkach. Granatowe oznaczają pacjenta, za opiekę nad którym płaci NFZ, pomarańczowe to dokumenty pacjentów, którzy według reguł Funduszu nie kwalifikują się do pomocy hospicyjnej. Pomarańczowe tecki to ok. dwóch trzecich wszystkich kart pacjentów hospicjum. Koszt ich leczenia pokrywany jest z 1 proc. podatku, z darowizn.

W jednym z domów, które odwiedzamy, starsza pani przytłoczona wieloma chorobami od lat walczy z nieogójnymi się ranami na nogach. – To jest przykład

pacjentki, która wymyka się systemowi. Wyleczyła się z nowotworu, nie ma odleżyn, więc nie kwalifikuje się do opieki hospicyjnej. Gdyby mieszkała w mieście, to otrzymałaby pomoc w ramach długoterminowej opieki pielęgniarskiej, ale tu taka nie dojedzie – mówi dr Grabowski. Zakłada pomarańczową kartę, w leczeniu ran pomoże pielęgniarka hospicjum.

„MÓWIMY: NASZ DOKTOR”

Problemem są nie tylko pieniądze, lecz także skompletowanie zespołu specjalistów medycyny paliatywnej. Doktorowi Grabowskiemu udało się stworzyć taki zespół z osób mieszkających w pobliżu. Niektórzy dojeżdżają z Białegostoku i okolic. Dzięki przeprowadzce hospicjum do miasteczka Michałowo pracownikom łatwiej jest dojechać. Jest więcej autobusów, bilet kosztuje 4 zł, a za podróż do odległej o 4 km Nowej Woli trzeba było zapłacić nawet 13 zł w jedną stronę.

Trójka lekarzy, pięć pielęgniarek, czwórka fizjoterapeutów i psycholog codziennie pokonują dziesiątki kilometrów z wioski do wioski. Sławomira Drozd-Korowaj, pielęgniarka, pojawiła się na pierwszym zebraniu, które dr Grabowski zorganizował na temat hospicjum. – Słuchałam, jak mówił o ludziach, którzy umierają, nie dostawszy pomocy. Ja to znałam. Pracuję w środowisku, wiem, jak trudno jest się wszędzie dostać. A doktor opowiadał z charyzmą i wiedziałam, że będę chciała w tym miejscu pracować – mówi. I wspomina historię pacjentki w ciężkim stanie, u której pielęgniarki nie miały już się gdzie wkluc, tak od podawania leków miała zniszczone żyły. – Prosiłyśmy, żeby zwróciła się do lekarzy o założenie dojścia centralnego. Nikt nie chciał tego zrobić, pacjentka musiałaby jechać do Białegostoku. Dopiero dr Grabowski przywiózł stamtąd chirurga i w domu założono tej pani dojście centralne. To było mistrzostwo świata. Diametralnie poprawiło komfort życia pacjentki. A dla mnie był to przełomowy moment, bo przekonałam się, że to będzie hospicjum z prawdziwego zdarzenia – opowiada pani Sławomira.

Narewka, Zabłudów, dwa domy w Siemianówce. Niemal w każdym z nich pacjenci chwalą się, że dr Grabowskiego widzieli w telewizji. Pod koniec marca odebrał Nagrodę im. Jana Rodowicza „Anody” przyznaną przez Muzeum Powstania Warszawskiego. – Sąsiadka mówiła, żeby włączyć, bo nasz doktor w telewizji – opowiada córka przeszło



Lekarz Paweł Grabowski FOT. PIOTR MOJSK

90-letniej pani Anny. – My tu tak mówimy, że to jest „nasz doktor” – tłumaczy mi.

Doktor jednak nagród nie oczekuje i trudno nie odnieść wrażenia, że mocno go krępują. – Nie zapomnę, jak Paweł został nominowany do Nagrody Samarytanina. Pojechałam z nim do Krakowa na uroczystą galę – wspomina Maria Stachurska. – Spośród nominowanych to on dostał tę nagrodę. Kiedy już ją odebrał, zapytał mnie szeptem: „Czy ja naprawdę na to zasłużyłem? Przecież tu jest tylu wspaniałych ludzi”. I to nie było udawanie. Jego cechują prostota i skromność.

W kolejnym odwiedzanym domu pan Sergiusz, z troską opiekujący się chorą żoną Tamarą, dopytuje o stacjonarne hospicjum. Doktor Grabowski bowiem, choć podkreśla, że priorytetem jest utrzymanie hospicjum domowego, gromadzenie funduszy na pomoc wszystkim chorym, nie powiedział ostatniego słowa.

W Makówce w gminie Narew chce zbudować stacjonarne hospicjum. – Oczywiście jest, że pacjentom najlepiej jest wśród bliskich, we własnym domu – podkreśla dr Grabowski. – Do pewnego momentu opieka domowa jest najtańszą formą opieki. Opłaca się ją wspierać, pomagać opiekunowi chorego, bo to zazwyczaj osoba, która pracuje 24 godziny na dobę. Często jest śmiertelnie wyczerpana. A opieka w hospicjum stacjonarnym czasem jest potrzebna nie dlatego, że pacjent jest w złym stanie, tylko opiekun jest tak wyczerpany, że jeśli go nie odciążymy, to za chwilę będziemy mieć drugą osobę chorą – tłumaczy.

Projekt stacjonarnego hospicjum jest już gotowy. Jest też ziemia pod budowę. Hospicjum kupiło ją w przetargu. Stało do niego dwóch biznesmenów. Tuż przed licytacją rozmawiali o swoich planach na tę ziemię. – Patrzą na mnie, a ja mówię,

że chcę tu wybudować hospicjum. Jeden drugiego stuknął w ramię, wyszli, żeby porozmawiać, i po pierwszym postąpieniu o 50 zł ziemia była nasza. To jest takie wydarzenie, które dodaje skrzydeł – opowiada dr Grabowski.

Po odwiedzinach u ostatniego tego dnia pacjenta jedziemy zobaczyć miejsce, gdzie stanie hospicjum. Wbite w ziemię kołki wskazują, gdzie pojawią się ściany. – Tutaj będzie kaplica, tu pomieszczenia administracyjne, tu skrzydła dla pacjentów – wskazuje dr Grabowski. Do wkopania pierwszej łopaty najpewniej dojdzie jeszcze tej wiosny. Na koncie budowy jest taka kwota, że wystarczy na fundamenty i kawałek ścian. Potrzeba w sumie 15 mln zł.

WSZYSTKIE PLANY MAJĄ WARTOŚĆ

Kto myśli, że dr Grabowski przeniósł się na Podlasie i prowadzi sielskie, spokojne życie, jest w błędzie. Tutaj nie ma ośmiodzinnego dnia pracy, telefon doktora dzwoni nieustannie. Współpracownicy, pacjenci, inni interesanci. Po tym, jak odebrał nagrodę Muzeum Powstania Warszawskiego, urywają się telefony od dziennikarzy. Doktor nie odmawia rozmów z nimi, bo – jak mówi – to część misji hospicjum, żeby mówić o osobach starszych, o tym, że życie i plany osoby nieuleczalnie chorej mają wartość niezależnie od tego, czy robione są na kilka dni, tygodni czy miesięcy.

– Wie pani, my ze śmiercią mamy niewiele do czynienia – mówi jednej z reporterek, która chce porozmawiać o odchodzeniu. Gdy słyszę tę odpowiedź, uśmiecham się w duchu. Jednak kiedy po całym dniu wizyt u pacjentów wracamy do Michałowa, zdaję sobie sprawę, że wcale o śmierci nie rozmawialiśmy. Tylko o życiu ludzi, których odwiedzaliśmy. O żubrach, które podchodzą pod ich płoty, o umiejętności ręcznego robienia kilimów, którą można by się z kimś podzielić, i o sztafecie pokoleń, bo niektórzy mają już nie tylko wnuki, lecz także prawnuki. – A kto wie, może i praprawnuków jeszcze się pani doczeka? – zastanawia się doktor w rozmowie z jedną z pacjentek.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Hospicjum można wesprzeć, przekazując 1 proc. podatku (nr KRS 0000328837) lub przekazując darowiznę na rachunek bankowy: 52 8060 0004 0551 0139 2000 0010.

WIĘCEJ NA: WWW.HOSPICIUMELIASZ.PL



Jest bardziej niż oczywiste, że część polityków, komentatorów i ludzi o lewicowych poglądach w Polsce z dużą nadzieją oczekuje laicyzacji społeczeństwa. Upatrują w tym zmiany kraju. Wiadomo, jak miałby wyglądać ten zmieniony kraj: większa swoboda przeprowadzania aborcji, legalizacja związków jedнопłciowych i ewentualnie legalizacja eutanazji.

Oczekiwania narosły do tego stopnia, że już samo przygotowywanie filmu „Kler” część wiązała z rychłym kryzysem religijności. I oczywiście jeśli CBOS wykonał badanie przed emisją w kinach „Kleru” Smarzowskiego i po niej, to wykazał, że pojawiło się więcej negatywnych ocen w postrzeganiu Kościoła. – Fakt, że 5 mln ludzi obejrzało ten film, nie przełożył się jednak na spadek zaufania do Kościoła w dłuższej perspektywie i z badania CBOS wynika, że pod koniec 2017 r. to zaufanie deklarowało 55 proc. Polaków, a jesienią 2018 r., czyli już po emisji filmu w kinach, zaufanie wzrosło do 57 proc. – wskazuje Marcin Przeciszewski, prezes Katolickiej Agencji Informacyjnej.

Głośny film nie miał też przełożenia na deklarowaną religijność Polaków (nadal ponad 90 proc. deklaruje się jako katolicy). Wydaje się więc, że polscy katolicy dość dobrze oddzielają sprawę istoty samej wiary od instytucji kościelnych. I to jest wniosek, który, z wiadomych względów, w lewicowej prasie marginalizowano.

TO NAPRAWDĘ JUŻ KONIEC?

Przeciwnicy Kościoła tworzą entuzjastyczne nagłówki artykułów. „Polska globalnym liderem... w spadku religijności” – pisał kilka miesięcy temu Krzysztof Pacewicz w OKO.press (choć już z samego tytułu wynika, że interpretuje wyniki badania tak, by pasowały do przyjętej tezy); „Polska religijność w kryzysie” – twierdził Sławomir Sierakowski w „Polityce” (jemu z kolei wydawało się, że rekordowa oglądalność „Kleru” to znak desakralizacji Kościoła, który wszędzie był wstępem do sekularyzacji; przywoływał też artykuł Pacewicza o badaniach); „Młodzi Polacy. Religijni bez wiary, pobożni bez modlitwy” – wytykał w marcu tego roku w „Newsweeku” Jarosław Makowski (oczywiście też przywołał badanie Pew Research Center opisane wcześniej w OKO.press i „Polityce”).

Zrośnięci z katolicyzmem



Łukasz Zboralski

Mimo alarmujących raportów i dużych oczekiwań lewicy młodzi Polacy są wciąż najbardziej religijni w Europie. Impulsu do szybkiej i masowej sekularyzacji nie widać

Warto bliżej przyjrzeć się opublikowanemu w połowie ubiegłego roku danym Pew Research Center, które dotyczyły 106 krajów świata. Porównano stopień religijności (religia jako coś bardzo ważnego w życiu) osób w wieku 18–39 lat z osobami powyżej lat 40. Okazało się, że tylko w dwóch krajach młodzi deklarowali większą religijność (w Gruzji i Ghanie), w reszcie krajów zawsze osoby starsze okazywały się bardziej religijne. Największy rozdźwięk dzielił Polaków. Różnica w przyznawaniu religii wielkiej wagi w życiu sięgała prawie 25 punktów procentowych. Bardzo podobnie jest w Grecji, Chinach czy Rumunii.

Czy na tej podstawie można stawiać tezę o spadku religijności Polaków? – Nie mamy zasadniczego pokoleniowego rozdźwięku – mówi Przeciszewski. I tłumaczy: – Taka tendencja, że młode pokolenie jest mniej religijne niż starsze, istnieje od dawna, od kiedy prowadzone są badania socjologiczne. Nie można do tego podchodzić alarmistycznie i wieszczyć, że za 50 lat nie będzie nikogo w kościołach, bo starsi wymrą. Wniosek o silnej sekularyzacji jest nieuprawniony. Natomiast fakt, że religijność młodych ludzi jest mniejsza, powinien być impulsem dla duszpasterstwa. I przecież nim jest – mieli-

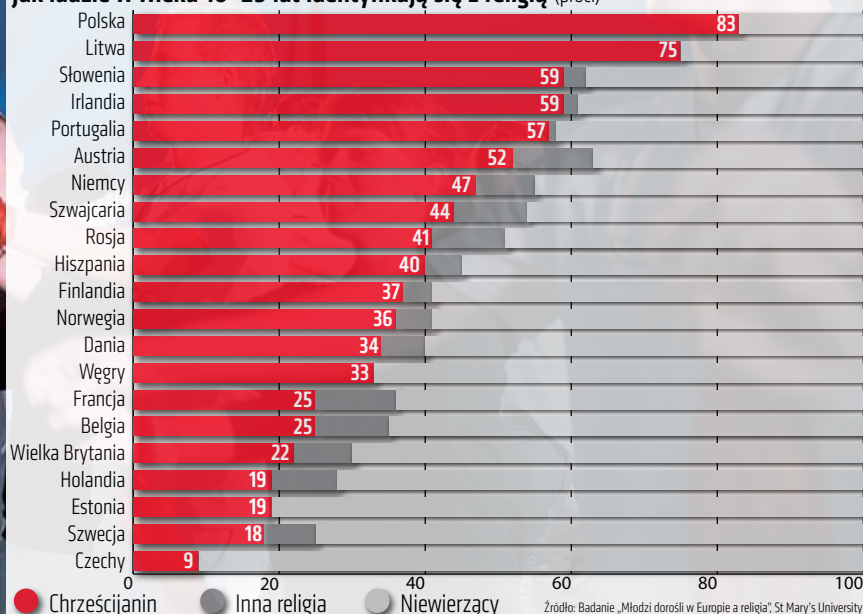
śmy w ubiegłym roku specjalny synod poświęcony młodym. A w tym roku adhortację apostolską posynodalną do młodych. Oni powinni być w centrum uwagi Kościoła, zawsze o tym przypominał św. Jan Paweł II.

Badanie CBOS z 2018 r. wskazało np., że odsetek głęboko wierzących Polaków wśród najmłodszych grup wiekowych wynosi 5 proc. i jest trzykrotnie niższy niż wśród mających 65–74 lata oraz sześciokrotnie niższy niż wśród osób mających 75 lat i więcej. To dużo większa różnica niż w badaniu Pew Research Center, które ma zwiastować rychłą laicyzację następnego pokolenia rodaków.

Oczywiście dane dotyczące aktywnego uczestnictwa wiernych w obrzędach publikowane przez Instytut Statystyki Kościoła pokazują, że uczestnictwo we mszach i przyjmowaniu komunii św. wśród wiernych jest mniejsze niż przed laty. – Nie sprawdziły się jednak prognozy sprzed 30 lat, że wraz z przyściem wolności czy gospodarki liberalnej doświadczymy gwałtownej sekularyzacji, jednak mamy do czynienia z pętającą sekularyzacją – wskazuje prezes KAI. – Jeśli porównamy wskaźnik uczestnictwa we mszach z końcówką lat 80. czy 90., to widzimy spadek z ok. 50 proc. wiernych do niecałych 40.



Jak ludzie w wieku 16–29 lat identyfikują się z religią (proc.)



mniej deklaruje się jako chrześcijanie – odpowiednio 59 i 57 proc.

Młodzi Polacy najczęściej się też modlą. Co najmniej raz w tygodniu czas na modlitwie spędza połowa z nich. Nigdy nie modli się 17 proc. To najniższy wskaźnik w całym badaniu. W Czechach nigdy nie modli się 80 proc. młodych, w Szwecji, Danii, Estonii, Holandii – ok. 70 proc.

– Dawno temu pod względem religijności wyprzedzały nas Irlandia i Malta, ale to się zmieniło. Jesteśmy dziś na pierwszym miejscu w Europie i palmę pierwszeństwa dzierżymy dziś z obszarem zachodniej Ukrainy. Na Litwie już się pogorszyło – mówi Marcin Przeciszewski. – Coraz więcej socjologów zaczyna mówić o tym, że obszar masowej sekularyzacji może być zjawiskiem wyłącznie zachodnioeuropejskim, czyli dość ograniczonym. Sztandarowa teza socjologów lewicy o tym, że modernizacja społeczeństwa oznacza sekularyzację, okazuje się nieprawdziwa, biorąc pod uwagę globalne trendy – zaznacza.

KTO ZAMIAST CHRZEŚCIJAN?

A patrząc globalnie, można też zastanawiać się, co czeka nas, gdybyśmy wpisali się jednak w europejski trend, choć z dużo bardziej rozciągniętą w czasie przemianą społeczną. Wydaje się, że nie czeka nas powszechny ateizm.

Choć to paradoksalne, to religijność na świecie rośnie. W ubiegłym roku przekrojowe dane opublikował „The Guardian”. Wynika z nich, że w sumie na świecie 84 proc. ludzi deklaruje przynależność do jakiejś grupy religijnej. I religijność społeczeństwa rośnie wszędzie na świecie poza Europą Zachodnią i Ameryką Północną.

A najszybciej rozwijającą się religią na świecie jest islam. Powód jest dość oczywisty. To demografia. Średni wiek chrześcijanina to 30 lat, muzułmanina – 23, hindusa – 26. Muzułmanki rodzą średnio 2,9 dziecka, wszystkie pozostałe kobiety na świecie średnio – 2,2 potomka. Chrześcijanki średnio rodzą 2,6 dziecka, ale biorąc pod uwagę wymiar globalny, w samej Europie liczba zgonów chrześcijan przewyższa liczbę narodzin.

Można zaryzykować tezę, że gdy Europa całkowicie przestanie być chrześcijańska, to społeczeństwa nie staną się jakimś dojrzałym ateistycznym tworem przyszłości. Raczej dobrze wiadomo, kto nas zastąpi. Na szczęście nas, Polaków, jako ostatnich.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Ten trend wydaje się jednak stabilizować od roku 2012. Ostatnie badanie – obejmujące rok 2017 – wykazało (wprawdzie niewielki, ale jednak) przyrost wiernych uczestniczących we mszach – o 1,6 punktu procentowego. Wzrósł też odsetek przystępujących do komunii św. – o 1 punkt procentowy. – To jest pewna sinusoida, nie wiemy, co będzie dalej. Oby wzrost w 2017 r. okazał się trwały – komentuje Przeciszewski.

BASTION RELIGII W EUROPIE

W polskich mediach nie przebiło się inne, ciekawe badanie opublikowane w ubiegłym roku. To badanie „Europejscy młodzi dorośli i religia” przeprowadzone w latach 2014–2016 przez Stephena Bullivanta, profesora teologii i socjologii religii w St Mary's University w Londynie.

Wynika z niego jednoznacznie, że Europa się dechrystianizuje. Postępuje proces laicyzacji społeczeństw.

W nowej generacji, czyli osób w wieku 16–29 lat, najbardziej zlaicyzowani są Czesi. 91 proc. z nich deklaruje, że nie ma związku z żadną religią. Podobnie jest w Estonii, gdzie niezwiązanych z religią jest pomiędzy 70 a 80 proc. badanych. Ponad 70 proc. deklarujących

brak związku z wiarą jest też w Szwecji, Holandii i Wielkiej Brytanii. Na tej mapie uciezki od religii jest przeciwny biegun. Tam są młodzi Polacy. To oni najczęściej w Europie potwierdzają swoją religijność. Aż 83 proc. czuje się z nią związanych. Jako niereligijni definiuje się zaledwie 17 proc. z nich. I są to przecież prawie bez wyjątku katolicy – ponad 80 proc. z nich określa się jako chrześcijanie.

Inaczej też niż na poziomie krajowym postrzegać można uczestnictwo w obrzędach religijnych młodych Polaków. Mocno wyróżniają się na tle Europy. Blisko 40 proc. z nich chodzi do kościoła poza świętami i specjalnymi okazjami raz na tydzień lub częściej. Doliczając 49 proc. tych, którzy deklarują przychodzenie rzadziej niż raz w tygodniu, mamy tylko 12 proc. niechodzących do kościoła nigdy. To najmniej ze wszystkich badanych krajów.

Wśród tych, którzy najczęściej po Polakach chodzą do kościoła co najmniej raz w tygodniu, są Portugalczycy – deklaruje to 20 proc. z nich, czyli dwa razy mniej niż naszych młodych rodaków. Na trzecim miejscu są Irlandczycy – 15 proc. z nich deklaruje uczestnictwo w obrzędach co najmniej raz w tygodniu. Przy czym w Irlandii i Portugalii



Krzysztof Masłoń

„Straszny dwór” na swój rozłożony na raty ostateczny i definitywny triumf poczekał do Polski niepodległej

Co bardziej wykształceni bohaterowie polskich powieści i filmów bywają w operze, chętnie też słuchają muzyki operowej z płyt, a i sami podśpiewują czasem co bardziej znane arie z „Toski”, „Traviaty” czy „Turandot”. Podobnie w teleturniejach czy krzyżówkach zdarzy się pytanie o Verdiego, Pucciniego, rzadziej o Wagnera. Jednak o Moniuszkę? Wolne żarty. Niemal powszechnie obwołano go twórcą drugorzędny i jeśli o czymś się pamięta, to może jedynie o „Arii z kuranem”, a i tego nie jestem pewien.

Tymczasem w polskiej muzyce odgrywa on dokładnie tę samą rolę co Adam Mickiewicz w literaturze. Autor „Pana Tadeusza” też bywa deprecjonowany jako poeta nie dość intelektualny, za bardzo patriotyczny, a jeszcze do tego za groźny awangardowy. Ratuje go nieco „Skład zasad”, ale tylko do pewnego stopnia. A wracając do muzyki, do tego do muzyki narodowej, to trudno nie przyznać racji prof. Jackowi Kowskiemu, autorowi przepięknie wydanej w PIW-ie pracy „Straszny dwór, czyli sarmackie korzenie Niepodległej”, który we wstępie do niej pisze, że ta wspaniała, arcydziełna opera narodowa, wypełniona staropolszczyzną, potężną, słowem, obrazem i dźwiękiem” bardzo szybko okazała się „częścią wielkiej tajemnicy”, którą jest cała twórczość Moniuszki niby zwycięska, a jakże niedoceniona. Chopina wielbiono zawsze i wszędzie, bo kochały go i lubiły salony Europy. Moniuszko okazał się z innego świata, może zarówno zbyt europejski, jak i za słabo europejski, żeby go powszechnie uznano.

Dowodami na to, że mamy do czynienia z tajemnicą, są trwające zarazem: nieustanna obecność „Straszego dworu” w polskim muzeum wyobraźni i nieodmienne wzruszenie, które wywołuje u jakże licznych wtajemniczonych, oraz fakt, że w polskiej kulturze wziął bezapelacyjne pierwszeństwo przed innymi ważnymi dziełami muzyki, o których nasza publiczność dawno zapomniała; obelgi, inwektywy, pomówienia, które dotyczą kompozytora w środowisku

fachowców – badaczy i wykonawców; wreszcie – nieszczęśliwe powodzenie jego oper poza granicami Polski, a zwłaszcza „Straszego dworu”. Utwór ten (inaczej niż „Halka”) długo w ogóle nie mógł zaistnieć na obcych scenach, kiedy zaś już zaistniał, zdawał się cudzoziemcom zaledwie lekką operą o białym librecie.

Z tych wszystkich przyczyn Moniuszko ma dziś pomniki, skwery, filharmonie, ulice, festiwal i ciekawe wystawienia niektórych swoich oper (nie wszystkich jednak), za to w księgarniach muzycznych brak nagrań jego dzieł, które przeważnie trzeba sprowadzać przez Internet (jeśli w ogóle istnieją). Dlatego też menedżerowie niektórych instytucji kulturalnych niekiedy wypowiadają się o nim z lekceważeniem, bo w pewnych kręgach „tak wypada”.

POKŁON DLA SYROKOMLI

Urodził się Stanisław Moniuszko 200 lat temu, 5 maja 1819 r., w majątku w podmińskim Ubielu. Pochodził z niebiednej, ale i niezamożnej rodziny szlacheckiej. Miał osiem lat, gdy po raz pierwszy zobaczył Warszawę, gdzie zaczął uczyć się muzyki u organisty w kościele Świętej Trójcy, Augusta Freyera. Naukę kontynuował w Mińsku, Berlinie, wreszcie Wilnie, gdzie zamieszkał i pracował jako organista, pedagog oraz organizator życia muzycznego w tym mieście. Złożył też niezwykły dar w Ostrej Bramie, cykl „Litani ostrobramskich”, rzeczywiście tam wykonywanych.

Po „Śpiewniku domowym” – kwestionowanym przez cenzurę w Wilnie, za to łaskawie dopuszczonym do druku w Petersburgu – nazwisko Moniuszki stało się głośne, głównie w Wielkim Księstwie Litewskim. „Moniuszko tymczasem – snuje swą opowieść Jacek Kowalski – pragnął wziąć się do większej, poważniejszej opery, tylko że w Wilnie nie mógł znaleźć dobrego libretta. Nawet znajomość z Władysławem Syrokomlą niewiele tu dała – pisywał muzykę do jego wierszy, ale upragnionego libretta nie mógł się doczekać. Poza tym w późniejszych

latach Syrokomla porzucił swą małżonkę i związał się z aktorką, panią Kirkorową, czego Moniuszko nie mógł mu wybaczyć; to wtedy na listowną prośbę o pozdrowienie poety odpisał: »Syrokomli pokłonij się od Ciebie, ale tyłem do niego odwrócony«”.

Nawiasem mówiąc, to korespondent Moniuszki – znany dziennikarz i krytyk muzyczny Józef Sikorski – poznał go z poetą Włodzimierzem Wolskim, autorem libretta do „Halki”, która swoją prapremierę mieć będzie w Wilnie w roku 1848.

Na triumf „Halki” trzeba było jednak czekać jeszcze aż 10 lat – do 1 stycznia 1858 r., od którego to dnia „Halka” na stałe zagościła w Teatrze Wielkim w Warszawie. Aleksander Walicki napisał później: „Wyznać musimy, żeśmy do Moniuszki opery własnej nie mieli. [...] »Halka« olśniła wszystkich swą wytwor-



niepodległe



„Straszny dwór” Stanisława Moniuszki w Operze Wrocławskiej w 2009 r. FOT. MIŁOŚZ POŁOCH/REPORTER

nością i jednocześnie prostotą. Świeżość i oryginalność melodyi łączyła się tam z bogactwem harmonii. [...] Przedstawienie »Halki« w Warszawie jest również epoką w życiu Moniuszki, jak i w dziejach opery naszej”.

To prawda, ale jest też prawda, że wiele ważnych osób, a także kwiat artystycznej „warszawki” powątpiewały w wartość dzieła i talent początkującego kompozytora, do tego z prowincji. Ba, eksorganisty w kościele św. Jana w Wilnie, a do tego ojca dziesięciorga (!) dzieci.

POD OKIEM ŻANDARMA

Za swego życia doczekał się Moniuszko 150 wystawień „Halki” w Warszawie. Do tego, by zaistniała ona na stołecznej scenie, w znacznym stopniu przyczynił się moskiewski satrapa, oberpolicmajster Królestwa Polskiego, a zarazem prezes Teatrów Rządowych – gen. Ignatij Joachi-

mowicz Abramowicz. Ten zruszczony Polak dla polskiej sceny położył niemałe zasługi. I to on poznał się na Moniuszce, proponując mu jeszcze przed premierą „Halki” stały etat w Teatrze Wielkim. Po sukcesie łzawej historii o uwiedzeniu młodej góralki przez panicza czekała kompozytora nominacja na dyrektora opery polskiej, co w praktyce oznaczało stanowisko dyrygenta polskich przedstawień w Teatrze Wielkim. Włoskich – nie.

Profesor Jacek Kowalski powiada: „Powtórzyć trzeba za wszystkimi świętymi: przed Moniuszką nie mieliśmy prawdziwej polskiej opery. Mieliśmy jednak teatr! Teatr Narodowy, w czasach Moniuszki zwany Wielkim; ta nazwa została do dziś. Mówię oczywiście o gmachu teatru, w chwili swego powstania nieomalże największym w Europie, na pokaz. Wedle zamiaru jego twórców. Bryła teatru dotąd silnie zaznacza się

w centrum Warszawy, a wielkie elewacje budzą respekt. Tu właśnie, na jego widowni, po raz pierwszy zaistniał »Straszny dwór« (skądinąd złośliwi obdarzyli tym mianem nową, nieudaną elewację odbudowanego po wojnie teatru od strony placu Piłsudskiego; bo »straszy«).

Straszyła też, i to poważnie, cenzura, która cięła raz mocniej, innym razem łagodniej. Kilka lat przed powstaniem „Straszego dworu” z libretta „Rokiczany”, które Józef Korzeniowski pisał dla Moniuszki, kazano wykreślić postać króla... Kazimierza Wielkiego. W tej sytuacji kompozytor zrezygnował z dalszej pracy nad tą operą. Po powstaniu styczniowym pod cenzorską lupą znalazł się, najogólniej rzecz ujmując, „duch patriotyczno-polski”. W 1873 r. zezwolono wprowadzić na wystawienie adaptacji „Marii” Antoniego Malczewskiego, ale nie w polskich kostiumach. Z innej sztuki



polecono wykreślić słowa: „konfederatka”, „kontusz”, „karabela”. To działa się jednak już po premierze „Strasznego dworu”. Spektakle cenzurowano surowo, bo też wydawały się zaborcy groźniejsze w skutkach niż słowo drukowane. Żywa była pamięć o powstaniu kościuszkowskim, które wybuchło niebawem po wystawieniu „Krakowiaków i górali”, a śpiewogrę tę zdjęto z afiszów po zaledwie trzech przedstawieniach, podobnie jak po latach „Straszny dwór”.

CHODZENIE NA MONIUSZKĘ

Dwa lata po „Halce”, a pięć lat przed „Strasznym dworem” Warszawa ujrzała trzecią z wielkich oper Stanisława Moniuszki – „Hrabinę”. Tekstem Wolskiego opowiadała ona o próżnej warszawskiej arystokratce, która z byle powodu wzgardziła szczerym uczuciem młodego szlachcica, za co też poniosła karę, gdyż ów szlachcic po powrocie z wojny poślubił inną, choć kapryśna dama skłonna już byłaby ofiarować mu swe wdzięki. Generalnie rzecz najmądrzejsza nie była, nic też dziwnego, że Józef Sikorski pisał z sarkazmem o „trzyaktowej tragedii rozdartej spódnicy”. Jednak publiczności ta opera komiczna się podobała, a polonez na rozpoczęcie trzeciego aktu wywołał prawdziwą euforię. To miało zresztą zawsze cechować Moniuszkę – świetne wycucie stylu polskich tańców narodowych.

Po powodzeniu „Hrabiny” przyszła kolej na staroszlachecką jednoaktówkę „Verbum nobile”, napisaną do libretta Jana Chęcińskiego, z którym Moniuszko rozpoczął ścisłą współpracę, jej wspinałym zwieńczeniem będzie „Straszny dwór”. Był to wówczas bardzo popularny i wysoko ceniony autor, wykazujący przy tym znakomitą znajomość opery i świetnie się w niej czujący. Dla Moniuszki, poza „Verbum nobile”, napisał jeszcze „Parię” i „Beatę”, ale sukcesy odniósł również jako tłumacz librett, wprowadzając na polską scenę „Rigoletta”, „Trubadura” i „Turando”. Tą przysłowiową wisienką na jego torcie stał się – naturalnie – „Straszny dwór”.

Wstępnie opracowany przez Chęcińskiego tekst libretta tej opery otrzymał kompozytor w 1861 r. Czas, który upłynął od tej chwili do dnia prapremiery – odbyła się ona w Teatrze Wielkim 28 września 1865 r. – był pod każdym względem wyjątkowy. Także dla Stanisława Moniuszki, pod którego dyktando wykonywano np. utwory żałobne podczas pogrzebu pięciu poległych uczest-

ników manifestacji z 27 lutego 1861 r. W powstaniu styczniowym nie brał wprawdzie udziału, nie walczył z bronią w rękę jak librecista Włodzimierz Wolski czy solista opery warszawskiej Józef Achilles Bonoldi. Jednak pracował dalej nad „Strasznym dworem”, nie mając najmniejszych gwarancji, czy wystawienie jego będzie możliwe. Napisał wtedy: „Jeśli kocham tę pracę, to ją kocham jako uczciwy środek przyczynku dla kraju... Ale gdy ta praca obecnie staje się pomocą w ciężkim przeżyciu, widocznie Bóg ją błogosławi”.

Teatr funkcjonował byle jak, o ile w ogóle działał, gdyż przez rok sale rezerwowe zajęło wojsko. Później następcą wielkiego księcia Konstantego, hrabia Berg, wydał zarządzenie, by po każdym spektaklu aktorzy śpiewali „Boże caria

Przed premierą „Straszny dwór” był wielokrotnie cenzurowany. Skreślano wersy, cięcia dotknęły nawet „Arię z kurantem”

chrani”. Śpiewali więc, także na operach Moniuszki, bo nieczęsto, ale jednak pokazywano w tym podłym czasie „Halke”, „Hrabinę” i „Verbum nobile”. Polska publiczność jakoś jednak rozgrzeszała siebie z „chodzenia na Moniuszkę”, przy czym panie przychodziły do teatru ubrane, oczywiście, na czarno.

MAZUR NA FINAŁ

Przed premierą „Strasznego dworu” był wielokrotnie cenzurowany; by wystawić operę, przerabiano ją, skreślano wskazane wersy, cięcia dotknęły nawet „Arię z kurantem”. Publiczność, która stawiała się na premierę, jak również ci, którzy dostali się na próbę generalną, świadomi byli niezwykłości wydarzenia. Tego, że powstała opera mająca ten sam cel co Mickiewiczowski „Pan Tadeusz” – pocieszenie umęczonych polskich serc. Ukazany przez kompozytora i librecistę obraz świetności dawnej, sarmackiej Rzeczypospolitej urzekł widownię, która w lot chwyciła najmniejszą aluzję, nie polityczną, a skąd! – patriotyczną bądź religijną.

Entuzjastyczne przyjęcie „Strasznego dworu” przekształciło się w manifestację widzów zgromadzonych w Te-

atrze Wielkim. „Osobliwa to była opera komiczna, na której wszyscy płakali”, pisał po premierze Witold Rudziński. Po trzech spektaklach opera zeszła z afisza, a kompozytor jej pisał do przyjaciela: „Obecnie »Straszny dwór« zawieszony przez matkę naszą cenzurę. Nikt nie wie, z jakiego powodu”. No, domyśleć się nie było trudno, ale żelazny uścisk cenzury był na tyle silny, że Moniuszko za życia nie ujrzał już swego dzieła na scenie. Porzucił tematykę narodową (choć nie całkowicie, napisał bowiem muzykę do „Sonetów krymskich” Adama Mickiewicza), zwracając się – jak w „Pari” – ku tematowi egzotycznym. Do śmierci (zmarł 4 czerwca 1872 r. na atak serca) borykał się – co dziś pewnie dziwi – z trudnościami finansowymi. W ostatniej drodze na warszawskie Powązki towarzyszyły mu dziesiątki tysięcy mieszkańców stolicy.

A „Straszny dwór” na swój – z konieczności rozłożony na raty – ostateczny i definitywny triumf poczekał do Polski niepodległej. Czy prawie niepodległej, bo było to tak: w 1915 r. opera lwowska tym przedstawieniem właśnie uczciła rocznicę powstania listopadowego. W roku następnym po akcie 5 listopada, ogłoszonym przez zaborców pruskiego i austro-węgierskiego, minie zaledwie pięć dni i na scenie Teatru Wielkiego w Warszawie znów pojawi się wielka opera Moniuszki. Po raz pierwszy bez cenzuralnych skreśleń. Czytelnicy „Kuriera Warszawskiego” przeczytali następnego dnia: „Z radością powitaliśmy wczoraj wznowienie »Strasznego dworu«. Jest to najdojrzalsze dzieło Moniuszki i dotychczas może najlepsza opera polska, a w każdym razie najbardziej polska opera”. Profesor Kowalski puentuje tę informację tak: „Kiedy warszawiacy czytali to doniesienie, równolegle we Lwowie dawano »Strasznego dworu« – już wprost »ku uczczeniu proklamacji niepodległości Polski«, za jaką powszechnie uznawano akt 5 listopada”.

Przynosi też bowiem opera niesłychaną erupcję polskiej pieśni i polskiego tańca narodowego. Siarczysty mazur kończący przedstawienie porwuje każdego, nieważne, ile krwi polskiej ma w sobie. Zachwycają, wśród wielu innych, „Dumka Jadwigi”, „Aria Skołuby” i – kto wie, czy nie najbardziej – „Aria Miecznika”, którą przypominamy sobie w 2019 r., który Sejm i Senat RP ustanowił, w 200. rocznicę urodzin twórcy „Strasznego dworu”, Rokiem Stanisława Moniuszki.



**Z Kenem Follettem,
autorem cyklu
„Filary Ziemi” i wielu
bestsellerowych powieści
sensacyjnych**
rozmawia Piotr Gociek

PIOTR GOCIEK: Zarobiłem kiedyś na panu trochę pieniędzy.

KEN FOLLETT: W jaki sposób?

Na początku lat 90. dorabialiśmy sobie z kolegami handlem książkami na ulicznych straganach. Kupowaliśmy w hurcie od wydawcy pana „Klucz do Rebeci” i sprzedawaliśmy w detalu. Szybko się rozchodził.

W takim razie zarobił pan trochę pieniędzy i dla mnie.

To umówmy się, że jesteśmy partnerami biznesowymi. „Klucz do Rebeci” był pierwszą pana powieścią wydaną w niekomunistycznej Polsce. Wcześniej ukazała się tylko „Igła”.

Wyjaśnijmy od razu dlaczego: ta powieść mogła się ukazać w komunistycznej Polsce, bo występujący w niej Rosjanie nie byli czarnymi charakterami. W tamtych czasach było to w thrillerach szpiegowskich prawdziwą rzadkością.

Zarobił pan fortunę na pisaniu książek. Udało się dzięki temu spełnić jakieś ekstrawaganckie marzenie? Kupić własny zamek albo prywatną wyspę?

Nic tak szalonego mi się nie przytrafiło. W gazetach można często przeczytać niesamowite historie o ludziach, którzy zrobili majątek i wypełniają teraz wannę szampanem Dom Pérignon. Patrząc na to inaczej. Zbyt ciężko pracuję, żeby zarobione pieniądze wyrzucać w błoto. Moim największym marzeniem od zawsze było zostać pisarzem i odnieść wielki sukces. Udało mi się je spełnić, więc nie mogę narzekać.

Od zawsze, to znaczy od kiedy?

Miałem wtedy dwadzieścia jeden lat. Zaczynałem dopiero próbować swoich sił w pisaniu, ale i od razu wiedziałem: to jest coś, co chciałbym robić przez resztę życia. Na początku pisałem opowiadania, z których żadne nie zostało opublikowane, bo nie były wystarczająco dobre. Zatem w naturalny sposób marzenie rozszerzyło się o drugą część: nie wystarczy pisać. Trzeba jeszcze być wydawanym i czytany.

Pisz książki, zarobisz fortunę



FOT. EDUARDO PARERA/GETTY IMAGES



■ Udało się, i to jak! Nie obrazi się pan, kiedy powiem, że jest pan pisarzem trochę staroświeckim?

Nie. Jestem zaszczycony takim określeniem.

Może zresztą jedno ma z drugim coś wspólnego: pana książki, zwłaszcza powieści historyczne, są niezmiernie popularne, a zarazem nie ściga się pan z tymi, którzy za wszelką cenę próbują zaskoczyć czytelnika tym, jak opowiadają swoje fabuły, a nie tym, czy mają ciekawą historię do opowiedzenia.

Określenie „staromodny” pasuje i jestem z niego dumny, bo to, co mnie w pisaniu od zawsze interesowało, co niezmiernie podziwiam, to tradycja dziewiętnastowiecznej powieści. Ten okres jest zresztą nazywany „złotym wiekiem powieści”. Bez wątplenia takim był, na

być motorem intrygi. Przełomowych chwil w historii. Ważny jest potencjał dramatyczny. W powieści „Krawędź wieczności” należącej do cyklu „Stulecie” sięgnąłem do wydarzeń z polskiej historii, do tego, co się stało w roku 1988 i 1989. Szukam takich chwil, kiedy wiatr historii zaczyna wiać w inną stronę. Wtedy na prawdziwe tło historyczne wrzucam bohaterów, których wymyśliłem, bohaterów, którym wiarygodności dodaje fakt, że biorą udział w niezwykle, ale prawdziwych wydarzeniach.

I po ponad czterdziestu latach pisania bestsellerów wciąż jest pan głodny nowych historii? Wciąż znajduje siłę, by pozwolić się sobie czymś zadziwić?

O tak! Pisanie powieści jest najbardziej pasjonującą częścią mojego życia.

Nie szukam bohaterów w prawdziwym życiu czy w bibliotekach. Rodzą się w mojej głowie dopiero wtedy, kiedy obmyślę z grubsza fabułę

pewno w Anglii, Francji czy Rosji. Kiedy dziś spojrzysz pan na listy bestsellerów, zobaczysz pan, że większość powieści, które utrzymują się na nich przez długi czas, to opowieści bardzo tradycyjne, z początkiem, środkiem i końcem, z rozbudowaną fabułą. Z masą ciekawych bohaterów, którzy muszą stawić czoła rozmaitym przeciwnościom, stają przed trudnymi dylematami. Wszystko to jest staromodne, moglibyśmy powiedzieć, ale jednocześnie znajduje drogę do serc czytelników. Lubię pisać takie książki.

To skomplikowane, wielowymiarowe przedsięwzięcia. W niektórych książkach opisuje pan setki postaci. Jak wiele pożycza pan z życiorysów historycznych bohaterów, z książek non-fiction o danej epoce, może jakichś archiwów?

Nie szukam bohaterów w prawdziwym życiu czy w bibliotekach. Rodzą się w mojej głowie dopiero wtedy, kiedy obmyślę z grubsza fabułę. Wtedy zadaję sobie pytanie: Jakiego rodzaju postaci mogłyby się przydarzyć rzeczy, o których chciałbym opowiedzieć?

Najpierw fabuła, potem postacie. Skąd zatem fabuły?

Czytając książki historyczne, szukam dramatycznych wydarzeń, które mogą

Jest trudne, jest czasochłonne, czasem człowiek pakuje się w ślepy zaułek, ale czuję, że jestem w tym dobry, a to zawsze dodaje człowiekowi skrzydeł. Świetnie jest robić coś, w czym jest się dobrym!

Chce pan pozostać przy pisaniu wielkich barwnych powieści historycznych jak cykl „Wieczność” albo „Filary Ziemi” czy może woli wrócić do pisania thrillerów?

Pozostaję teraz przy powieściach historycznych, epickich, ale nie zamykam sobie drzwi do żadnych innych pomysłów. Nowe książki o II wojnie światowej, nowe powieści szpiegowskie – czemu nie, muszę tylko znaleźć taki pomysł, dzięki któremu będę podekscytowany podczas pracy i będę czuł satysfakcję z pisania. Szczęśliwym zrzędzeniem losu znalazłem się w takim punkcie kariery, że mogę podejmować takie decyzje bez żadnego nacisku z jakiegokolwiek strony. Jest i ciemna strona – czasem podejmuję złe decyzje, wybieram niewłaściwie, zaczynam pracę i odkrywam, że nic z tego nie będzie. Kiedy po kilku tygodniach czuję, że nie idę w dobrym kierunku, że nie będzie to opowieść tak dobra, jak sobie wymarzyłem, wtedy rezygnuję i szukam innego pomysłu. Nigdy nie są to łatwe decyzje.

Często musiał je pan podejmować?

Zrezygnowałem z kilkunastu projektów. Nad jednym pracowałem rok, zanim dojrzałem do decyzji „koniec, poddaję się”.

Powiedział pan kiedyś, że najbardziej dumny jest z powieści „Filary Ziemi”. Dlaczego?

Przed wszystkim dlatego, że tak bardzo pokochali ją czytelnicy. Ale także dlatego, że potwierdziła moją pisarską intuicję. Wiele osób odradzało mi jej napisanie, uważało, że to zbyt ryzykowny ruch, który skończy się wielką katastrofą. I wreszcie dlatego, że było to ogromne wyzwanie, któremu sprostałem. Nigdy wcześniej nie próbowałem stworzyć książki tak obszernej, tak trudnej w pisaniu. Kiedy się udało, moje szczęście było więc podwójne.

To miało być jednorazowe przedsięwzięcie, prawda? Nie myślał pan wtedy, że na dobre zajmie się wielkimi sagami historycznymi, nie planował też chyba dalszego ciągu? A ostatecznie powstały przecież jeszcze dwie powieści: „Świat bez końca” i „Słup ognia”.

Nie, nie planowałem kontynuacji. Jednak ta myśl zaczęła we mnie pomалу kiełkować, kiedy podczas spotkań z czytelnikami przez następne lata widziałem, jak ta powieść mocno na nich wpłynęła. Wielu mówiło „to najlepsza książka, jaką czytałem w życiu”. Ludzie, którzy nie czytali nigdy żadnych innych moich książek, przychodzili i opowiadali, jak wielkie wrażenie wywarły na nich „Filary Ziemi”. Inni z kolei mówili – pamiętam to dobrze z rozmaitych spotkań w księgarniach i bibliotekach – „czytałem wiele twoich książek, ale tę lubię najbardziej”. I wtedy rozlegały się oklaski. W dodatku z samą książką wydarzyła się przedziwna rzecz. Zwykle im dalej od premiery, tym powieść sprzedaje się słabiej. „Filary Ziemi” rok po roku sprzedawały się coraz lepiej, jakby ruszyła lawina, której nikt się nie spodziewał. Dziś to już 26 mln egzemplarzy. I książka wciąż się sprzedaje!

Czyli napisanie ciągu dalszego było wyrazem wdzięczności wobec czytelników, którym tak bardzo spodobały się „Filary Ziemi”?

Można tak to określić.

Przez pewien czas pracował pan jako dziennikarz. Czy ta praca daje coś, co przydaje się w pisarskiej karierze?

Byłem dziennikarzem przez pięć lat, pracowałem w dwóch różnych redakcjach. W tym czasie przydarzyło mi się wiele ciekawych rzeczy i przede wszystkim bardzo wiele nauczyłem się o samym pisaniu.



W czym się pan specjalizował? Sport? Polityka?

Nie pisałem o polityce, byłem zwykłym reporterem, który przychodził co rano do pracy i jechał tam, dokąd wysyłali go redaktorzy. Nigdy nie było wiadomo, czym człowiek zajmie się następnego dnia. Wieczorami zajmowałem się tym, co mnie bardziej interesowało. Niech mnie pan nie zrozumie źle. Dziennikarstwo to był ciekawy zawód, ale pracując jako reporter, zrozumiałem, że tym, co naprawdę kocham, są książki. Do tego stopnia, że gdybym nie został pisarzem, to pewnie pracowałbym jako redaktor w wydawnictwie albo samemu został wydawcą. Gazet nie kochałem.

A filozofia, którą pan studiował?

W pisaniu do niczego się nie przydała. To zbyt logiczna dziedzina. Główną zaletą studiowania było to, że uczyliśmy się myśleć. Z tego punktu widzenia równie dobrze mogłem studiować na przykład geografię albo chemię. Efekt pewnie byłby podobny.

Wracając do spoglądania na listy bestsellerów, które bez trudu pan podbija: mamy tu fenomen George'a R.R. Martina i „Gra o tron”. Czy posiadłszy umiejętność pisania wielkich epickich historii, nie myślał pan nigdy o tworzeniu bardziej fantastycznych historii?

Kiedy zaczynałem swoją pisarską przygodę, próbowałem pisać fantastykę i odkryłem, że to niesłychanie trudny gatunek. Ja piszę o wymyślonych przygodach w realnym świecie. W fantastyce są to wymyślone przygody w wymyślonym

świecie, którego stworzenie wymaga szczególnych umiejętności, których – jak sądzę – nie posiadam. Mój mózg po prostu pracuje inaczej.

„Gra o tron” stała się światowym fenomenem dzięki serialowi. Które z telewizyjnych i filmowych ekranizacji pana powieści uważa pan za najlepsze?

Myślę że miniserial „Filary Ziemi”. Był nie tylko dobrze zrobiony, lecz także wierny względem powieści. Bardzo podobał się widzom. Kinowy film „Igła” z Donaldem Sutherlandem też był bardzo dobry.

Wielu pisarzy nie czeka dziś na ekranizację swoich powieści, zaczynają pracować bezpośrednio dla telewizji i serwisów, takich jak Netflix. Ostatni głośny przykład to Gillian Flynn, autorka bestsellerów „Zaginiona dziewczyna” czy „Ostre przedmioty”, która wiąże swą przyszłość z serialami.

Ten rodzaj pisania także wymaga szczególnych umiejętności, których nie posiadam. Trochę próbowałem w latach 70. Jednak to pisanie powieści sprawiło, że odniosłem sukces. Zostanę więc przy tym, co umiem robić. Tak przy okazji – na pisaniu książek można zarobić o wiele większe pieniądze niż na pisaniu dla filmu. Moja kariera jest tego przykładem.

Czy trwają prace nad kolejnymi ekranizacjami pana powieści?

Tak. Powstanie serial na podstawie „Stupa ognia” i trwają przygotowania do ekranizacji trylogii „Stulecie”, ale są na razie na bardzo wczesnym etapie prac. Nie mogę nawet jeszcze określić, gdzie będzie można zobaczyć te produkcje.

Sprzedaliśmy prawa firmie produkcyjnej i trwają negocjacje w sprawie szczegółów.

Od trzech lat trwają negocjacje w dużo trudniejszej sprawie. I tu porzucamy literaturę na rzecz polityki. Jest pan za brexitem czy za pozostaniem Wielkiej Brytanii w Unii Europejskiej?

Brexit będzie katastrofą. Jeśli opuścimy Unię, będzie to miało dla mojego kraju fatalne skutki ekonomiczne – bo wszyscy będziemy biedniejsi – i fatalne skutki duchowe, bo dokonujemy w ten sposób aktu odrzucenia innych i wywyższenia, wbijamy się w przekonanie, że jesteśmy najlepsi i jedyni mądrzy. To głupota.

Ale są przecież i zwolennicy brexitu, którzy mówią zupełnie co innego. Nie mamy nic przeciwko Unii, zaznaczają, ale chcielibyśmy mieć większy wpływ na losy własnego kraju. Napięcia między Londynem i Brukselą nie były wymyślone i nie były tajemnicą.

To prawda, ale taka jest natura każdej unii. To nieustanne dyskusje na temat zasad, które obowiązują, i tego, kto w jakim stopniu i za co powinien odpowiadać. Tymczasem ludzie w Wielkiej Brytanii zachowują się dziecinnie, wołając: Dlaczego ktoś inny ma nam mówić, co mamy robić? Dorosli w takiej sytuacji stwierdzają: „OK, musimy w takim razie pracować wspólnie nad satysfakcjonującym wszystkich rozwiązaniem”, a nie krzyczą „Nie będę cię słuchać, bo nie będziesz mi mówić, co mam robić. Dla mnie słowo „dziecinny” najbardziej pasuje do brexitu.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

WYDAWNICTWO ALBATROS
audioteka.pl

AUDIOBOOK

KEN FOLLETT
FILARY ZIEMI

KRZYSZTOF GOSZTYŁA
Narrator

MICHAŁ ŻURAWSKI
Tom Budowniczy

KATARZYNA HERMAN
Ellen

PIOTR CYRWUS
Philip

SUPERPRODUKCJA NA PŁYTACH CD
DO KUPIENIA OD 15 MAJA 2019



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW
CHĘĆMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Potrzebujemy rozkazów!



★★★★★
REŻ. ROBERT SCHWENTKE
„KAPITAN” („DER HAUPTMANN”)
NIEMCY/FRANCJA/
POLSKA 2017

wyst. Max Hubacher,
 Milan Peschel,
 Frederick Lau

W królestwie X muzy roi się od dziwaków. Paweł Pawlikowski z uporem realizuje filmy w manierze modnej pół wieku temu. Krzysztof Zanussi porzucił filozofię na rzecz perwersji, Filip Bajon od nihilizmu doszedł do patriotyzmu. Robert Schwentke, który z lepszym („RED”) lub gorszym („R.I.P.D. Agenci z zaświatów”) skutkiem zabawił amerykańską młodzież, z bliżej nieznanym powodów popełnił fabułę dla dorosłych Europejczyków.

„Kapitan”, nakręcony w szlachetnej czerni i bieli, jest drażniącej wersją „Kapitana z Köpenick”. Akcja rozgrywa się w kwietniu 1945 r., gdy nawet Hitler stracił wiarę w zwycięstwo, dochodząc do wniosku, że naród niemiecki zawiódł swojego wodza i powinien popełnić zbiorowe

samobójstwo. Pierwsza scena jest godna „Zezowatego szczęścia”. Łachmaniarz biegnie jak zajęc przez pole, ostrzeliwany przez zmotoryzowanych żandarmów. Jeden z uczestników pościgu zamiast broni ma trąbkę, na której wygrywa jazzowe improwizacje.

To nie koniec surrealistycznych klimatów. W porzuconym aucie dezertjer znajduje obwieszony orderami mundur oficera Luftwaffe. Przebieraniec robi piorunujące wrażenie nie tylko na wieśniakach. Zachęcony powodzeniem „Hauptmann Herold” montuje oddział specjalny z maruderów. Powołując się na rozkazy z samej góry, wizytuje obóz jeniecki i pomaga rozwiązać problem schwytanych uciekinierów (w czym niemrawo próbują mu przeszkodzić formalisci z wydziału sprawiedliwości).

20-letni impostor wzorowo przyswoił sobie najważniejszą z lekcji, których Hitler udzielił ludzkości. Prawo i procedury są dla słabych, silny może robić, co mu się żywnie podoba. Legendarne germańskie umiłowanie hierarchii i dyscypliny ma tutaj mniejsze znaczenie. Niemcy odmawiają przyjęcia do wiadomości, że to już koniec i Tysiąclecie Rzeszy zdycha po 12 latach istnienia. Dowódca, który potrafi przywrócić zachwianą dyscyplinę, nawet jeśli chwilowo jest bez spodni, spada im jak z nieba.

Mając w pamięci „Pułkownika Kwiatkowskiego”, sądzimy, że Willi to dobry aktor i jeszcze lepszy psycholog. To błąd – on niczym się nie różni od swoich niedawnych prześladowców. Umieszczony w nazistowskim ekosystemie staje się nazistą dwustuprocentowym. W Bundesrepublice byłby wzorcowym demokratą. A jeśli owa nadzwyczajna skłonność do mimikry nie jest jednostkową przypadłością? Może takich gagatków jak Herold, żyjących dziś między Renem i Odrą, trzeba liczyć w tysiącach i milionach? „Polska w 1940... uwielbiałem to” – wspomina rozanielony kapitan Junker. Ciekawe, co miał na myśli? ©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „PRAZIOMEK”

W lany poniedziałek gonitwy z polewaniem nie będą jedyną okazją do śmiechu. Do kin wchodzi tego dnia „Praziomek”, komedia animowana ze studia Laika, które ma na koncie m.in. „Koralinę” czy „Kubo i dwie struny”. Reżyserem jest zresztą Chris Butler, scenarzysta tej ostatniej produkcji. I podobnie jak w przypadku „Kubo” mamy

do czynienia z zachwycającą animacją poklatkową. Fabuła zaś łączy wątki z klasyki dawnej przygody: yeti, Shangri-La, wyprawy odkrywców rodem z Verne’a. ©

Piotr Gociak

• „Praziomek”, reż. Chris Butler,
 wyst. Timothy Olyphant, Zoe Saldana,
 Hugh Jackman, USA/Kanada 2019

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Wywiad z Bogiem”, reż. Perry Lang, USA 2018
- „Belzebub” („Belzebuth”), reż. Emilio Portes, Meksyk 2017
- „Jean-Luc Godard. Imaginacje” („Le livre d’image”), reż. Jean-Luc Godard, Francja 2018



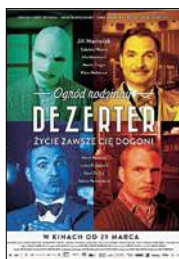
Niedobra zmiana

Rodzinnej sagi Jana Hřebejka ciąg dalszy. Tym razem centralną postacią jest wujek Otto, właściciel salonu fryzjerskiego w centrum Pragi. Nad Czecho-słowacją wschodzi czerwone słońce, tymczasem mistrz grzebień cały zapas odwagi i odporności psychicznej

wyczerpał podczas niemieckiej okupacji. Dyktatura komunistyczna napotkała nad Węłtawą słaby opór i może właśnie dlatego była bardziej opresyjna niż w Polsce. Burżujów, w ramach reedukacji, zmuszano do pracy w kopalniach.

Hřebejk ubrał ten historyczny przełom w kostium komediodramatu. W „Dezerterze” zło jest groteskowe: towarzysze są prymitywnymi tchórzami i kłamczuchami. Bagę społeczną no-

wego stroju stanowią głupcy, frustraci, tchórze, impotenci oraz byli kolaboranci, którzy teraz wysługują się Sowietom. Po drugiej stronie barykady sprawy mają się niewiele lepiej. Szwagier Ottona, Jindřich, domowy tyran i zapiekły antykomunista, demonstra-



★★★★★

REŻ. JAN HŘEBEJK
„OGRÓD RODZINNY. DEZERTER”
CZECHY/ SŁOWACJA/ POLSKA 2017

wyst. Jiří Macháček,
Gabriela Mičová,
Martin Finger

cyjnie czci rocznicę zgonu Roosevelta i zwalcza sympatyzującego z czerwonymi cieciami. Tylko panie zachowują zdrowy rozsądek, co pozwoli przetrwać rodzinie ponurą epokę utrwalania władzy ludowej niemal bez szwanku.

Wszystko to jest strasznie toporne, dopiero w końcówce fabuła nabiera lekkości. Hřebejk powinien pozostać przy kameralnych projektach. Format XXL to nie jego bajka. ©

Wiesław Chelminiak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

SOWA PRAWDĘ CI POWIE

David Robert Mitchell debiutował niskobudżetowym, inteligentnym horrorem „Coś za mną chodzi” (2014). W „Tajemnicach Silver Lake” dowodzi, że do umiejętności budowania napięcia dodał wiele innych i że można wiele od niego oczekiwać. Dostrzeżono to, zapraszając jego nowy film do głównego konkursu

w Cannes. Ostatecznie jednak mimo całej biegłości opowieść rozczarowuje. Jest tu świetny Andrew Garfield w roli głównej, jest piękny hold dla tradycji kina noir, są świetne zdjęcia i naprawdę dobra muzyka. Jednocześnie ten paranoiczny thriller o poszukiwaniu prawdziwych władców świata (nie tylko popkultury) za kulisami show-biznesu Los Angeles okazuje się pusty. Można go jednak oglądać dla przyjemności śledzenia samej wyjątkowo pokręconej opowieści. Ostatnio podobnych doświadczeń dostarczył nam Paul Thomas Anderson w „Wadzie ukrytej” na podstawie prozy Pynchona. Przyszanujcie, że to dla początkującego reżysera porównanie pochlebne.



wyst. Andrew Garfield, Riley Keough, Zosia Mamet

★★★★★

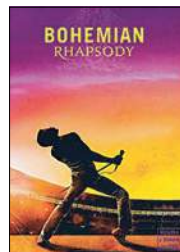
REŻ. DAVID ROBERT MITCHELL
„TAJEMNICE SILVER LAKE”
(„UNDER THE SILVER LAKE”)
USA 2018, DASAN

QUEEN W WERSJI SOFT

Niezaskuszone Oscary to część długiej historii Akademii Filmowej, podobnie jak nadmierna skłonność jej członków do opowieści gładkich oraz banalnych. „Bohemian Rhapsody” to idealny przykład takiej przesady. Film o Freddie Mercury i jego zespole nie ma do zaoferowania nic ponad dobrą muzykę

i biograficzne klisze. Mocno zużyte i w stylu historyjek bezlitośnie wykpionych w komedii „Idź twardo: Historia Deweya Coxa”, pysznej parodii gatunku. Inaczej być nie mogło, „Bohemian Rhapsody” powstawała we współpracy z zespołem i ze spadkobiercami Freddiego, wszystko więc musiało być uładzone i ugrzecznione. Dwa Złote Globy i cztery Oscary wytłumaczyć można chyba tylko atakiem zbiorowego zachwyty nad faktem, że wreszcie ktoś zrobił film o ikonie światowego gejostwa. Szkoda, bo Mercury to gwiazda zasługująca na prawdziwą, drapieżną biografię. ©

recenzuje Piotr Gocięk



wyst. Rami Malek, Lucy Boynton, Gwilym Lee

★★★★★

REŻ. BRYAN SINGER
„BOHEMIAN RHAPSODY”
USA 2018, IMPERIAL

GRA TYGODNIA: „TROPICO 6”

Kto nie chciałby być dyktatorem republiki bananowej, umoszczonej wygodnie na jednej z tropikalnych wysp? Rządy silnej ręki, dyskretny urok propagandy i własny pałac. Niestety, jak udowadnia szósta część strategii ekonomicznej „Tropico”, los El Presidente nie jest usłany różami. Gdy

zamiast, jak dotychczas, jednej wyspy gracz otrzymuje do zarządzania cały archipelag, problemy zaczynają się mnożyć niczym sponsorowana przez Amerykanów opozycja. „Tropico” to udana kontynuacja nieco przewrotnej serii, w której poza zajęciem się modernizacją rajskiej despotii musimy



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

się zatroszczyć o jej klimat polityczny i kontrolę nad obywatelami. ©

Marcin Makowski

- **Gatunek:** Strategia
- **Platforma:** PC/PS4/XONE
- **Producent, dystrybutor:** Limbic Entertainment/Kalypso
- **Klasyfikacja PEGI:** 16+


KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Sposób na Niziurskiego

Edmund Niziurski zmarł w 2013 r. Wiadomość o jego śmierci z ogromnym smutkiem przyjęli liczni czytelnicy, którzy po jego książki sięgnęli jeszcze w szkole, tak jak i piszący te słowa – w latach 60. Inni trochę wcześniej, jeszcze inni później. Teraz dla nas Krzysztof Varga napisał „Księgę dla starych urwisów. Wszystko, czego jeszcze nie wiecie o Edmundzie Niziurskim”.

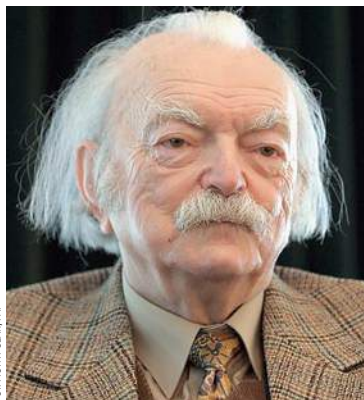
Pamięć o Niziurskim podtrzymują te z jego książek, które wciąż znajdują się w obiegu czytelniczym, a i filmy, którym należałoby poświęcić szczególną uwagę.

Otóż już w 1956 r. Wadim Berestowski zekranizował wydaną dwa lata wcześniej, socrealistyczną jeszcze, „Księgę urwisów” i był to pierwszy zrealizowany scenariusz autora tej powieści. W „Tajemnicy dzikiego szybu”, całkiem nie najgorszym filmie, zważywszy na czas, w jakim powstał, zagrali nastoletni bracia Damięccy oraz Zbigniew Cybulski jako... górnik. Popisywał się tam też Gustaw Holoubek.

Krzysztof Varga ma dużo serca dla następnej ważnej powieści Niziurskiego, też sfilmowanej, jako serial, czyli „Niewiarygodnych przygód Marka Piegusa” (1959). To akurat nie moja bajka, ale nie mam zamiaru kruszyć o nią kopii.

Reżyser Juliusz Machulski o Niziurskim mówi z czułością, o jego prozie z zachwytem, ale nie zekranizował żadnej z jego książek, choćby jednego z opowiadań z ulubionego (także przeze mnie) tomu „Nikodem, czyli tajemnica gabinetu”. Dlaczego? Odpowiedź jest nieco wymijająca: „... dla dzieci trzeba robić takie same filmy jak dla dorosłych, tylko lepiej. I dlatego trzeba je robić z potrzeby serca, duszy, bardzo serio, bez taryfy ulgowej. Wajda zrobić »Pannę Nikt« i niemal nikt nie przyszedł na ten film.

Dzisiaj ciężko kręcić Niziurskiego, bo młodzież nie rozumie, o co



FOT. PIOTR POLAK / PAP

w tych książkach chodzi. To był inny świat. Dzieciaki obecnie skupiają się na tym, żeby mieć zwolnienie z WF, a tam wciąż były zawody, bójki, bandy. Można zrobić współczesne ekranizacje Niziurskiego jako filmy historyczne, w tamtych realiach, kostiumach z epoki, ale to byłyby drogie produkcje”.

Varga dodaje od siebie, że pechem Niziurskiego było i to, że do jego książek nie brali się tacy fachowcy filmu młodzieżowego jak Stanisław Jędrzyka, który – cytuję – „przeniósł powieści »Do przerwy 0:1«, »Podróż za jeden uśmiech«, »Stawiam na Tolka Banana« na najwyższy poziom sztuki serialowej. Ci, którzy dziś przywołują nazwisko Bahdaja jako wielkiego pisarza młodzieżowego, w dużej mierze myślą o serialach Jędryki”. Jedni tak, drudzy nie. W tym miejscu uświadcznia się różnica wieku między mną a autorem „Księgi dla starych urwisów”, gdyż z moimi kolegami zaczytywaliśmy się przygodami Paragona, Mandżaro i Perełki oraz innych chłopaków z warszawskiego „Dzikiego Zachodu” tak świetnie oddanego, „złapanego” w filmie niemal w ostatniej chwili, przed ostatecznym wyburzeniem. A Bahdaj był świetnym pisarzem, podobnie jak Niziurski. Przy czym zaznaczyć warto, że autora „Awantury w Niekłaju” (1962) czytali głównie chłopcy, dla dziewcząt była Siesicka.

Musierowicz czytały koleżanki Vargi, za moich lat szczenięcych była jeszcze nieznana.

Askoro padł już tutaj tytuł „Awantury w Niekłaju”, to i on został przeniesiony na ekran, tyle że fatalnie. Ekranizacji doczekał się dopiero w roku 1983, by zaistnieć jako „Tajemnica starego ogrodu”. Żadnego humoru, o finezji nawet nie marząc, Gołas i Friedmann ani przez sekundę śmieszni, a serio też nie do przyjęcia, do tego jakieś piramidalne głupstwo o zmieniającym smak preparacie, który polskim naukowcom usiłują wykraść rywale z wrażliwego Zachodu.

Na pewno za to filmem chętnie oglądanym, ale i budzącym najróżniejsze, sprzeczne opinie była zrealizowana w 1998 r. przez Waldemara Szarka „Spona”, czyli zekranizowany po 34 latach „Sposób na Alcybiadesa”. Absolutny top polskiej literatury młodzieżowej. Tyle że scenariusz był już Wojciecha Tomczyka, no i – warto wspomnieć – muzyka Tadeusza Nalepy oraz Marcina Pospieszalskiego.

Krzysztof Varga od czasu do czasu – stanowczo zbyt rzadko – pisze rzeczy ciekawe, jak jego trylogia węgierska rozpoczęta „Gulaszem z turula”, a zakończona „Lango-szem w jurcie” czy właśnie takie jak „Księga dla starych urwisów”. Niestety, uprawia również publicystykę, ale to – przepraszam za wyrażenie – zupełnie inna broszka. Mnie usatysfakcjonowała lektura „Księgi...”, przy której miło spędziłem czas, rozwiązując ubarwiająca książkę arkusze egzaminacyjne z niziurskologii, zawierające np. pytanie, czy uczniowie Kurta i Pędzelkiewicz ukradli: a) wypchanego kota z promieniotwórczymi klejnotami w oczodołach; b) uszkodzony szkielet ludzki, aby straszyć nim pijaków; c) torbę z bronią ukrytą w starym browarze w Odrzywołach. Proszę uwierzyć, to było chyba pytanie najłatwiejsze. ©©



★★★★★
KRZYSZTOF
VARGA
„KSIĘGA DLA
STARYCH
URWISÓW”
CZERWONE
I CZARNE 2019



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Gordianus
emeritus

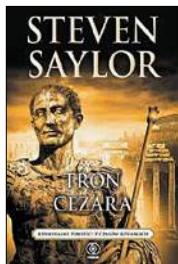
Znacie? To posłuchajcie. Na początku „Tronu Cezara” Steven Saylor puszcza oko do czytelników swych detektywistycznych powieści o starożytnym Rzymie. Niemal trzy dekady temu pierwszą książkę o Gordianusie Poszukiwaczu rozpoczął tak: „Niewolnik, który przybył po mnie tego niezwykle ciepłego wiosennego poranka, był człowiekiem młodym, nie mógł mieć wiele ponad dwadzieścia lat”. W najnowszej zaś: „Minęło wiele lat i Tiro znów do mnie przyszedł, tym razem jako wyzwoleniec. Ranek szczypał chłodem tym dotkliwszym, gdyż już dawno pożegnaliśmy się z młodością”.

Ostatnie zdanie to esencja stylu Saylora – eleganckiego, prostego, a zarazem trochę przypominającego Chandlera. Amerykański pisarz wybrał niełatwą konkurencję, wszak na rynku nie brakowało kryminałów historycznych z Rzymem w tle. Wcześniej swą serię o śledztwach Decjusza odpalił choćby John Maddox Roberts, o dochodzeniach zaś Marka Dydiusza Falko – Brytyjka Lindsey Davis. Cykl „Roma Sub Rosa” Saylora bije jednak moim zdaniem konkurencję na głowę z trzech powodów. Po pierwsze autor „Rzymskiej krwi” jest z nich najlepszym pisarzem, wyrasta ponad zwykłe historyczne fabuły tak samo, jak James Ellroy wyraża sta ponad zwykły amerykański kry-

minał. Po drugie jest wielkim znawcą rzymskiej historii, człowiekiem, który ma na tym punkcie bzika, nieustannie przedziera się przez źródła, podróżuje po miejscach, w które wysyła swych bohaterów, wie, gdzie zaawansowane dysputy z akademikami. Po trzecie wreszcie obdarzony jest niezwykłym talentem tworzenia „prawdziwego zmyślenia” – gdy czytamy jego opowieści, mamy wrażenie, że są to historie opowiadane z wnętrza antycznego świata, oddające sposób rozumowania prawdziwych mieszkańców dawnego Rzymu.

Jedenaście powieści, dwa zbiory opowiadań, seria trzech prequelów o młodym Gordianusie – tak wiele wydało się od 1991 r., kiedy to ukazał się pierwszy tom serii (polska premiera w 2001 r.). Bohaterowie są nieco zmęczeni i nie chodzi tylko o to, że Gordianus się postarzał. W „Tronie Cezara” za dużo jest próżnego gadulstwa, szczególnie w pierwszych partiach. To jednak wciąż mądra rozrywka na poziomie. Gordianus na zlecenie Cicerona i Cezara próbuje

wytropić spiskowców planujących zamach na boskiego Juliusza przed idami marcowymi. Saylor bacznie przygląda się też postaci, o której wspomina dotąd niezwykle rzadko, jak zwykle dodając do historycznych zagadek i takie, które sam wymyślił – i zgrabnie rozwiązał. © ©



★★★★★
STEVEN SAYLOR
„TRON CEZARA”
REBIS 2019

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Konserwatywny evergreen znów w sprzedaży: od „Manifestu komunistycznego” i „Mein Kampf” do Freuda i sfalszowanego, jak udowodniono po latach, „Raportu Kinseya”. Plus sporo gorzkich i celnych uwag na temat paru klasyków filozofii.



BENJAMIN WIKER
„DZIESIEĆ
KSIĄŻEK, KTÓRE
ZEPSUŁY ŚWIAT”
FRONDA

Podtytuł „Jak walczyłem z europejskimi elitami” dobrze oddaje zawartość opowieści greckiego ekonomisty, który jako minister finansów postawił się UE oraz MFW, a także głośno mówił o uzależnieniu strefy euro od Niemiec.



JANIS WARUFAKIS
„POROZMAWIAJMY
JAK DOROŚLI”
KRYTYKA
POLITYCZNA

Opowieść więźniarki z Auschwitz spisana przez Wiktora Krajewskiego, autora „Łączniczek”. Aresztowana przez gestapo w Łodzi dwa lata spędziła w nazistowskim niemieckim obozie zagłady. Potem przewieziona do Ravensbrück.



ALINA
DĄBROWSKA
„WIEM, JAK
WYGLĄDA
PIEKŁO”
PRÓSZYŃSKI
I S-KA

Druga odsłona bestsellerowego w Rosji cyklu „Droga Szamana”, opowieści z wirtualnego świata rozrywki zwałego się Barliona. Spodoba się nie tylko miłośnikom „Ready Player One”, bo rzecz lekka i naszpikowana przysłówkami. © © **poleca Piotr Gociek**



WASILIJ
MACHANIENKO
„GAMBIT
KARTOSA”
INSIGNIS

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

- Alex Michaelides „Pacjentka” (W.A.B.)** – zastrzeliła męża, zamkniętą ją w szpitalu, nie mówi ani słowa. Zagadkę spróbuje rozwiązać nowy terapeuta.
- Remigiusz Mróz „Umorzenie” (Czwarta Strona)** – dziewiąty tom kryminalnej serii o prokurator Joannie Chyłce (ostatnio znanej też z serialu TVN).
- Dimitris Chassapakis „Dziennik 29” (FoxGames)** – interaktywna gra książkowa SF, wskrzeszenie dawnych paragrafówek, ale z graficznym dodatkiem.
- Michelle Obama „Becoming. Moja historia” (Agora)** – autobiografia byłej pierwszej damy, żony prezydenta USA Baracka Obamy.
- Beata Dąbrowska „Dieta warzywno-owocowa dr Ewy Dąbrowskiej® i co dalej” (WAM)** – wiosna, więc nie dziwi powrót tej pozycji na listy bestsellerów.

(Najchętniej kupowane książki w salonach Empik od 18 do 31 marca 2019 r.)



FOT. BASIA WOJCIK

Sądzi z dolarem w kieszeni

Długa była muzyczna droga grupy ze Śląska. Zaczęło się od fascynacji... piosenką żeglarską, ale nie był to najbardziej egzotyczny romans muzyków z głębi lądu, bo Sądzi przeszli również fascynację folkiem celtyckim oraz amerykańskim. Do tego dorzucmy folk, w tym śląski, oraz muzykę dawną. Długa droga do wyrobienia własnej folkowo-szantowej tożsamości. Długo też przychodzi cze-

kać na kolejne płyty zespołu. Pełnoletnia już grupa Sądzi ma ich w dorobku cztery, z czego jedna to epka („Sądzi – Folk & szanty. 2001–2011”) wydana na 10-lecie zespołu, niebędąca w regularnej sprzedaży, ale dołączana do magazynów „Żagle” oraz „Podróże”. Tak więc jeśli nie liczyć tego okolicznościowego wydawnictwa, Sądzi mają na koncie zaledwie trzy płyty. Ostatnia – „W kieszeni

dolar” – ukazała się niedawno, po 10-letniej przerwie od poprzedniej – „Broceliande”. To jednak nic, bo Sądzi to zespół koncertowy i festiwalowy. Tak to zresztą z grupami szantowymi najczęściej jest, to muzyka do posłuchania w towarzystwie, w odpowiednich okolicznościach, a nie w korkach samochodowego odtwarzacza z CD.

No i kiedy tu wejść do studia, skoro prowadzi się

tułacz życie od koncertu do koncertu, od festiwalu do festiwalu, w tym: Kopyść (Białystok), Kubryk (Łódź), Szanty we Wrocławiu, Szanty pod Żurawiem (Gdańsk), Shanties (Kraków), Vegesack Maritime (Niemcy), Bie Daip (Holandia), Langesund (Norwegia), Sea Music Festival (USA). Zresztą sama nazwa zespołu też powstała nieco z potrzeby chwili, bo tydzień po pierwszym wspólnym oficjalnym koncercie zespół już brał udział w festiwalu. Potrzebował nazwy na szybko, od pubu z czasów studenckich U Sąsiada powstał Sądzi. Równie długa co lista odhańczonych najważniejszych festiwali jest ewidencja nagród Sąsiadów. Jednak prawdziwą siłą siedmioosobowego zespołu ze Śląska jest to coś, co sprawia, że potrafią wpaść w ucho także tym, którym muzyka szantowa wydaje się najnudniejszą rzeczą na świecie. ©© **Radosław Wojtas**



GRZEGORZ BRZozowicz

NA SŁUCH

Czekając na powrót gitary

Dawno minęły czasy, gdy bogowie gitary elektryzowali muzyczny świat. A tu nagle zachodnia prasa uznała płytę filadelfijskiego mistrza za odkrycie.

I obecnie nie brakuje wirtuozów 12 strun, ale większość z nich tworzy dźwięki przeszłości. Wprawdzie Forsyth nie odkrywa nowych lądów, ale udowadnia, że gitarowe jamowanie może mieć transcendentny sens.

W jego kompozycjach trwających ok. 10 min zderzają się odległe muzyczne światy. Z jednej strony odnajdziemy improwizacje Grateful Dead czy

folkowca Richarda Thompsona, z drugiej gitarowe pojedynki nowofalowego Television i noisowego Sonic Youth. Co więcej, w zamykającej album 20-minutowej „Techno Top” gitarzysta tworzy własny gitarowy kanon.

Na podstawie niepokojącej, minimalistycznej pulsacji buduje, jak to sam określa, „nihilistyczne disco” będące zmutowaną, gitarową wersją hardtechno. To należy usłyszeć, bo opisać się nie da.

Ten podwójny album polecam poszukającym muzycznych inspiracji, a zarazem ceniącym klasyczne rockowe granie. ©©

★★★★★
FAT WHITE FAMILY
„SERFS UP!”
DOMINO

Londyńska formacja przewodzona przez wokalistę Liasa Saoudiego tworzy zmutowaną miksturę złożoną z: dyskotekowych smyczków, syntetycznych brzmień, glamowej estetyki, reggae'owej pulsacji i kabaretowych dialogów. Zaskakująco ciekawe.

★★★★★
WEYES BLOOD
„TITANIC RISING”
SUB POP

Natalie Mering kontynuuje wspaniałą tradycję amerykańskich songwriterek z Kalifornii. Pięknie zaaranżowane piosenki mienią się przeróżnymi klimatami i oczarowują melodiami. Duch lat 70. przeniesiony z powodzeniem w dzisiejsze czasy. ©©

★★★★★
CHRIS FORSYTH
„ALL TIME PRESENT”
NO QUARTER

 **Kraków**

JACEK MAJCHROWSKI
PREZYDENT MIASTA KRAKOWA
ZAPRASZA

kbf★ RMF Classic

**12.
FESTIWAL
MUZYKI
FILMOWEJ
W KRAKOWIE
14-21.05.2019**

FMF Gala: The Glamorous Show
Disney in Concert: The Magic of Music
Dracula Live in Concert
Birdman Live in Concert

KUP BILET

biurofestiwalowe.pl
InfoKraków
salony Empik
salony MediaMarkt
eventim.pl

www.fmf.fm

KRAKOWSKIE BIURO FESTIWALOWE - INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

Organizatorzy:

kbf★ RMF Classic

Partner dla Krakowa:

 **BUKOVINA
RESORT**

Sponsor główny:


TAURON

eprasa.pl/8tc4965922



Z o. Santiago Canterą, przeorem opactwa benedyktynów w Dolinie Poległych (Valle de los Caídos) w Hiszpanii
rozmawia Małgorzata Wołczyk

To była wojna między braćmi



Nad Doliną Poległych i całą okolicą góruje ogromny, mierzący 153 metry krzyż. FOT. ARCHIWUM AUTORKI



MAŁGORZATA WOŁCZYK: Ojciec Santiago, muszę ostrzec, że polski czytelnik z racji oddalenia i przede wszystkim podręczników historii, zwłaszcza tych sprzed kilkudziesięciu lat, czuje się nieco zagubiony i wciąż szuka odpowiedzi na pytanie: Kim był gen. Francisco Franco? Dlatego proszę, aby ojciec podzielił się z nami swoją oceną tej postaci, tym, co ona reprezentuje, pamiętając, że rozmawiam nie tylko z mnichem benedyktyńskim, lecz także z profesorem historii i autorem 17 książek.

O. SANTIAGO CANTERA: To niełatwe zadanie, bo gen. Franco reprezentuje tak naprawdę 40 lat współczesnej historii Hiszpanii, w czasie których biedny, zacofany kraj po bratobójczej wojnie staje się ósmą potęgą gospodarczą świata. Franco to symbol walki z komunizmem i wielkiej transformacji ustrojowej. W obecnym klimacie politycznym eksponuje się niemal wyłącznie początkowy okres frankizmu, akcentując aresztowania wrogów, represje, ale zupełnie ignorując zmianę kulturalną, społeczną, demograficzną, z której wy dobył się kraj po traumatycznej wojnie. Niestety, lewicowa propaganda utrwała mit o „postępowych” demokratkach walczących z faszyzmem sprzymierzonym z klerykalizmem. Wyolbrzymia też ciemne strony czasu wojny. 40 lat rządów Franco ma pozytywny bilans, przede wszystkim przez przezwyciężenie nierówności społecznych, konfliktów, cud gospodarczy lat 1959–1973, stworzenie klasy średniej. To temat na kilkadziesiąt książek, więc trudno zamknąć i postać gen. Franco, i to, co symbolizuje, w paru zdaniach, niestety.

A możemy przez chwilę zabawić się w „co by było, gdyby...”? Co by było, gdyby gen. Franco przegrał wojnę, a zwyciężył Front Ludowy?

Cóż, myślę, że znaleźlibyśmy się w sytuacji zbliżonej do Polski i krajów byłego Związku Sowieckiego. Żylibyśmy w systemie totalitarnym ze wszystkimi jego aspektami. Byłby to też cios dla Europy przez rozszerzenie zasięgu tej zbrodniczej ideologii.

Dużo podróżuję po Hiszpanii i znam aż nadto dobrze inskrypcje na zabytkach: „Pożar w 1936 r. spalił zabytek/kościół/katedrę, uszkodził dzieła sztuki...”. I nawet dziś milczy się na temat tego, kto prowokował te ogromne straty dla dziedzictwa kulturowego Hiszpanii. Nigdy nikt nie poniósł odpowiedzialności karnej za te nieoszacowane straty, a wiadomo, że niemal każde miasteczko zaliczyło barbarzyńskie ataki bojówek anarchistycznych. Przede wszystkim jednak nie mówi się o męczennikach, tysiącach straconych ludzi tylko dlatego, że byli katolikami lub figurowali

w księgach parafialnych. Kto więc w rzeczywistości wygrał tę wojnę?

Z całą pewnością przeżywamy nie od dziś rodzaj zemsty ze strony radykalnej lewicy. Przegrała wojnę, więc chce ją wygrać, choćby 80 lat później. Jednak nie da się odwrócić kart historii. Zwycięstwo należało do narodowców i to od nich wyszedł duch pojednania narodu. Niestety, lewica nie chce żadnego pojednania, chce rozdrapywać rany, skonfliktować społeczeństwo i przedstawiać się jako ofiary „frankizmu”, także moralni zwycięzcy nad nim. Dlatego ostatnie dziesięciolecia to uciskanie i prześladowanie wszystkich, którzy utożsamiali się z ruchem narodowym. Dzisiaj to, co się szumnie nazywa „memoria historica” (pamięć historyczna), to prawdziwe zapomnienie historii – zniekształcenie. Gorzej, że zabrano się nawet do korygowania średniowiecza, aby wszystko zgadzało się z pamięcią obozu postępu...

Dolina Poległych to miejsce kultu, spoczynku ofiar i przede wszystkim pomnik pojednania narodu pod znakiem ogromnego krzyża, gdzie co dzień odprawia się msze za zmarłych po obu stronach konfliktu. I to jest coś wyjątkowego na skalę światową. Taka była wola gen. Franco, aby zaleczyć ranę narodową. Miał wizję i odwagę. Czy ktoś sprzeciwiał się pomysłowi, aby mieszać kości poległych?

Wydaje się, że wtedy ten pomysł był powszechnie akceptowany. Od końca wojny była widoczna w społeczeństwie chęć pojednania. Przynajmniej w rodzinach katolickich chciano zapomnieć, chciano wybaczyć, nie chciano stawiać przed sąd zbrodniarzy. Były też rodziny republikańskie, które starały się otworzyć nowy etap, a małżeństwa mieszane znacznie w tym procesie pomagały. W szeregach Falangi organizowano letnie obozy młodzieżowe, aby łączyć dzieci także z rodzin komunistów i starać się godzić, pojednać. Od marca 1951 r. do wykonywanej tu bazyliki zaczynają napływać szczątki poległych z obu stron konfliktu.

A może pójdzmy innym tokiem myślenia. Co by było, gdyby zamiast budować ten pomnik pojednania, gen. Franco postawiłby przed trybunałem sprawców zbrodni, prześladowań katolików. Taka hiszpańska Norymberga może uchroniłaby karty historii od wszystkich tych przekłamań, z którymi od lat zmaga się Hiszpania?

To prawda, nie pokuszono się o przeprowadzenie pokazowych procesów przywódców Frontu Ludowego i komunistycznych katów, ale była seria procesów



■ zwana „la causa general”. Niestety, dziś powraca się do tego czasu, aby unieważnić, zdyskredytować te wyroki. Na szczęście wszystko jest udokumentowane i zebrane w archiwach. Powstała też wielka księga pt. „Czerwona dominacja w Hiszpanii”, która zebrała pamięć tych zbrodni, fotografie profanacji, masakr, gwałtów, mordów. Wszystko to chce się jednak przemilczeć, schować, unieważnić. Tak zwane procesy depuryfikacyjne były charakterystyczne dla obu stron. Rząd republikański robił wielkie czystki na stanowiskach od początku swoich rządów, podobnie było po wojnie, usuwano ze stanowisk ludzi zaangażowanych w komunistyczną i republikańską działalność. Wiadomo, że ci, którzy czynnie uczestniczyli w zbrodniach, stanęli przed trybunałem. Owszem, skazano wyrokami mnóstwo ludzi, ale ponad połowie z nich karę śmierci zamieniono na dożywocie, później na wyrok 30 lat. Praca nad budową tej bazyliki redukowałą wyrok o następne lata i w końcu większość ze skazanych zostawała z wyrokiem pięciu lat, które spędzali w domu...

To dobry moment, aby zrobić sprostowania i zaprzeczyć się z kłamstwami rozpowszechnianymi przez lewicę i wrogów religii katolickiej. Przede wszystkim to nie jest mauzoleum ku czci gen. Franco...

Tak jak pani widziała, gen. Franco ma grób niezwykle skromny, z tyłu prezbiterium, w miejscu mniej eksponowanym, bo pochówek nie był przewidziany, choć powinien. W końcu to gen. Franco był pomysłodawcą tego pomnika pojednania. Nie ma żadnych napisów typu „generallissimus”, żadnej formuły pochwalnej. Prosty skromny grób z wykutymi literami: „Francisco Franco”. Nic więcej. To nie jest mauzoleum.

Uporządkujmy więc fakty. Przede wszystkim:

1. Dolina Poległych to nie jest mauzoleum, które przewidział dla siebie gen. Franco jako miejsce swojego spoczynku, to król Juan Carlos rozkazał umieścić tam jego zmumifikowane szczątki. 2. Miejsce to nie zostało wybudowane niewolniczą pracą, a więźniowie przy niej pracujący otrzymywali zapłatę, zmniejszali wymiar kary i mieli zagwarantowane dni wolne, urlopy zdrowotne. 3. Oczywiście zespół pomnikowy wykonano nie za sprawą jakoby 20 tys. skazanych, ale 2 tys. skazanych! Jest więcej zafałszowań, niż wymieniałam?

Tak, ale to są te najbardziej rozpowszechnione. Kłamstwa mnożą się też na temat źródeł finansowania. Franco od początku nie brał pod uwagę obciążania budżetu państwa po stratach wojennych,



Francisco Franco zmarł 20 listopada 1975 r. Spoczął w Dolinie Poległych, w prostym, skromnym grobie z tyłu prezbiterium

FOT. HULTON DEUTSCH/GETTY IMAGES

stał na budowę przeznaczył resztę pieniędzy z funduszu sił narodowych i za to kupiono cały ten obszar. Poza tym ustanowiono nadzwyczajną loterię organizowaną co roku 5 maja, żeby móc skończyć budowę, no i oczywiście nie brakowało dużych datków ze strony prywatnych osób. Inne wierutne kłamstwa lewicy to owe „setki zmarłych” przy budowie, podczas gdy oficjalne liczby wahają się od 14 do 26 ofiar wypadków tych śmiertelnych przy pracy. I tak jak to niestety było we wszystkich kopalniach tego okresu, wiele osób dotkniętych było pylicą, która w dłuższym okresie spowodowała zgon 70 osób.

Wiadomo też, że więźniowie wręcz zabiegali o udział w pracach przy budowie, bo skracały one zasądzony wyrok i przynosiły małą wypłatę. Na początku jeden dzień pracy anulował dwa dni z wyroku, później aż pięć dni (!), co sprawiło, że większość tych zasądzonych 30 lat więzienia kończyła się ledwie pięcioletnim wyrokiem. Nie tylko praca skracała czas więzienia, lecz także oddawanie krwi, laktacja (w przypadku kobiet), studia...

Uf, całkiem sporo tych aktów miłosierdzia jak na „faszystę” gen. Franco...

Tak, trzeba przyznać, że czasem ten duch pojednania i wybaczenia wręcz się rozkołysał. W niektórych środowiskach katolickich modne było przekonanie, że „czerwonych” da się nawrócić, że wszystkie te zbrodnie popełniono przez ignorancję, z której można człowieka podnieść. Znane są przypadki wręcz komiczne,

takie jak ten, gdy mordercę pięciu księży uczyniono portierem wspólnoty benedyktynow.

Wciąż jednak trwa kampania kłamstw ze strony mediów i ośrodków władzy. Skrywanie prawdy jest zresztą w ich interesie. I dlatego chciałabym zapytać: Czy sprawowanie opieki nad bazyliką i grobem gen. Franco jest dla ojców wciąż honorem, odpowiedzialnością czy wobec zajęć ostatniego roku raczej „via crucis”?

Tak naprawdę wszystko to kłębi się razem. Jest zaszczytem troszczyć się o tak cenną schedę historii, szczątki męczenników i ludzi, którzy dla swoich ideałów poświęcili życie, bo ludowcy też walczyli o swoje ideały, choć błędnie odczytywali dobro ojczyzny. W bazylice spoczywają szczątki 54 męczenników za wiarę, inni czekają na proces beatyfikacyjny. Jestem strażnikiem tego wielkiego grobowca zbudowanego przecież pod znakiem gigantycznego krzyża, na którym Chrystus umierał, wybacząc oprawcom. Tylko pod tym znakiem możliwe jest wybaczenie i pojednanie. Jednak krzyż jest też znakiem sprzeciwu, toteż jest zwalczany ze wszystkich stron – i przez rząd, i przez lewicowe media, masonerię, a mnie przyszło stać na jego straży... To niełatwe zadanie, ale pozwala mi to złączyć się z tajemnicą cierpienia Chrystusa ukrzyżowanego.

A jak odpowiedziałby ojciec moim rodzimym sceptykom, że autorytarny wódz Franco nie powinien spoczywać w tym samym miejscu co tysiące jego ofiar?

Przegrani, czyli lewica, odmalowali Franco jako kata i faszystę, stąd te nieporozumienia. Przede wszystkim jednak nie rozumieją, że między tu pochowanymi nie ma już relacji kat – ofiara: to była wojna między braćmi, jedni dla drugich byli katami. Owszem, także wojna ideologiczna, ale przede wszystkim między synami tej samej ojczyzny. Przemoc była po obu stronach, choć nie tylko ja uważam, że po stronie republikańskiej anarchiści, komuniści byli bezprzykładnymi oprawcami. Dla jednych Franco to kat, dla drugich wybawiciel od oprawców spod flagi sierpa i młota. Dlatego należy docenić wysiłki generała, aby pogodzić naród właśnie w tym miejscu i pod znakiem krzyża – jedynego autentycznego znaku przebaczenia. Stąd planowana ekshumacja Franco to absurd, zmarli już nie są groźni.

Czy bazylika była obiektem ataków terrorystycznych?

Tak, oczywiście. Były dwa ataki we wnętrzu bazyliki i jeden mniejszy w ogrodzie. Pierwszy przeprowadzono w epoce Franco w latach 60., drugi w 1999 r. przez marksistów z grupy GRAPO, z pożarem, który zniszczył wnętrze, i trzecia bomba podłożona w 2005 r. przez separatystów z ETA. Na szczęście nikt nie zginął, a dziś przestrzega się wysokich norm bezpieczeństwa.

Czy obserwując wizytujących to miejsce, może ojciec powiedzieć, że rzeczywiście Dolina Poległych wypełnia swoją misję pojednania pokornego narodu, jak chciał tego Franco? Czy ludzie wychodzą stąd odrobinę odmienieni?

Dla mnie sukcesem jest już to, że ci, którzy tu przyjeżdżają, po raz pierwszy wychodzą już bez uprzedzeń, którymi nasiąkali przez lata i z którymi przekraczali próg świątyni. To świadectwo wielu rozmów i autentycznej przemiany. Kiedy wysłuchują mszy świętej, oglądają majestat tego górskiego pejzażu i czują panujący tu spokój, nad którym czuwa wspólnota benedyktynów, można powiedzieć, że wychodzą odmienieni. Mam wrażenie, że niezależnie od poglądów ponad połowa Hiszpanów jest przeciwko ekshumacji, bo narusza dobry obyczaj – nie wolno burzyć spokoju zmarłych, to taka wrażliwość hiszpańska. Chociaż pamiętajmy jednocześnie, że to anarchistyczne i komunistyczne bojówki zasłynęły w czasie wojny domowej profanacjami ciał zmarłych. Wyciągano z grobów doczesne szczątki mniszek, księży, biskupów i tworzone

jakieś barbarzyńskie spektakle. Trudno o tym mówić, nawet po latach...

Pomimo licznych wysiłków i uporu rząd byłego już premiera Sancheza nie jest w stanie spełnić swego odwiecznego marzenia i ekshumować Franco z Doliny Poległych. Jakie są główne powody jego porażki?

Porażka jest wynikiem wielkiej improwizacji. Pomimo tylu dekad i przymiarek do tego projektu lewica nie jest w stanie zrozumieć, że zarówno fundamentalne prawo rodziny do poszanowania szczątków zmarłego, jak i międzynarodowa umowa – konkordat z Watykanem – nie pozwalają na manipulacje przy grobie i naruszanie nietykalności przestrzeni sakralnej kościoła. Już w czasach premiera Zapatero powstała komisja ekspertów, z których notabene wielu nigdy nie odwiedziło nawet tego miejsca, ale już wtedy trzech z nich sprzeciwiło się ekshumacji z powodu problemów prawnych i fatalnego oddźwięku społecznego. Rząd Sancheza wciąż jeszcze na przekór wszystkiemu brnie dalej w ślepą uliczkę i dąży do ekshumacji. Być może ostatecznie to Sąd Najwyższy zdecyduje o losach szczątków Franco, w każdym razie prawo i regulacje są po naszej stronie.

Wiemy także o usiłowaniach rządu Sancheza, aby w sprawie wnieść się Watykan...

Rzym, wbrew ich oczekiwaniom, powtarza to, co stanowi prawo kanoniczne. Ekshumacja to sprawa rodziny, kościoła lokalnego, rządu. Kardynał Parolin wysłał pismo na ręce pani wicepremier Calvo, które zostało zmanipulowane i ogłoszone w prasie niczym manifest poparcia. Wystarczyło jednak poznać całość treści, żeby poznać rozmiar zafałszowania. Atakuje się mnie prywatnie, filtruje biografię, szuka słabych punktów – to efekt bezradności i determinacji rządu, który właśnie ustępuje (przypomnijmy, rząd upadł, a 28 kwietnia odbędą się wybory powszechne w Hiszpanii). Nie mam też żadnych wątpliwości, że chodzi tu nie tyle o grób Franco, ile o zamach na gigantyczny krzyż, wysoki na 153 metry i widoczny z odległych miejsc (największy na świecie). Nienawiść do frankizmu to jedno, ale panująca wśród lewicy chrystofobia i nienawiść do krzyża to druga i kto wie, czy nie najważniejsza dla nich, kwestia.

Wiemy, jakie były plany partii PSOE i premiera Sancheza, aby przekształcić to nieznosne miejsce „pamięci frankistowskiej i narodowego katolicyzmu”

w przestrzeni bliżej nieokreślonej kultury pojednania i „pamięci demokratycznej”. Co tak naprawdę może kryć się za tym oświadczeniem, i to w ustach spadkobierców tych, którzy tę wojnę de facto rozpoczęli?

No tak, wy, Polacy, chyba sporo wiecie o „demokracji ludowej”, o której zawsze tyle bajają komuniści. Jeśli rządzą oni – to jest demokracja, jeśli kto inny – to demokracji brak. Przykre, że w całym tym zamieszaniu to wspólnota benedyktynów i Fundacja gen. Franco odwołują się do zapisów litery prawa w państwie jak najbardziej demokratycznym, podczas gdy rząd usiłował omijać te zapisy i regulacje, które stały im na drodze do celu. I żeby było śmieszniej i straszniej, naszą postawę nazywa się „obstrukcyjną”. Państwo prawa ogranicza na szczęście te zapędy i dlatego na razie socjaliści nie zrealizowali swych planów zemsty. Z naszej strony oparcie się na wyrokach sądu jest jak najbardziej uznaniem rządów prawa w demokratycznym państwie. Ja rozumiem też, że spora część społeczeństwa pozostaje poza Kościołem czy w opozycji do niego, ale znając historię Hiszpanii, nawet ci, którzy bronią postawy laickiej, muszą umieć dostrzec, że historia ich kraju od początku silnie związana jest z katolicyzmem. Tutaj się nic siłowo nie narzuca, to wspólne chrześcijańskie korzenie Europy, Polski, Hiszpanii.

Serdecznie dziękuję ojcu za rozmowę i w imieniu wielu rodaków zapraszam do ponownego odwiedzenia naszego kraju.

Z najwyższą chęcią, naprawdę. Czasem gdy rozmawiamy z braćmi, zadajemy sobie pytanie, skąd w Polsce ta siła i przywiązanie do korzeni chrześcijańskich, że laicyzuje się mimo wszystko najwolniej w Europie. Ktoś wygłosił roboczą tezę, że nawet tak inteligentny diabeł nie radzi sobie z opanowaniem polszczyzny i stąd nie bardzo wie, jak kusić i co podszeptować...

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



o. Santiago Cantera – urodzony w Madrycie w 1972 r., przeor opactwa benedyktynów w Dolinie Poległych (Valle de los Caídos), opiekun mauzoleum ofiar hiszpańskiej wojny domowej, w którym znajdują się grób gen. Francisco Franco i szczątki prawie 34 tys. ofiar wojny z obu stron konfliktu, tj. obozu narodowego (prawica) i ludowego (połączone siły lewicy, komunistów i anarchistów).



FOT. ALEKSI WITKOWSKI/FOTUM

Im bliżej wyborczego „trójsko”, który zadecyduje, kto będzie rządzić Polską przez kilka kolejnych lat, a może i dłużej, tym skromniejsze wydają się ambicje opozycji. Zebranie na jednej liście prawie wszystkich partii i partyjek występujących przeciwko PiS nie dało wcale opozycji oczekiwanej wizerunkowej korzyści – poza jedną, mało wiarygodną pracownią, prowadzoną przez byłego piarowca PO, wszystkie inne twierdzą, że partie, które występując osobno, zebrały w ostatnich wyborach ponad połowę głosów, razem liczyć mogą na trzydzieści kilka procent – wciąż o parę punktów mniej od PiS. A tylko bardzo spektakularny sukces tej formuły mógłby zadecydować o utrzymaniu jej do wyborów parlamentarnych.

Budowanie drugiej PO-Iski



Rafał A. Ziemkiewicz

Obecna strategia polityczna opozycji jest szkodliwa dla państwa polskiego, a dla niej samej – ryzykowna

Samodzielnie zaś PO traci do PiS w sondażach już do 15 proc. Nawet jeśli założyc, że lęk przed „zmarnowaniem” antypisowskiego głosu w ostatniej chwili przyciągnie do niej część wyborców PSL, SLD i Wiosny, nie daje to wielkich nadziei na przejście władzy (tym bardziej że poprawa notowań PO nastąpić może tylko kosztem zepchnięcia pod próg wyborczy potencjalnych koalicjantów). Butna retoryka Grzegorza Schetyny – „w powietrzu czuć zapach naszego sondażach, może to dać w tej sytuacji raczej rozpaczliwie.

Przejawem spuszczenia z tonu jest idea „ruchu 4 czerwca”, który pod osobistym patronatem Donalda Tuska znaleźć ma kandydatów z pobraży czy nawet spoza mocno już zgranego panteonu „opozycji totalnej”, głównie popularnych na swoim terenie samorządowców, i wystawić ich do Senatu – na zasadzie „tylko jeden kandydat anty-PiS w okręgu”. Teoretycznie, przy obecnych sondażach, może to dać opozycji kontrolę – acz niewielką większość – nad izbą wyższą parlamentu. Ale gdyby nawet udało się taki plan zrealizować, co samo w sobie jest wyzwaniem, bo choćby przykład Wiosny Biedronia pokazuje, że jakaś część lewicy i tak własnych kandydatów wystawi – to Senat nie ma przecież większych możliwości realnego wpływu na rządzenie. Byłby w stanie jedynie blokować inicjatywy parlamentarnej większości.

I to, jak się wydaje, jest realistycznym planem opozycji na następną kadencję. Nie zdołamy odzyskać władzy, ale mając Senat, będziemy mogli im nadal urządzać polityczne piekło, wszystko, co tylko można, wetować, wszystko blokować i paraliżować „państwo PiS”, aż obrzydnie ono wyborcom do cna, a polityczne koniunktury wreszcie zmienią się na naszą korzyść.

CZAS WZMOŻEŃ

To znaczne obniżenie oczekiwań w porównaniu z pierwszymi latami obecnej kadencji, przeżytymi przez opozycję w podtrzymywanym wszystkimi siłami przekonaniu, że rządy PiS miną równie szybko jak poprzednio. W pierwszej chwili wydawało się opozycji, że wystarczy tylko doprowadzić jak najszybciej do kolejnych wyborów. Kolejne orkiestrowane przez opozycję kampanie świętego oburzenia i delegitymizowania wyniku wyborów argumentami „utraty moralnego prawa do sprawowania władzy” (przypomnijmy wściekłe kampanie wokół rze-

komych „kilometrówek” Andrzeja Dudy czy ułaskawienia Mariusza Kamińskiego i jego współpracowników) towarzyszyły pomysłowi Romana Giertycha, by Sąd Najwyższy uznał wybory za nieważne i nakazał ich powtórzenie, pod tym pretekstem, iż Zjednoczona Prawica, która wystąpiła w nich jako partyjny komitet wyborczy, w istocie powinna była zarejestrować się jako koalicja trzech partii – PiS, Solidarnej Polski i Polski Razem.

Pomysł, jako bardzo naciągany, zarzucano po tym, gdy PiS postanowił odpowiedzieć PO-PSL pięknym za nadobne w sprawie Trybunału Konstytucyjnego, mianując pięciu nowych sędziów tego gremium. Wbrew wielokrotnie powtórzonej propagandzie opozycji nie doszło tu do żadnego złamania konstytucji, a jedynie do wykorzystania kruczków prawnych i luk w przepisach – niemniej opozycja dostrzegła w tym „zamachu na demokrację” swój odpowiednik „zbrodni smoleńskiej” i uwierzyła, że zdoła „w obronie wolności”

Zamiarem opozycji było doprowadzić do wypowiedania posłuszeństwa państwu przez kolejne grupy zawodowe, szczególnie te newralgiczne dla jego funkcjonowania

zmobilizować wielkie masy niezadowolonych, owe wtedy zapowiedziane po raz pierwszy „miliony”, które miały „na wiosnę” sprawić, żeby „pisowcy wyskakowali z okien”. Skrzydeł dodała jej poparcie z zagranicy. Wydawało się liderom opozycji, a bardziej jeszcze wspierającym ją „autorytetom” (wówczas jeszcze głównej siły opozycji upatrującym nie w PO, ale w Nowoczesnej Petru), że skoro miążdząca większość Polaków popiera Unię Europejską, to jednoznacznie wyrażona przez organa unijne dezaprobatą dla PiS musi doprowadzić do buntu w ciągu kilku miesięcy.

Nadzieje z tego „czasu marzeń” skodyfikował w połowie roku 2017 Bartosz Kramek, działacz fundacji Otwarty Dialog, prezentując publicznie szesnastopunktowy plan „wyłączenia państwa”. W istocie nie wymyślił nic, czego by opozycja nie próbowała realizować już wcześniej.

Podstawą było oczywiście przekonanie, że miliony Polaków podzielają nienawiść do PiS, jaką żyją odsunięte od znaczenia elity III RP, i należy jedynie dać hasło. Warto dziś zerknąć do owych szesnastu punktów, wciąż łatwych do znalezienia w Internecie, nie tylko dlatego, że w punkcie trzecim umieścił Kramek bezterminowy strajk nauczycieli i sparaliżowanie edukacji.

Zamiarem opozycji było doprowadzić do licznych rokoszów „branżowych” – wypowiedania posłuszeństwa państwu przez kolejne grupy zawodowe, szczególnie te newralgiczne dla jego funkcjonowania: sędziów, i w ogóle prawników, naukowców, urzędników, samorządowców, liderów biznesu etc. Miało to być skoordynowane z „masowym wywieraniem osobistych nacisków” na przedstawicieli władzy i ludzi opowiadających się po stronie rządzących, a także ich dzieci i bliskich – uwięzionych ostatecznie wielkim marszem na Warszawę i „oblężeniem” parlamentu oraz budynków publicznych.

Mało kto już dziś pamięta rozmaite groteskowe pomysły, które miały pokazać władzy, że jest przez nikogo niechcianym reżimem – na przykład „akcję wolne balkony”, która miała sprawić, żeby na wszystkich prywatnych balkonach wisiały widoczne z daleka antypisowskie hasła. Jeden taki balkon można, jako historyczną ciekawostkę i swoistą atrakcję, oglądać do dziś w Warszawie przy rogu al. Niepodległości i Wawelskiej. Nawoływano też, by przeciwnicy PiS nosili oporniki, wieszaki, białe róże, złamane długopisy etc.

Z większych zamierzeń udało się zrealizować równie niewiele – próbą urzeczywistnienia idei „buntów korporacyjnych” był kongres sędziów i przygotowywane analogiczne zgromadzenia innych branż, skutkiem wezwań, by „ani Kaczyński, ani inny PiS-owiec nie mógł się spokojnie poruszać po Polsce”, regularne blokowanie mu przez radykałów dostępu do grobu brata na Wawelu. Wykres nastrojów opozycji, gdyby ktoś pokusił się o jego sporządzenie, układał się w maniacko-depresyjne skoki – z „pikami” w momentach pierwszych sporów o Trybunał Konstytucyjny, „czarnych protestów” czy reformy sądów. Nadzieja na wykorzystanie „wstrząsu i przebudzenia” samobójczej śmierci Piotra Szczęsnego czy mordu szaleńca na Pawle Adamowiczu powodowały krótkotrwałą euforię („użyli gazu – to ich moralny koniec!”, ogłaszał z przejęciem



■ w czasie przedświątecznego „ciamajdanu” jeden z sympatyzykujących z PO dziennikarzy – w tym samym czasie, gdy działacz lewicy Wojciech Diduszek zyskiwał sobie niegasnącą popularność, udając na użytek zachodnich mediów zabita, względnie ciężko ranną ofiarę brutalności policji). Po takich „wzmocnieniach” przychodziła jednak za każdym razem konieczność przyjęcia do wiadomości, że – by zacytować rozczarowanego Waleś pod Sądem Najwyższym – „kochani, ale sto tysięcy to nas tu nie ma”.

W OBLĘŻENIU

To, że opozycja musiała się ostatecznie pogodzić z koniecznością doczekania do wyborów, a dziś zdaje się oswajać z myślą, że ich nie wygra, nie wpływa jednak na zarzucenie koncepcji „opozycji totalnej”. Miraże tłumów oblegających gmachy rządowe i „wyłączających państwo PiS” punkt po punkcie według „majdanowej” instrukcji nie rozwiązy się bez śladu. Choć działania opozycji nie przyniosły sukcesu, to pozwoliły jej oznaczyć „swoją część” Polski.

Skoro stan posiadania nie okazał się wystarczający, przynajmniej na razie, by zdominować państwo jako takie – opozycja przyjęła, chyba w sposób instynktowny, bez głębszych przemyśleń – nowy kurs. Postanowiła otoczyć tę „swoją” część zasiekami.

To, co robią dziś elity III RP i będące ich polityczną emanacją partie z PO na czele, jest ukoronowaniem tendencji, którą opisywałem kiedyś na przykładzie losu Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Kiedy w wyborach do władz kluczowego warszawskiego oddziału tego stowarzyszenia kandydaci sympatyzujący z antypisem przegrali (wcale nie była to przegrana miażdżąca), odrzucili dumnie oczywiste w tej sytuacji zaproszenie zwycięzców do zajęcia mniejszości miejsc w zarządzie i wyznaczenia swojego wiceprezesa. Demonstracyjnie, w kilkadziesiąt osób, wystąpili z SDP, miotając obelgi o „utracie moralnego prawa”, „reżimie” etc. i założyli swoje, konkurencyjne Towarzystwo Dziennikarskie – którego rachityczna działalność notabene ogranicza się do wydawania napuszonych oświadczeń „w obronie wolności”, nagradzania bohaterów w rodzaju Andrzeja Rzeplińskiego i Mateusza Kijowskiego, oraz – co szczególnie żałosne – pisanie donosów do międzynarodowych organizacji dziennikarskich z prośbami o potępienie Polski i wykluczenie SDP.

Dokładnie ten sam „modus operandi”, przeciwiczony w różnych szczegółowych sytuacjach, stosuje teraz „totalna opozycja” na skalę kraju.

Ta druga, „europejska” Polska budowana jest na poczuciu bezgranicznej wyższości. To nic nowego, tyle tylko że „urojenie wyższościowe”, stale umacniane przez antypisowskie media, zyskało ostatnio bardzo konkretny wyraz – pogardy miasta dla wsi. Ponieważ wybory samorządowe pokazały opozycji, że „swoich” ma głównie w większych ośrodkach, naturalna tendencja do pogardy dla prowincji uległa wzmocnieniu. Już po wyborach prezydenckich Radosław Markowski obwieszczał w TVN24, że „wieś narzuciła nam prezydenta”, dziś takie opinie w dyskursie antypisu są codziennością już nie tylko w mediach społecznościowych.

Jak się wydaje, prezes PiS wykorzystał to świadomie, na konwencji kierowanej do elektoratu wiejskiego (racjonalny ruch po tym, jak PSL weszło w wątpliwą koalicję z „ekologami” i LGBT) obiecując, że PiS uzyska w UE zrównanie dopłat dla polskich hodowców bydła i trzody z tymi, które wypłacane są w „starej Unii”. Prze-

Ta druga, „europejska” Polska budowana jest na poczuciu bezgranicznej wyższości

kręcona do formy „Kaczyński daje 500+ na krowy” i uzupełniana komentarzem „a dla nauczycieli pieniędzy nie ma!” stała się ta deklaracja pretekstem do kolejnego wybuchu pogardy „oświeconych” elit dla „wiochy”.

„Kaczyński wpuścił do Sejmu i Senatu prostaków i chamów, Polska od czterech lat ma twarz chama... PiS rozdaje nierobom i pijakom nasze pieniądze, bo to jego elektorat, a Wam rzuca ochłapy! Inteligencjo, stań po stronie nauczycieli!” – te apele honorowanej w mediach anty-PiS pisarki romansów Marii Nurowskiej doskonale współbrzmiały ze sławną konwersacją przewodniczącego KOD Bogdana Łozińskiego z aktorem Wiktoorem Zborowskim o tym, że walka z PiS to walka z „bydłem, które PiS wprowadził na salony”. Z podobnych wypowiedzi (Adama Zagajewskiego, Jerzego Stępnia, Jerzego Stuhra, Jerzego Radziwiłowicza

i wielu innych) można by złożyć już grubą książkę.

Rzecz charakterystyczna, że były minister Bartłomiej Sienkiewicz, na tyle bystrzejszy od innych, by zwracać współwyznawcom uwagę, że taka retoryka przynosi ich sprawie tylko szkody, jednocześnie oskarża Kaczyńskiego, że propozycję dopłat dla wsi rzucił po to, by „podzielić i skłócić społeczeństwo”. W istocie nic nie musiał dzielić – obóz III RP jest tak pełen nienawiści do „hołoty kupionej za pińcset”, że wystarczy mu tylko dać pretekst.

Granice „drugiej Polski” czy raczej PO-lski nie są jednak wyznaczone barierami stanowymi – gdyby tak było, strategia „korporacyjnego” wymawiania posłuszeństwa „państwu PiS” odniosłaby większe sukcesy. Nie wyznacza jej też geografia – w największych miastach PO zdobyła przewagę, przeważnie zresztą dzięki wspieraniu kandydatów lokalnych, ale nie może ich wcale uważać za całkowicie swoje. Owe granice mają raczej charakter wirtualny, wyznacza je uczestnictwo w medialnym matrixie. Kto przez cały dzień obcuje tylko z przekazem ustalonym przez TVN24 i wieczorną audycję informacyjną tej stacji, media „Agory” i RASP, ten żyje po prostu w zupełnie innym świecie niż człowiek korzystający z bardziej zdywersyfikowanych mediów i odpowiadający w necie nie tylko „swoje” strony.

Nawet jednak w tym wirtualnym kraju nie próbuje się już udawać, że ta „lepsz”, europejska Polska jest jedyną albo że jest znacząco większa. Zaczyna się jawić raczej jako oblężona twierdza, w której opozycja chce tylko przetrwać złe czasy, wierząc, że w końcu musi nastąpić mityczne „odbicie wahadła” i schyłek popularności PiS. Twierdza, w której głównym zmartwieniem jej dowódców nie będzie wcale, jak wygrać, ale bardziej, jak nie dopuścić do stopniowej ucieczki zniechęconych wyznawców.

Dla państwa polskiego taka strategia polityczna opozycji jest bardzo szkodliwa. Dla samej opozycji – ryzykowna. Bo wprawdzie Kaczyński nie jest, oczywiście, wieczny, ale nawet oczekiwany rozpad PiS wcale nie musi oznaczać, że Polacy zechcą, by „znowu było jak już było” – a innej oferty upadłe elity III RP przecież nie mają. Do wykrojenia z Polski swojego kawałka tyle wystarczy – ale do niczego więcej.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Co Kazikowi zawdzięczamy

Mówią mi, że złagodniałem. Rzeczywiście, nie bardzo chce mi się grillować ludzi ani ich orać, choć przez wiele lat z tego żyłem. Wtedy jednak to się nazywało nieco inaczej. Objawem stetycyzmu jest też bez wątpienia to, że w każdym staram się dostrzec coś wartościowego.

Oczywiście nie ze wszystkimi mi się to udaje. Nad Sławomirem Broniarzem spędziłem ostatnio pół dnia, szukając jego pozytywnych cech. Był to niestety czas stracony, acz oczywiście możliwe, że mój umysł nie jest wystarczająco przenikliwy i żwawy.

Natomiast – i radośnie śpieszę się tym podzielić – odkryłem, co dobre zrobił Kazimierz Marcinkiewicz. Nie ukrywam, że od lat uznawałem go za postać wyjątkowo groteskową i znajdującą się w absolutnej czołówce obciachowców III Rzeczypospolitej. Ta zapiekłość wobec byłego premiera brała się zapewne z osobistego rozczarowania. Jako młody, dobrze zapowiadający się publicysta napisałem trochę słów o dobrze zapowiadającym się (aczkolwiek może niezupełnie młodym) polityku, rokującym wielkie nadzieje. Żałosny upadek Marcinkiewicza dotykał mnie osobiście, jako człowieka, który dał się nabrać, że oto obcuje z osobą nietuzinkową.

Jednak nawet on, nieszczerśny Kazio, ma na swoim koncie coś dobrego. Otóż nie tak dawno, jak większość facetów w okolicach pięćdziesiątki, łypnąłem poządliwie na atrakcyjną kobietę,

bez wątpienia młodszą ode mnie o jakieś 20–25 lat. Łypnąłem i popuściłem wodze fantazji, w kierunku typowym dla podstarzałych samców. Aż się rozmarzyłem i uśmiechnąłem oblesnie.

Ale potem zerknąłem do Internetu i otrzeźwiałem. Izabel znowu coś tam zrobiła biednemu Kazowi. Wrzuciła filmik pokazujący go gołego w kibelku albo udzieliła wywiadu, w którym obrazowo przedstawiła, jak okropnym jest człowiekiem, ile zła jej wyrządził i jak straszliwie ją wykorzystał. Albo jeszcze coś innego, w swoim niepowtarzalnym stylu kobiety ekstrawagantki, uroczej i nieco postrzelonej. Rzuciłem okiem na te frapujące informacje i natychmiast przestałem mi ochota na wszelkie skoki w bok. Żadnego tracenia głowy dla nikogo.

Bo co, jeśli – drodzy panowie – trafimy tak jak Kazik? Wyobrażacie sobie? Cudowna eksplozja uczucia i ekscytujący masaż dla naszego łysiejącego i podtytego ego. I tak przez miesiąc, dwa. A potem dekada użerania się z jakąś nawiedzoną wariatką, która uznała, że pociągnie nas na dno, choćby sama miała też utonąć. I właściwie do końca życia musisz się przemykać po ulicach, bo jak przypadkiem na nią wpadniesz na mieście, to obleje ci twarz kwasem, który zawsze na wszelki wypadek nosi przy sobie.

Tak więc dzięki Kaziowi Marcinkiewiczowi – oraz oczywiście Izabel (czy też może Isabel) – zrozumiałem. Już będę wierny. Zawsze. ©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Nomenklatura i progenitura

Wywiady Krystyny Naszkowskiej z dziećmi komunistycznych prominentów – Agnieszką Holland, Aleksandrem Smolarem, Piotrem Fejginem czy córką Bieruta, Aleksandrą Jasińską – przypominają mentalną wycieczkę do postkomunistycznego skansenu, oczywiście do różnych pawilonów.

Generalnie potomkowie usiłują bronić i rehabilitować pamięć ojców, co z ludzkiego punktu widzenia jest wy tłumaczalne, choć w wypadku intelektualni-

wano nie tylko w ojczyźnie Iwana Groźnego.

Robespierre nie był Kałmukiem, działacze Komuny Paryskiej zrodziła cywilizacja Zachodu, za anarchistami i komunistami hiszpańskimi doby wojny domowej stały wieki cywilizacji, podobnie miała się rzecz z rewolucjonistami meksykańskimi. Kambodżańscy kaci to wychowankowie Sorbony.

Jądem zła zatem nie jest praktyka, tylko teoria! Idea opierająca się na odrzuceniu Boga i prawa moralnego, choćby odwoływała się do najszczytniejszych ideałów, prędzej czy później kończy się w gułagu lub na polach śmierci. Gdyby komunizm zwyciężył w Niemczech, zbrodnia byłaby jedynie bardziej precyzyjna, a likwidacja „wrogu ludu” mniej przypadkowa.

Jeśli Boga nie ma, to wszystko wolno. Jeśli zgodzimy się, że prawda i sprawiedliwość ma charakter klasowy – to wracamy do wspólnoty pierwotnej. Najgorsze, że wprawdzie komunizm w wersji hard przepadł, jednak w wersji soft ma się świetnie. Tylko pytanie, kiedy się użłośliwi. Gdy apostołowie postępu sugerują karać więzieniem homofobów, niebezpiecznie zbliżają się do tych, którzy za nieprawomyślność stawiali pod ścianą. Do rangi symbolu urasta, że córka Bieruta na starość weszła w związek z Zygmuntem Baumanem.

Szkoda, że tak późno – fascynujące byłoby bowiem zobaczenie wyniku takiej syntezy. ©

**Komunizm
w wersji hard
przepadł, jednak
w wersji soft ma się
świetnie.**

**Tylko pytanie,
kiedy się użłośliwi**

stów przywodzi na myśl powiedzenie: „Niczego nie zrozumieli, niczego się nie nauczyli”. Szczególnie w słowach Bierutówny pobrzmiwa powszechna ongiś opinia, że idea była piękna i szlachetna, tylko ta realizacja... Gdyby budownictwo socjalizmu rozpoczęło w którymś z cywilizowanych narodów, a nie w mongolsko-bizantyjskiej Rosji, efekty byłyby zupełnie inne.

Ito budzi mój gwałtowny sprzeciw – socjalistyczne eksperymenty podejmo-



Jeżeli porównamy dokładnie taki sam przenośny odtwarzacz audio (lub nawet telefon komórkowy z odpowiednią aplikacją), sprzedawany w UE i w USA, to znajdziemy jedną subtelną, ale znaczącą różnicę. To różnica wynikająca z charakterystycznej dla Starego Kontynentu obsesji wyeliminowania wszelkich niebezpieczeństw. Gdy będziemy zwiększać głośność, europejski sprzęt w którymś momencie wstrzyma pogłaśnianie i wyświetli ostrzeżenie, że „długie słuchanie muzyki przy wysokiej głośności

Po drugie – z powodu europejskiego modelu socjalnego, w którym opieka nad ludźmi jest w większości finansowana z podatków, państwa uważają się niejako za właścicieli swoich obywateli. Skoro leczenie jest finansowane z budżetu, to rządy sądzą, że kolejne ograniczenia, nakazy i zakazy można uzasadniać koniecznością oszczędności.

Po trzecie – dogmatem w Europie, a i w dużej części Zachodu, stało się przekonanie, że ostatecznym celem przyjmowanych regulacji powinno być osiągnięcie

dzisiaj dostępnych w droższych wersjach pojazdów. Będą to m.in. system ostrzegania kierowcy w przypadku senności, asystent utrzymania pasa ruchu, oraz – co budzi największe kontrowersje – inteligentny ogranicznik prędkości (ISA – Intelligent Speed Assistance).

Ten ostatni system ma najgłębiej ingerować w decyzje kierowcy. Według obecnych założeń będzie się opierał na kamerach czytających znaki ograniczenia prędkości oraz na mapie sprzężonej z GPS, na której także będą zapisane ograniczenia. System ma pilnować, żeby kierowca nie przekroczył dozwolonej prędkości, a gdy zacznie łamać ograniczenie, ma automatycznie zmniejszyć moc silnika. Kierowca ma mieć możliwość krótkotrwałego przełamania blokady przez bardzo mocne naciśnięcie pedału przyspieszenia, ale jeśli będzie to trwało zbyt długo, wówczas samochód ma zacząć emitować liczne sygnały ostrzegawcze do momentu, gdy prędkość spadnie. Początkowo system można by wyłączyć, ale prawdopodobnie byłaby to opcja ukryta głęboko w ustawieniach pojazdu, system zaś aktywowałby się za każdym razem po włączeniu zapłonu.



FOT. ADRIAN STOLK

może uszkodzić słuch”. Można jednak to ostrzeżenie pominąć i pogłasniać dalej. Na razie, bo być może wkrótce nie da się już tego zrobić. Amerykański odtwarzacz nie będzie nas ostrzegać i pozwoli nam zwiększać głośność bez ostrzeżeń.

Unia Europejska tak martwi się o słuch mieszkańców Starego Kontynentu, że sprzedawane w niej oficjalnie urządzenia powinny (nie jest to bezwzględny wymóg, ale wyraźne zalecenie) mieć ustawiony limit głośności na 85 decybeli. To właśnie ten moment, gdy pojawia się ostrzeżenie. Jeśli je przełamiemy, to możemy dojechać do 100 decybeli (więcej nie wolno), ale wtedy ostrzeżenie o głośności musi się pojawiać po każdych kolejnych 20 godzinach używania urządzenia.

Wszystkie te światłe rekomendacje mają trzy źródła.

Po pierwsze – biurokracja unijna i Parlament Europejski muszą wciąż generować tematy, którymi mogłyby się zajmować. W ten sposób zajęcia parlamentarzystom i urzędnikom nie zabraknie przez długie lata.



Łukasz Warzecha

Działania Unii Europejskiej prowadzą do tego, że zamieszkujący ją obywatele będą w dużej części strachliwi, bierni, oczekujący, że ciężar ryzyka wezmą na siebie państwo i automaty

pełnego bezpieczeństwa w różnych dziedzinach. Poddawanie tego dogmatu krytyce budzi na ogół zdziwienie, a nie-rzadko wręcz historyczny sprzeciw. O jego dalekosiężnych konsekwencjach właściwie się nie dyskutuje.

ZDECYDUJĄ ZA CIEBIE

Na niemal finalnym etapie uzgodnień jest wprowadzenie na terenie UE od 2022 r. zaawansowanych systemów bezpieczeństwa we wszystkich nowych samochodach. Ma to być ok. 30 rozwiązań,

Czy to rozwiązanie wejdzie w życie, ostatecznie zdecydują Parlament Europejski i Rada UE w drugiej połowie tego roku, a więc już po wyborach do PE. Jego założenia – zwłaszcza ISA – zostały poddane druzgocącej krytyce. Oto wyliczenie najczęściej przywoływanych zastrzeżeń.

Po pierwsze – regulacja musi spowodować kolejny wzrost cen samochodów, bo zakłada seryjne montowanie systemów, które dziś dostępne są jedynie w opcjach albo bogatszych wersjach.



Po drugie – żeby obniżyć koszt, producenci będą montować możliwie najprostsze, a więc najgorzej działające wersje systemów.

Po trzecie – dodanie do samochodów kolejnych porcji elektroniki sprawi, że staną się o wiele bardziej zawodne, trudniejsze w naprawie i będą mieć mniejszą trwałość. Wzrosną koszty napraw i przeglądów.

Po czwarte – podobne systemy, działające dziś w autach klasy wyższej i premium, pozostawiają bardzo wiele do życzenia. Mapy bywają nieaktualne, nie uwzględniają remontów, są aktualizowane z opóźnieniem. Kamery czytają znaki błędnie, nie czytają znaków zabrudzonych, czasem potrafią uwzględnić znak z równoległej drogi. To technologia wymagająca jeszcze wielu lat dopracowywania.

W Polsce, gdzie ograniczenia prędkości są stawiane bez ładu i składu, często stanowią zabezpieczenie zarządcy drogi przed roszczeniami kierowców w razie uszkodzenia auta (zawsze można dowodzić, że kierowca jechał powyżej dozwolonej prędkości), a granice obszarów zabudowanych służą drogówce jako obszary polowań, żeby wyrobić narzuconą przez naczelnika wydziału ruchu drogowego normę – jazda

– trudno powiedzieć. Jeśli podstawą są po prostu raporty policyjne, to tę liczbę można od razu wyśmiać. W wielu krajach policja zachowuje się podobnie jak w Polsce: kiedy tylko może, zapisuje „nadmierną prędkość” jako przyczynę wypadku, nawet jeśli okoliczności są znacznie bardziej złożone. Wprowadzenie systemu promuje komisarz Elżbieta Bieńkowska, której genialne kompetencje mogliśmy już poznać, kiedy kompromitowała się na potęgę, uzasadniając unijną dyrektywę o bronii i myląc przy tym podstawowe pojęcia.

Politycy przepychają to rozwiązanie poza tym, że mogą działać na rzecz konkretnych lobby (np. producentów elektroniki pokładowej, którzy zarobią krocie), kierują się „wizją zero”. To założenie, że eliminując ludzkie błędy, do ok. 2050 r. uda się sprowadzić liczbę ofiar śmiertelnych wypadków drogowych do zera.

W istocie to wizja nie cudowna, ale przerażająca. Jej twórcy powinni sięgnąć po „Nowy, wspaniały świat” Aldousa Huxleya – być może zrozumieliby, w jak groźnym kierunku nas prowadzą. Świat, w którym błędne decyzje człowieka nie niosą ze sobą konsekwencji, bo nie pozwała na to jakiś elektroniczny system, będzie

ny. To działa na emocje i łatwo stworzyć demagogiczny syllogizm: jesteś przeciwko tym regulacjom, czyli nie chcesz, żeby ludzie przestali ginąć. Za tym stwierdzeniem stoi groźna, utopijska wiara, że ze świata można wyeliminować ryzyko, wypadki, zdarzenia losowe, a śmierć ma następować tylko ze starości, ewentualnie w wyniku eutanazji. Wystarczy tylko jeszcze bardziej ubezwłasnowolnić człowieka, odebrać mu jeszcze więcej swobody. Stoi za tym myśleniem odrzucenie oczywistej prawdy, że niemal każde działanie człowieka musi ze sobą nieść jakieś zagrożenie. Konsekwencją jest również odrzucenie ducha innowacji czy przedsiębiorczości, który z zasady zakłada ryzyko – oczywiście nie dla zdrowia czy życia, ale dla pozycji życiowej, majątku, prestiżu.

RYZIKO BRAKU RYZYKA

Jeśli ktoś wątpi w takie skutki tego procesu, to powinien przyjrzeć się konkluzjom z dochodzeń w sprawie niektórych katastrof lotniczych. W 2013 r. w San Francisco przy podchodzeniu do lądowania rozbił się samolot koreańskich linii Asiana, lot nr 214. Śledczy doszli do wniosku, że piloci mieli wprawdzie wylatanych wiele godzin, ale tak bardzo polegali na elektronice, iż nie byli w stanie poradzić sobie z manualnym lądowaniem na trudnym lotnisku. Już dwa lata temu w swoim raporcie amerykańska Federalna Administracja Lotnicza (Federal Aviation Administration) stwierdzała, że nie może zapewnić, iż piloci amerykańskich linii są w stanie w pełni zapanować nad maszynami w razie awarii elektroniki. W lotnictwie mamy do czynienia z bardzo skomplikowanymi systemami i procedurami, ale przecież to ten sam proces, który zachodzi w przypadku aut w UE.

Ludzie oduczeni podejmowania ryzyka staną się bezradni, gdy kiedyś będą musieli się z nim zmierzyć – np. w sytuacji skrajnego zagrożenia, gdy automatyczne systemy padną. To się oczywiście nie stanie za pięć czy dziesięć lat – jak każdy podobny proces tak i ten potrwa długo. Jednak za 20 czy 30 lat może się okazać, że Unię Europejską zamieszkują w dużej części obywatele strachliwi, bierni, oczekujący, że ciężar ryzyka wezmą na siebie państwo i automaty.

Wątpliwe jednak, czy zwolennicy totalnego bezpieczeństwa to rozumieją. W ich wąskiej i krótkiej perspektywie pojawiają się tylko zapowiedzi, ile osób przeżyje, nie utyje, nie straci słuchu albo nie nabije sobie guza dzięki mądrym europejskim systemom i normom.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

strachliwy świat

z ISA może być koszmarem szarpiącym nerwy. Może sprawiać, że podróż przez Polskę wydłuży się o całe godziny, a przeciętny zmęczony kierowca to groźny kierowca. Cóż, może UE wkrótce każe montować nawet w autach osobowych tachometry, ograniczające czas jazdy.

CZY TO JEST BEZPIECZNE?

Przede wszystkim jednak ISA może być poważnym zagrożeniem dla bezpieczeństwa. W sytuacji podbramkowej kierowca oczekuje, że samochód zareaguje normalnie, natychmiast przyspieszając, a nie dopiero po specjalnie silnym naciśnięciu gazu. Jeśli jazda ze zwiększoną prędkością będzie trwać dłużej niż kilka sekund, to w momencie wymagającym największej koncentracji auto nagle zacznie pikać i błyskać alarmami. Skutek może być śmiertelny.

Tymczasem, jak twierdzą zwolennicy tego rozwiązania, ma ono uratować 140 tys. osób do 2032 r. Jak to wyliczyli

zabijał umiejętność ponoszenia ryzyka, ale też zrozumienie, że zła decyzja może oznaczać fatalne skutki. Przypomina to sytuację, gdy rodzice uczącego się chodzić dziecka okleją wszystkie kanty mebli miękkimi obijaczkami, podłogę wykładają poduszkami, a na koniec zakładają berbeciowi na głowę specjalny kask (to nie żart – są takie kaski i są tacy rodzice). Tym samym niszczą mechanizm nauki o działaniu i jego skutku: jeśli upadnę, to mnie zaboli; jeśli uderzę głową w stół, to zaboli itd. Owszem, może zaoszczędzą dziecku paru guzów, ale zrobią z niego życiową kalekę.

Unia Europejska poprzez swoją obsesję bezpieczeństwa we wszystkich możliwych dziedzinach chce zrobić z ludzi takie właśnie kaleki, tyle że na o wiele większą skalę. W przypadku systemów bezpieczeństwa w samochodach epatuje się liczbą ofiar, ale równie dobrze może to dotyczyć liczby głuchnących (przykład z odtwarzaczami muzyki) czy jakiegokolwiek innej dziedziny



Model grodu z XI w. na Ostrowiu Tumskim w Poznaniu FOT. WIESŁAW ZIELIŃSKI/EAST NEWS

Jak Piastowie budowali Polskę



Jacek Komuda

W ogniu płonących grodów, zjednoczone wojną i żelazem powstawało pierwsze państwo gnieźnieńskie. Zjednoczone tak mocno, że nie zmiotły go późniejsze bunt i najazdy

Historycy sceptycznie odnoszą się do najdawniejszych dziejów Polski przedstawionych w kronikach Galla Anonima, Kadłubka czy Długosza. Walki z Dakami, Gallami, Rzymianami, Aleksandrem Wielkim czy podania o imperium Lechitów to pospolite bajdoly. Nikt jednak nie kwestionuje istnienia przedchrześcijańskich przodków Mieszka I: Siemowita, Lestka i Siemomysła. Kłopot w tym, że nie pozostawili

oni po sobie żadnych kronik, pism ani kodeksów pokazujących proces tworzenia pierwszego księstwa piastowskiego nad Wartą. Jednak to, czego nie zapisała historiografia, odkrywają przed nami nowoczesne badania archeologiczne. Kiedy nałożymy na nie nieliczne wzmianki w źródłach, możemy odtworzyć hipotetyczny przebieg wydarzeń, które od końca IX w. doprowadziły do utworzenia państwa, które odziedziczył Mieszko I.

SPALONA WIELKOPOLSKA

Archeologia pokazuje, że możemy raz na zawsze pożegnać się z wizerunkiem spokojnych synów Piasta i Rzepki, pijących miód w słomianych chatkach. Jak podaje Andrzej Buko w „Archeologii Polski wczesnośredniowiecznej”, z ok. 90 gródek okresu plemiennego istniejących na terenie Wielkopolski, przetrwało tylko 13 – przebudowanych na znacznie potężniejsze warownie. Pozostałe zostały spalone lub zburzone przez Piastów, rozszerzających granice ogniem i żelazem. Zniszcze-

niu uległy ogromne połacie terytoriów pomiędzy środkową Wartą i Obrą, a także tereny na wschód od obecnego Poznania. Grody, będące schronieniami małych plemion, zostały zdobyte i spalone, a na ich miejscu budowano warownie zadziwiające ogromem i niedostępnością.

Piastowie jednak odbudowywali i umacniali tylko te ośrodki, które leżały w strategicznych punktach, były pogańskimi miejscami kultu lub ich położenie umożliwiało kontrolowanie kraju. Takim miejscem było Gniezno, gdzie zbudowano gród, choć w okolicy zniszczono Jankowo i być może Mielęcę. Przebudowano i umocniono Ostrów Lednicki, a łącząc otoczono nowym wałem. Jednym z najważniejszych miejsc był jednak położony centralnie Ostrów Tumski w dzisiejszym Poznaniu. Jak podaje Hanna Kóčka-Krenz – znajdował się tutaj ważny ośrodek władzy zajęty przez Piastów; jednocześnie spalono wszystkie sąsiadujące z nim gródki. Ostały się umocnienia osłaniające granice – takie jak Santok i Międzyrzecz. Wznoszono także



grody, które były tymczasowym zabezpieczeniem rozszerzających się granic – np. Grzybowo, zbudowane przed 935 r., zapewne jako gród graniczny; potem, jak pisze Zofia Kurnatowska – straciło na znaczeniu po zdobyciu Góry Lecha i zbudowaniu Gniezna.

Umacnianiu nielicznych ocalonych grodów towarzyszyło wznoszenie nowych ośrodków – na surowym korzeniu, gdzie wcześniej szumiła dziewicza puszcza. W południowej Wielkopolsce powstały całe sieci gródków i osad – najwięcej w bezpośrednim otoczeniu Kalisza i na zachód od niego.

Wypadki rozgrywane się w Wielkopolsce w pierwszej połowie X w. przypominają inny proces historyczny – zdobycie Prus przez Krzyżaków. Trzysta lat wcześniej niż rycerze krzyżowi Piastowie rozpoczęli metodyczny podbój okolicznych plemion – zdobywając i niszcząc ich umocnienia, a następnie budując na ich gruzach własne grody, kontrolujące podporządkowany obszar. Największy, najzacieklejszy opór spotkali na zachód od dzisiejszego Poznania – w dolinach Obry i Paklicy nie ostał się ani jeden gród – co więcej, pomijając graniczny Santok i Międzyrzecz, nie zbudowano tam prawie żadnych nowych – jak gdyby obszar ten miał pozostać przeklęty, spustoszony i wyludniony na wieki. Jeśli zawierzmy Gallowi Anonimowi, podboje te można łączyć z panowaniem ojca Mieszka – Siemomysła i jego dziada Lestka, który rządził być może od początku X w.

OJCZYŻNA SIEMOWITA

Skąd pochodzili władcy Słowian nad Wartą? Według Galla Anonima: „W mieście Gnieźnie, Gniazdem w słowiańskim języku zwanym, panował książę imieniem Popiel”. Podobnie uważa Jan Długosz. Kłopot w tym, że mity i podania nie pokrywają się z wynikami badań archeologicznych. Kruszwicę, w której rządził wspomniany Popiel, zbudowano dopiero pod koniec X w., a Gniezno było wprawdzie ośrodkiem wierzeń pogańskich, ale gród zbudowali tutaj dopiero Piastowie.

Czy zaciekość, z jaką niszczyli inne plemiona, świadczy o tym, że byli obcymi wobec Słowian? Niemcami? Wikingami? Niekoniecznie. Najsensowniejsza wydaje się hipoteza Andrzeja Buki, który twierdzi, że ojcowizny Piastów należy szukać w tych ośrodkach osadniczych, które po pierwsze nie zostały zniszczone w czasie podboju Wielkopolski. Po drugie: miały duży potencjał wojskowy i gospodarczy,

a po trzecie – były w czasach piastowskich silnie rozbudowywane, w czym poznać można chęć wzbogacenia rodowej posiadłości. Ośrodki takie znajdujemy dwa: Kalisz i Giecz. W obu przetrwały gródki i umocnienia z okresu plemiennego.

Tadeusz Baranowski w „Kaliszu wczesnośredniowiecznym” podaje, że pierwszy gród wzniesiono tutaj w drugiej połowie IX w., wcześniej funkcjonowało pogańskie cmentarzysko ciałopalne, którego początki sięgają nawet VI stulecia. Ośrodek ten był domeną niezwyklej wprost inwestycji piastowskich. Nie tylko powiększono osadę, budując otoczony wałami gród o średnicy od 80 do 100 metrów, lecz także rozbudowywano go do początków XI w., budując wały wysokie na 6 metrów zbudowane w konstrukcji skrzyniowej. Jednocześnie w okolicy osadzono ogromną liczbę ludności – zapewne wziętej w niewolę w czasie wojen Mieszka i jego ojca. Grzegorz Teske szacuje, że w okolicach Kalisza

przełomie IX i X w. był on o wiele skromniejszym ośrodkiem niż Giecz, niespodziewanie stał się miejscem ogromnych wprost inwestycji na dalekiej prowincji. Piastowie zbudowali tutaj palatium i pierwszy drewniany kościół; stworzyli potężny okręg grodowy. Pytanie, dlaczego w Kaliszu, a nie w Grzybowie czy w Mietlicy? Zatem powodem, dla którego przeznaczali ogromne siły i środki na peryferyjny gród, mógł być tylko fakt, iż była to ich ojcowizna.

SKĄD SIĘ WZIĘLI POLANIE?

Kogo podbijali Piastowie? Czyje grody płonęły ok. 940 r. w Wielkopolsce? Dziś przywykliśmy nazywać zamieszkujące ją plemiona Polanami. Kłopot w tym, że po raz pierwszy nazwa ta pojawia się w 999 r., kiedy Jan Canaparius wspomina o Bolesławie, księciu polskim. Kolejne źródło to jeden z denarów Bolesława Chrobrego z ok. 1005 r. z napisem „PrinCES polonie”.



Zrekonstruowane na podstawie prac archeologicznych wczesnośredniowieczne osiedle Zawodzie w Kaliszu. FOT. TOMASZ WOJTAŚK/PAP

wzniesiono 18 nowych grodów obronnych, a tylko jeden – Raszewy – był pozostałością z czasów plemiennych.

Jeszcze bogatszy był Giecz, którego rodowód wywodzi się z IX w. Pierwszy gród powstał tutaj po 860 r. i otoczony był wieloma otwartymi osadami oraz wioskami. Rozbudowano go od 883 do 925 r., dobudowując podgrodzie od południa i dodając wał oblicowany kamieniem.

Który z dwóch grodów mógł być dominium rodowym pierwszych Piastów? Osobiście stawiałbym na Kalisz – gdyż na

Czy Polanie istnieli? Geograf Bawarski – mnich będący szpiegiem Ludwika Niemca – nie wymienia ich w spisie plemion słowiańskich powstałym ok. 845 r. Zamiast nich występują Goplanie (Glopeani), mający 400 grodów. Albo zatem wspomniani Goplanie, trzecie pod względem siły plemię słowiańskie, to Polanie i Geograf z pewnością się pomylił, albo też Słowianie znad Gopła zawładnęli całym związkiem plemiennym. Kłopot w tym, że nie istniał wówczas gród w Kruszwicy, a ich największy ośrodek to słabo



Drewniane fortyfikacje na wyspie, na Jeziorze Lednickim.
Ostrów Lednicki (29 maja 2010 r.) FOT. JERZY PAWLETA/FORUM

■ opracowany archeologicznie gród na Mietlicy, związany raczej z centrum kulturowym i pogańską świątynią na górze Lecha. Ostatnia możliwość jest taka, że nazwę „Polanie” wymyślili (przywrócili?) Piastowie na określenie swojego państwa; tak aby scalała mocniej podbite plemiona.

Jeśli prawdziwa jest hipoteza druga, to oznacza to, że historia Piasta, który obalił księcia Popiela, może być prawdziwa. Spróbujmy zatem hipotetycznie odtworzyć te wydarzenia.

PODOBÓJ PIASTÓW – PRÓBA REKONSTRUKCJI

Obalenie Popielidów i przejęcie władzy pod koniec IX w. przez wywodzących się z Kalisza Piasta i Siemowita, nie oznaczało odnowienia dawnego związku plemiennego Polan. Wspólnota rozpadła się na kilka ośrodków, wśród których najsilniejsze i najważniejsze były Góra Lecha (Gniezno), gdzie znajdowała się jedna z ważniejszych świątyń pogańskich. Ostrów Tumski (Poznań) być może pozostający w jednym związku z Moraczewem i Jankowem. Silne plemiona zamieszkiwały doliny Obry i Paklicy. Kolejne związane były z Ostrowem Lednickim, Międzyrzeczem i Santokiem – grodami na szlakach handlowych i wodnych – zapewne mogły też liczyć na pomoc pobratymców – Wolinian, Łużyczan i innych plemion z którymi handlowali, wysyłając np. niewolników.

Na początku X w., być może za panowania Lestka, doszło do wydarzenia, które naruszyło chwiejną równowagę sił. W Piastowie z Kalisza połączyli się lub w inny sposób weszli w posiadanie Giecza, co spotkało się z ostrą akcją pozostałych plemion. Porównanie sił nie wypadało dla nich korzystnie – przeciwko domenom zajmującej dwa duże i kilka

pomniejszych grodów stanęły wielkie federacje słowiańskie. Było jednak coś, co sprawiło, że państewko Lestka górowało nad przeciwnikami. Po pierwsze – miało scentralizowaną władzę książęcą, podczas gdy u przeciwników panowała demokracja plemienna, rozrywana sprzecznymi interesami możnych i kapłanów. Po drugie: być może Lestek albo jeszcze Siemowit dokonali reform wojskowych, tworząc warstwę zawodowych wojowników (włódyków, późniejszych rycerzy), jak sugeruje Karol Buczek w „Prawie rycerskim i powstaniu stanu szlacheckiego w Polsce”. Powstanie zawodowej drużyny wojowników, złożonej zapewne także z wikingów, dawało Piastom ogromną przewagę nad siłami plemiennymi złożonymi z pospolitego ruszenia wolnych wojowników.

Piastowska ekspansja zaczęła się ok. 922 r. – bo takie mniej więcej daty przynosi dendrochronologiczne badanie nowo powstałych grodów. Jeśli potraktujemy poważnie kronikę Galla Anonima, to było to za panowania ojca Mieszka – Siemomysła, który „sławę przodków i wywyższenie rodziny swojej podwoił”, co oznaczałoby znaczne zwycięstwo.

Gdy porównamy działania wojenne Piastów do podboju pogańskich Prus przez Krzyżaków, dochodzimy do wniosku, że w trakcie konfliktu doszło najpierw do jednej bitwy lub wielu z wrogimi plemionami znad Warty i Obry. Piastowie pokonali ich w polu – wówczas wrogowie, podobnie jak Prusowie – zaczęli zamykać się w gródkach i umocnieniach oraz bronić w trudno dostępnych miejscach. Siemomysł, być może pod koniec życia razem z synami – Mieszkim, Czcioborem – kolejno zdobywali ich grody, palili i burzyli te, które mogłyby stanowić schronienie dla podbitych, i wznosili własne,

aby panować nad zdobytym terytorium. Najważniejszym celem były ośrodki religijne – takie jak Góra Lecha, czyli przyszłe Gniezno, i handlowe – Ostrów Lednicki i Ostrów Tumski (Poznań). Budowali też własne grody, aby przejąć kontrolę nad szlakami handlowymi i strategicznymi ośrodkami.

Około 940 r., kiedy zbudowano Gniezno, zapewne zakończył się pierwszy etap podboju Wielkopolski. Piastowie skoncentrowali się teraz na utwierdzeniu zdobyczy – budowaniu własnych ośrodków władzy. Być może kolejna faza wiązała się z podbojem ziem pomiędzy łukiem Warty, Obrą i Paklicą, uwieńczoną zdobyciem Santoka i Międzyrzecza. Okrutne спустoszenie tych ziem tłumaczyć można tylko zaciekłym oporem przed Piastami. Centrum osadnicze przesunęło się na zachód – w okolice Poznania i południowej Wielkopolski.

Piastowski podbój Wielkopolski był brutalny i bezwzględny. Inny być nie mógł, gdyż Słowianie okresu plemiennego nie rozumowali jak dzisiejsi ludzie – siła budziła strach, ale i szacunek, a także zaufanie – bezwzględny i brutalny władca był gwarantem stabilizacji i zysków dla podległej ludności. Nie byli także chrześcijanami; do pewnego stopnia obce im było poczucie miłosierdzia i przebaczenie win. Wokół działalności Mieszka i Siemowita narosło także sporo mitów. Najważniejszy z nich – że środki na działalność czerpali z handlu niewolnikami – możemy śmiało odrzucić. Skala budownictwa i osadnictwa za ich panowania pokazuje, że potrzebowali siły ludzkiej. Ktoś musiał wznosić nowe grody, zasiedlać osady służebne, więc nowi władcy najczęściej przesiedlali podbitą ludność w nowe miejsca, a tylko najbardziej buntowniczy element wysyłany był na targ do Wolina.

Umierając ok. 960 r., Siemomysł pozostawił synom ogromne terytorium, które później zwano państwem Mieszka I. Obejmowało tereny dzisiejszej Wielkopolski, część Mazowsza, okolice Inowłodzi, Kalisz i Sieradz; a zaczynało się od Lubusza – niczym pas ziem rozszerzających się ku wschodowi, przecinający równoleżnikowo dzisiejszą Polskę – aż do Czerska i Wizny na wschodzie.

Państwo scalone ogniem i żelazem przetrwało bunt społeczeństwa i najazd Brzetysława, który chciał zniszczyć raz na zawsze największego konkurenta. Na progu nowego tysiąclecia stało się Królestwem Polskim.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Casa Azul Films

Ecran Noir Productions



SPECJALNA
ZŁOTA PALMA
CANNES 2018

JEAN-LUC GODARD

IMAGINACJE

GODARD

BATTAGIA

ARGANO

BRENEZ

“Kinowa burza mózgów”

Los Angeles Times

“Żyje i oddycha kinem”

Chicago Tribune

wprost

DO
RZECZY

FILM

eprasa.pl 8fc4965922

ma
chi
na

INSTITUT
FRANÇAIS



Był 15 września 1943 r. Godzina 7.45. Ulicą św. Jakuba – tak jak codziennie rano – do pracy szedł Marian Padaba, inspektor litewskiej policji kryminalnej w Wilnie. Człowiek, którego polskie podziemie uważało za zagrożenie. I na którego Armia Krajowa wydała wyrok śmierci. Padabę zgubiły rutyna i pewność siebie. Codziennie szedł do biura tymi samymi uliczkami. Nie stosował również podstawowych środków ostrożności. Gdyby był bardziej uważny, może dostrzegłby, że feralnego dnia śledził go jakiś mężczyzna.

W umówionym miejscu nieznajomy machnął ręką. Był to znak rozpoznawczy dla czekającego w bramie egzekutora. „To jest nasz człowiek!”. Potem wydarzenia potoczyły się w ułamkach sekundy. Egzekutor podszedł do Padaby, wyszarpnął broń i wymierzył w głowę. Rozległ się ogłuszający huk wystrzału. A po nim jeszcze jeden.

Przechodnie z krzykiem rozbiegli się na wszystkie strony, a zamachowiec rzucił się pędem w stronę ulicy Gazowej. Litewski policjant, który przypadkowo znalazł się na miejscu akcji, wyszarpnął z kabury służbowy pistolet i zaczął strzelać za uciekającym. Na szczęście spudłował. Zabójca zniknął w przechodnim podwórku. Tam czekał już na niego żołnierz ubezpieczenia i wręczył mu płaszcz, aby zabójca mógł zmienić ubranie i wtopić się w tłum.

Cała akcja trwała kilkadziesiąt sekund. Na chodniku leżał litewski inspektor, a przy jego – roztrzaskanej pociskiem – głowie powiększała się plama krwi. Wokół zaczął gromadzić się tłumek gapiów. Litewscy policjanci kręcili się, bezradnie zaglądając do bram. Zabójca zapadł się pod ziemię.

Likwidacja Mariana Padaby to jedna z brawurowych akcji wileńskich egzekutorów, opisanych w książce Tomasza Balbusa „Fakir”. Znakomity historyk IPN opisał w niej sprawę mało znane polskiemu czytelnikowi. O ile wszyscy słyszeli o akcjach likwidacyjnych Kedywu w Warszawie, o tyle mało kto wie, że dochodziło do nich również w Wilnie.

Kierownictwo wileńskiej AK przyjęło jednak bardziej rozsądną strategię niż kierownictwo warszawskiej AK. Dla wilniuków priorytetem było oszczędzanie polskiej krwi. Dlatego nie wykonywali wyroków, które zapadły na Niemców, z obawy przed straszliwym odwetem ze strony okupanta. W Wilnie likwidowano jedynie lokalnych kolaborantów – Litwinów i Polaków. Jak to wyglądało w Warszawie – niestety wszyscy doskonale wiemy.



Piotr Zychowicz

Egzekutorzy z AK strzelali do konfidentów gestapo nie tylko w Warszawie, lecz także w Wilnie. Niestety, zdarzały się fatalne pomyłki



Muszę pana zabić!

„Fakir” (w skórzanej kurtce) w czasie koncentracji „jurandowców” (Kamionka koło Turgei, maj 1944 r.) FOT. IPN



Strategia przyjęta w Wilnie oczywiście nie zawsze okazywała się bezpieczna. Tak było chociażby w przypadku akcji na Padąbę. Niemieckie służby tym razem dokonały odwetu. Za śmierć litewskiego inspektora w podwileńskich Ponarach okupant rozstrzelał 10 wybitnych Polaków. „Rachunek zysków i strat – pisze Tomasz Balbus – był w tym przypadku niekorzystny dla strony polskiej”.

STRZAŁY PRZY OSTREJ BRAMIE

Niezwykle sensacyjna była historia polowania i likwidacji Danuty Wyleżyńskiej. Było o niej głośno zarówno w czasie wojny, jak i po jej zakończeniu. W wydanych na emigracji powieściach i artykułach pisali o niej znani pisarze Józef Mackiewicz i Sergiusz Piasecki. Ten ostatni był zresztą organizatorem dokonywanych w Wilnie likwidacji.

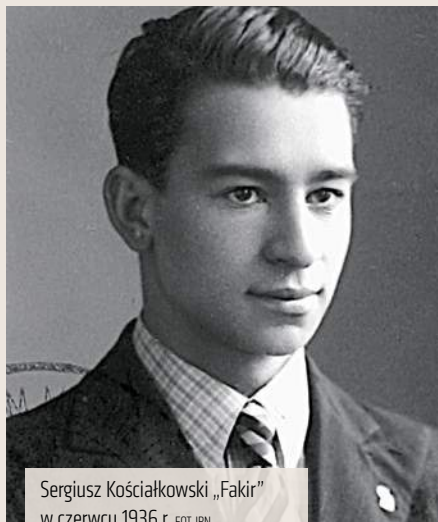
Wielu publicystów i historyków uważało, że zabójstwo Wyleżyńskiej było zwykłym morderstwem. Dziewczyna miała być niewinną ofiarą miejskiej plotki i fałszywego posądzenia o współpracę z Niemcami. A podziemny sąd, wydając na nią wyrok, popełnił fatalną pomyłkę. Niżej podpisany przyznaje, że również przez wiele lat podzielał tę opinię.

Tymczasem Tomasz Balbus dotarł do dokumentów, które nie pozostawiają cienia wątpliwości – Wyleżyńska była na liście plac okupanta. W niemieckim sprawozdaniu określono ją jako konfidentkę (VM) pracującą dla policji kryminalnej w zakresie zwalczania kontrabandy. Z czasem została jednak wyrzucona z sieci agenturalnej ze względu na gadulstwo.

Można oczywiście dyskutować, czy zabicie Wyleżyńskiej było adekwatną karą za jej przewiny – była w końcu agentką o trzeciorzędnym znaczeniu. Jednak to, że utrzymywała kontakty z okupantem, jest bezsporne. Wydaje się, że tym, co przypięczytowało los Wyleżyńskiej, był fakt, że 20-letnia dziewczyna lubiała zażywać życia. Widywano ją w towarzystwie Niemców na dancingach, w restauracjach i kawiarniach.

Wywoływało to zgorzienie wilniuków, które pogłębiał fakt, że Wyleżyńska pochodziła ze znanej i z szanowanej w mieście rodziny. Jej ojciec był wybitnym dyrygentem. W efekcie – aby odstraszyć młodzież od podobnych wyryków – w 1942 r. podziemny sąd wydał na dziewczynę wyrok śmierci.

Na początku AK planowała otrucie Wyleżyńską z pomocą kelnera pracującego w jednej z odwiedzanych przez nią knajp. Przeciwno takiej metodzie – uznając ją



Sergiusz Kościółkowski „Fakir”
w czerwcu 1936 r. fot. IPN

za skandaliczną – zaprotestował jednak Sergiusz Piasecki. Do pierwszej próby zamachu na Wyleżyńską doszło jesienią. Dwaj żołnierze podziemia ostrzelali sanie, którymi jechała dziewczyna. Szczęście jej sprzyjało – nie została nawet drażniona.

W listopadzie 1942 r. AK postanowiła naprawić błąd i skończyć robotę, doszło jednak do kompromitacji. „Miałem pistolet FN z dwoma nabojami – relacjonował Wacław Zaleski »Biały« – »Lech« vebly-smitha z jednym nabojem. Cała broń świeżo wykopana z ziemi. Pierwszy strzelił »Lech«. Nabój trafił w guzik od płaszczka, ale nie miał siły przebicia. Wtedy »Lech« stanął z pustym pistoletem... na ubezpieczeniu. Zacząłem strzelać. Pierwsza kula oślisnęła się po czole z lewej strony, druga z prawej, Danuta zaczęła się kręcić w miejscu i wrzeszczeć”.

Jak widać, konfidentka miała sporo szczęścia, a jej zabójcom zabrakło profesjonalizmu. Przez kolejne dni Wyleżyńska chodziła po Wilnie z obandażowaną głową, wcale się nie ukrywając. Nie wyjechała z miasta. Był to błąd, bo tragifarsa miała jeszcze kolejne akty.

23 czerwca 1943 r. egzekutor AK na ulicy Ostrobramskiej wpakował dziewczynie kulę w twarz. Pocisk przebił policzek, wyrwał ofierze dwa zęby i wyleciał drugą stroną twarzy. Dziewczyna padła zemdlna na chodnik, a niedoszły zabójca, przekonany, że wykonał wyrok, oddalił się z miejsca akcji. Rana nie zagrażała jednak życiu.

Danuta zginęła dopiero 7 lipca 1943 r., a wykonawcą wyroku był tytułowy bohater książki Tadeusza Balbusa – Sergiusz Kościółkowski „Fakir”. Młody i niezwykle dzielny żołnierz wileńskiej konspiracji.

Okoliczności śmierci Wyleżyńskiej były dramatyczne. Na akcję zdecydowano się bowiem kilkanaście metrów od najświętszego miejsca Polaków i Litwinów – Ostrej Bramy. Co więcej, Wyleżyńska zginęła na oczach matki, gdy obie panie wchodziły do bramy kamienicy.

„Idzie! – wspominał Kościółkowski. – Wszedłem do bramy i parę minut po mnie weszła skazana. Wiedziałem, że jest z matką. Bramka otwarta. Danuta robi kilka kroków. Nie ma na co czekać. Trrrrach! Trrrrach! Rozdzierający krzyk! To matka, która zatrzymała się na chwilę przy bramce. Dziewka nie wydała jęku i jak gromem rażona padła na cement bruku”.

No cóż, jak państwo widzą, sprawę wykonania wyroku na Danutę Wyleżyńską można uznać co najmniej za dyskusyjną. Również wśród egzekutorów AK wywołała ona mieszane uczucia. „Często nawiedzała [mnie] myśl – pisał Sergiusz Piasecki, nacowny świadek likwidacji – czy to wszystko jest sprawiedliwe? I często odzywał w jego wspomnieniach ów rozpaczliwy krzyk, który rozległ się w murach Ostrej Bramy... Krzyk matki, na której oczach zabito jej dziecko”.

ŚMIERĆ ANTYKOMUNISTY

O ile sprawę Wyleżyńskiej można uznać za kontrowersyjną, o tyle trudno znaleźć usprawiedliwienie dla najgłośniejszego wyroku wykonanego przez „Fakira”. Mowa o zastrzeleniu Czesława Ancerewicza, redaktora wydawanego w Wilnie pod okupacją niemiecką „Gońca Codziennego”.

Ancerewicz był polskim ziemianinem, patriotą i antykomunistą. W trakcie wojny 1920 r. współdziałał z polskim wywiadem na odcinku antysowieckim. W latach 20. budował siatkę Oddziału II na Litwie. Z kolei w latach 30. był dziennikarzem w Białymstoku. Do Wilna przybył w październiku 1939 r. i z miejsca związał się z lokalną siatką ZWZ.

Niestety, w 1941 r. Czesław Ancerewicz wpadł w łapska NKWD. Został aresztowany za działalność niepodległościową i osadzony na Łukiszczach. Poddano go tam ciężkiemu śledztwu. Gdy Niemcy zaatakowali Związek Sowiecki, bolszewicy wypędzili z Łukiszcz więźniów politycznych i wpakowali ich do wagonów bydłowych. Wśród nieszczęśliwych znalazł się oczywiście Ancerewicz.

Życie uratowali mu dzielni polscy kolejarze. W nocy z 23 na 24 czerwca 1941 r. odczepili oni wagony z polskimi więźniami. Pociąg NKWD odjechał na Wschód



„Goniec Codzienny” z informacją o śmierci Czesława Ancerewicza

»Warta«. – Po tym, jak [sam] obserwowałem wywózkę moich przyjaciół w 1941 roku, prawie mu uwierzyłem i naprawdę pomyślałem, że wyrok na niego musiał być jakąś pomyłką. Było mi cholernie głupio. Zameldowałem o tym wszystkim Włodkowi Leśniewskiemu, ale ten powiedział, że jest rozkaz i trzeba Ancerewicza sprzątnąć. Prosiłem, żeby mnie do tego nie wyznaczał”.
Tak, niestety w wojsku rozkazy należały wykonywać. Nawet jeżeli są niesłuszne. Dlatego nie można mieć pretensji do Sergiusza Kościalskiego. Naciskając spust, był przekonany, że „góra” wie, co robi. Nie mógł przypuszczać, że morduje niewinnego człowieka. Dobrego Polaka.

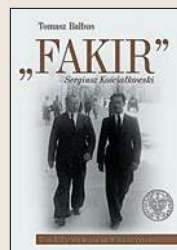
Ancerewicz zginął 16 marca 1943 r. Wracając z pracy, redaktor zaszedł do kościoła św. Katarzyny przy ulicy Wileńskiej. W kruchcie czekał już na niego „Fakir” z bronią gotową do strzału. Jak wynika ze wspomnień egzekutora, między panami doszło do krótkiej wymiany zdań. „Oznajmiłem, że z wyroku sądu Rzeczypospolitej musi zginąć – pisał Kościalski. – Słyszałem i zrozumiał. Do tego poznałem mnie. Trudno. Wszedłem na drogę walki bez pardonu i spełniłem obowiązek bez drżenia. Wysłaliśmy [z drugim żołnierzem AK] dość spokojnie. Kontrolowałem siebie”.

Według innej wersji „Fakir” miał powiedzieć do Ancerewicza dramatyczne zdanie: „Muszę Pana zabić”. Po czym wpakował w niego trzy kule. Dwie w głowę i jedną w pierś. 55-letni polski dziennikarz był bez szans. Zginął na miejscu, a krew załapała kościelną posadzkę.

„Trzeba dzisiaj zadać pytanie – pisze Tomasz Balbus – czy wykonanie wyroku śmierci na Ancerewiczu było konieczne?”. Pytanie to jest oczywiście retoryczne. Wykonanie tego wyroku było skandaliczne i jest bez wątpienia plamą na honorze wileńskiej AK. Działalność Ancerewicza w żaden sposób nie szkodziła bowiem narodowi

polskiemu. Mało tego, była dla niego bardzo korzystna, otwierała bowiem oczy na sowieckie zagrożenie. Działalność Ancerewicza była oczywiście szkodliwa. Jednak tylko dla Sowietów.

Na tym właśnie polega główna zaleta książki Tomasza Balbusa. Jej autor przedstawia zarówno blaski, jak i cienie działalności wileńskich egzekutorów. Sprawia to, że jego książka nie tylko oddaje prawdę historyczną, lecz także jest pasjonująca.



TOMASZ BALBUS
„»FAKIR«.
SERGIUSZ
KOŚCIAŁKOWSKI”
IPN 2018

■ bez niego. Ancerewicz i wielu innych polskich patriotów zostali ocaleni przed niechybną śmiercią w syberyjskich łagrach i kazamatach sowieckiej bezpieki. Niestety, bolszewicy zdążyli jednak wywieźć do Kazachstanu jedyne, ukochanego synka Ancerewicza – Bohdana.

Pod koniec lipca 1941 r. Ancerewicz został redaktorem naczelnym „Gońca Codziennego”. Wbrew późniejszym opowieściom nie była to żadna „polskojęzyczna gadzinówka”. Oczywiście „Goniec” ukazywał się za zgodą Niemców i rutynowo drukował rozmaite niemieckie komunikaty. Bardzo różnił się jednak od dzienników drukowanych w Generalnym Gubernatorstwie. „Goniec” był powszechnie czytany przez polskie społeczeństwo. Trzy czwarte łamów gazety wypełniały opisy zbrodni bolszewickich. Dziennikarze gazety publikowali bezcenne relacje i dokumenty dotyczące gehenny Polaków pod czerwoną okupacją. To właśnie na łamach „Gońca” Józef Mackiewicz opublikował swoją wstrząsającą relację z Katynia.

Na czym więc polegała „zbrodnia” Ancerewicza? Na tym, że uważał, iż w długiej

perspektywie to Związek Sowiecki jest dla Polski większym zagrożeniem niż Niemcy. Historia przyznała mu oczywiście rację. Dla sporej części działaczy antyniemieckiego podziemia pogląd taki był jednak herezją.

Do wydania wyroku na Ancerewicza doprowadziły zresztą te same „czerwone wtyczki” w AK, które spowodowały wydanie haniebnego wyroku na Józefa Mackiewicza. Tomasz Balbus w swojej książce udowadnia, że kłamstwem były

rozpuszczane później plotki, jakoby Ancerewicz był związany z niemieckimi służbami.

W książce Balbusa znalazła się niezwykle charakterystyczna relacja żołnierza egzekutywy Henryka Kopczyka „Warty”. Otrzymał on od organizacji zadanie odbicia rozmowy z przyszłą ofiarą. W jej trakcie redaktor wyjaśnił, że motywem jego działania była chęć odpięcia bolszewikom za aresztowanie żony i deportację syna. „Ancerewicz mówił przekonująco – relacjonował



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Korea Północna upadnie?

Istnienie Korei Północnej powinno być wyrzutem sumienia świata. Ten straszliwy komunistyczny reżim od kilkudziesięciu lat gnębi i terroryzuje swoich obywateli. Głodzi ich, pierze im mózgi, utrzymuje w stanie permanentnego strachu i hysterii. Tysiące Koreańczyków wypełniają cele więzienne i baraki upiornych obozów koncentracyjnych.

Niewiele lepsza jest reszta sytuacja obywateli przebywających na „wolności”. Słowo to umieściłem w cudzysłowie bo w Korei Północnej ludzi wolnych nie ma. Jest to kraj totalnego zniewolenia. Gdy Korea Południowa jest jednym z najlepiej rozwijających się, najbardziej zaawansowanych technicznie krajów świata – Korea Północna jest w stanie permanentnego kryzysu.

W ostatnich czasach na naszym rynku pojawiło się wiele ciekawych książek o Korei Północnej. Dotyczyły jednak na ogół jej operetkowego dyktatora, zbrodni koreańskiej bezpieki, łagrów lub zbrojeń atomowych. Autorzy „Tajemnic Korei Północnej” skupili się na innym – nie mniej pasjonującym problemie – życiu codziennym mieszkańców czerwonej satrapii.

Jak w kraju powszechnej inwigilacji działa czarny rynek?

Jak Koreańczycy z Północy spędzają czas wolny? Jak się ubierają? Jak mieszkają? Co jedzą? W jaki sposób przemieszczają się po swoim kraju? Jakie zmiany zachodzą ostatnio w Korei? Nie chcę państwu zbyt wiele zdradzać. Napiszę tylko, że odpowiedzi na te pytania u czytelnika z wolnego świata muszą wzbudzić zaskoczenie i zdumienie.

„Czy Korea Północna upadnie?” – pytają autorzy książki. I dają bardzo ciekawą odpowiedź. Ich zdaniem upadek komunizmu wydaje się bardzo mało prawdopodobny. Korea pójdzie raczej śladem Chin. Czyli zbankrutowany reżim zgodzi się na powolne wprowadzenie kapitalizmu. Jednak władzy nie odda.

Zresztą proces ten, jak piszą Daniel Tudor i James Pearson, już się rozpoczął. Bezwzględni dla wszelkich przejawów opozycji politycznej komuniści patrzą przez palce na powstawanie nowej grupy społecznej – kapitalistów. Mało tego, sami starają się czerpać zyski z ich działalności. Obie te grupy są powiązane wieloma mniej lub bardziej niewidocznymi nićmi.

„Najbardziej prawdopodobnym scenariuszem dla KRLD – piszą autorzy – jest stopniowe otwieranie się kraju pod rządami obecnego reżimu”.

Pożyjemy, zobaczymy. ©©



★★★★★
**DANIEL TUDOR,
JAMES PEARSON**
**„TAJEMNICE
KOREI
PÓŁNOCNEJ”**
W.A.B. 2019



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Meandry Broniewskiego

Po rozpadzie małżeństwa z Janiną Kunig Władysław Broniewski związał się z aktorką, Marią Zarebińską. Młodsza od poety o siedem lat (ur. 22 kwietnia 1904 r.) wdowa z kilkuletnią córką wprowadziła z rezygnacją mawiała, że rywalizację o jego względy przegrywa z „madame czystą wyborową”.

Przeżyła obóz, ale nigdy już nie powróciła do zdrowia

ale zdecydowała się dzielić z nim los, jednak nie zawarli małżeństwa.

Po klęsce wrześniowej Broniewskiemu udało się ściągnąć partnerkę wraz z córką (Majką) do Lwowa, gdzie wówczas przebywał, jednak nawet komunistom nie było łatwo pod władzą Sowietów. W styczniu 1940 r. Broniewski został aresztowany, a potem zesłany do Kazachstanu. W tej sytuacji Maria, po niemieckim ataku na ZSRS, wraz z córką powróciły do Warszawy. Dwa lata później aktorka została aresztowana za pomoc Żydom i trafiła do Auschwitz.

Przeżyła obóz, ale nigdy już nie powróciła do zdrowia. Prześladowały ją choroby, pojawiły się problemy z sercem, aż wreszcie zdiagnozowano białaczkę. Broniewski załatwił jej pobyt w klinice Hirslanden w Zurychu, ale tamtejsi lekarze nie dawali szans na wyzdrowienie. Zmarła w lipcu 1947 r.

Jej choroba była jednak okazją dla władz PRL, gdyż zmusiła Broniewskiego do zdobywania finansów na leczenie. Chociaż sam poznał uroki sowieckiego komunizmu, w tej sytuacji nie zadawał pytań i potulnie realizował polecenia. Jak trzeba było poprzeć referendum, to namawiał do tego społeczeństwo. Pisał o górnikach, hutnikach i chłopach, maszerował na czele pierwszomajowych pochodów. Podczas spotkań z czytelnikami recytował rewolucyjne wiersze i nie wspominał o sowieckim więzieniu czy zesłaniu.

Adoptował Majkę, ale zajmowała się nią Janina, wraz ze swoim mężem, gen. Leonem Bukojemskim. Razem wychowywali się też Anka (córka Janiny z Broniewskim) oraz Staś, syn Broniewskiej z innego związku. Stosunki pokrewieństwa były tak skomplikowane, że sam Bukojemski miał z tym problemy. Gdy musiał pójść na wywiadówkę Majki (Broniewska miała zebranie partyjne), zastanawiał się, jak ma przedstawić swoje powiązania z dziewczynką. W zamian usłyszał, że ma powiedzieć, że „Majka to córka drugiej żony pierwszego męża jego żony i jej pierwszego męża”.

Majka (Maria) została aktorką, wyszła za mąż za krytyka, reżysera i scenarzystę Lecha Pijanowskiego. Jej synem jest Wojciech Pijanowski – autor i prezenter wielu teleturów telewizyjnych z „Kółem fortuny” na czele. Wynika zatem, że pan Wojciech jest wnukiem Broniewskiego, z czego mało kto zdaje sobie sprawę. ©©



FOT. CRISTIANO MINICHIELLO/EAST NEWS

Dumny populistą



Olivier Bault

W mediach społecznościowych cieszy się większą popularnością od Macrona i Merkel. Nie obraża się, gdy nazywa się go populistą. Matteo Salvini staje się najpopularniejszym prawicowym politykiem w Europie. Kim jest wicepremier Włoch?

Gdy latem ubiegłego roku amerykański konserwatywny katolik Steve Bannon, były szef kampanii prezydenckiej i były specjalny doradca Donalda Trumpa, ogłosił powstanie fundacji The Movement (Ruch) w celu wspierania populistycznych ruchów prawicowych w całej Europie, stawiał jako wzór udanej strategii zdobywania władzy drogę przebytą przez Matteo Salviniego. Jego zdaniem scenariusz włoskiego lidera można powtórzyć w innych krajach kontynentu za pomocą podobnych metod. A sukces Salviniego jest rzeczywiście imponujący. Na przestrzeni niecałych pięciu lat przekształcił regionalną partię Ligę Północną, cieszącą się poparciem 4 proc. włoskich wyborców, w ogólnokrajową Ligę, na którą głosowałoby dziś, według wszystkich sondaży, ponad 30 proc. Włochów.

W wyborach parlamentarnych z marca 2018 r. Liga zaskoczyła obserwatorów, wyprzedzając centrowprawicową partię Forza Italia byłego premiera Silvia Berlusconi: osiągnęła wynik 17,35 proc. (do 14 proc. dla Forza Italia) i stała się tym samym pierwszą siłą na prawicy. Koalicja wyborcza, składająca się z Ligi, Forza Italia, narodowców z Fratelli d'Italia (Bracia Włochy) oraz niewielkiej liberalno-konserwatywnej partii chadeckiej Noi con l'Italia – UDC, z ogólnym wynikiem 37 proc., nie zdobyła jednak wystarczającej liczby miejsc w parlamencie, aby móc rządzić samodzielnie. Najwięcej głosów oddanych wówczas na pojedynczą partię zdobył antysystemowy, lewicowo-liberalny Ruch Pięciu Gwiazd (M5S) Luigi Di Maio z wynikiem 32,68 proc., lecz również nie był w stanie utworzyć samodzielnego rządu. Po kilkumiesięcznych pertraktacjach doszło więc na początku czerwca 2018 r. do powstania koalicji rządowych prawicowych i lewicowych populistów, tj. Ligi i M5S, w którym nominalnym premierem jest Giuseppe Conte, ale gdzie faktyczną władzę sprawują obaj wicepremierzy – minister spraw wewnętrznych Matteo Salvini i minister

rozwoju gospodarczego, pracy i polityki społecznej Luigi di Maio.

DROGA LIDERA

W regionach i miastach funkcjonuje jednak prawicowa koalicja Ligi z Forza Italia Silvia Berlusconi i Fratelli d'Italia Giorgii Meloni, która od roku zwycięża niemal we wszystkich wyborach samorządowych, zdobywając kolejne bastiony lewicy. W dużej mierze dzieje się tak dzięki popularności samej Ligi. Ta, mając w parlamencie dwa razy mniej posłów niż M5S, zdaje się dominować w rządzie, w którym Salvini jawi się często jako rzeczywisty premier. Jednocześnie partia Salviniego utrzymuje się na wysokim 30–35-procentowym poziomie w sondażach i mogłaby liczyć na utworzenie koalicji prawicy pod jej przywództwem po ewentualnych przyspieszonych wyborach. Natomiast partia Di Maio, mogąc liczyć już tylko na nieco ponad 20 proc. głosów, miałaby bardzo dużo do stracenia, gdyby rząd Contego miał się rozpaść. W przypadku Ligi popularność partii jest bardzo mocno związana z osobą jej lidera, którego często witają entuzjastyczne tłumy i który od dawna lubi pokazywać się w telewizji i umiejętnie oraz bardzo aktywnie posługuje się mediami społecznościowymi do bezpośredniej komunikacji z wyborcami. Profil na Facebooku utworzył już jako radny Mediolanu w 2010 r. Dzisiaj jako wicepremier i minister spraw wewnętrznych Włoch jest europejskim liderem z największą liczbą fanów: ponad 3,5 mln, podczas gdy kanclerz Niemiec Angela Merkel miała ich ok. 2,5 mln, kiedy postanowiła zamknąć swój oficjalny profil na przełomie stycznia i lutego br., a profil prezydenta Francji Emmanuel Macrona lubiło na początku kwietnia zaledwie 2,3 mln użytkowników Facebooka.

„Jeśli chodzi o motywowanie zastępów Ligi, Salvini odgrywa rolę podobną do Trumpa, zdolnego przyciągać wielkie tłumy i wzbudzać entuzjazm republikańskiej bazy. Od Castelrotto w prowincji Bolzano do Foggii, od Pradamano w Friuli do sy-

cylijskiej Modica, obecność, która się liczy, to obecność lidera, jeszcze bardziej niż lokalnych kandydatów” – pisze w książce „Fenomeno Salvini. Chi è, come comunica, perché lo votano” („Fenomen Salviniego. Kim jest, w jaki sposób komunikuje się, dlaczego na niego głosują”) Lorenzo Pregliasco, współzałożyciel portalu internetowego YouTrend oraz instytutu badania opinii publicznej Quorum.

Do ówczesnej Ligi Północnej urodzony w 1973 r. Salvini wstąpił już w 1990 r. W 1993 r., mając 20 lat, dostał się z listy tego ugrupowania do rady miejskiej Mediolanu – stolicy Lombardii. W 1997 r. startował do utworzonego przez separatystyczną Ligę Północną tzw. Parlamentu Padanii z listy Komunistów Padanii, ale szybko odwrócił się od ideologii skrajnej lewicy działającej wewnątrz ówczesnej partii Umberto Bossiego, której cała nazwa brzmiała: Liga Północna na rzecz Niepodległości Padanii. Od 1998 r. Matteo Salvini był także sekretarzem partii w prowincji Mediolanu. W latach 2004–2006 był posłem do Parlamentu Europejskiego, z której to posady zrezygnował na rzecz swojego zastępcy, aby wrócić do rady miejskiej Mediolanu i stać się przewodniczącym grupy Ligi Północnej w radzie miasta oraz wicesekretarzem Ligi Lombardzkiej (największego ugrupowania wchodzącego w skład Ligi Północnej). W 2008 r. został wybrany do włoskiej izby deputowanych, którą opuścił w 2009 r. po wygranej w wyborach do Parlamentu Europejskiego. Trzy lata później stał się sekretarzem generalnym Ligi Lombardzkiej i pod koniec 2013 r. wygrał prawybory na stanowisko sekretarza federalnego Ligi Północnej, starując przeciwko uwikłanemu w skandale historycznemu liderowi partii Umberto Bossiemu.

Pod przywództwem Salviniego Liga Północna stopniowo zrezygnowała z haseł separatystycznych na rzecz walki o suwerenność Włoch, opuszczenia strefy euro, obrony rodziny, walki z przestępczością i masową imigracją oraz sojuszu z francuskim Frontem Narodowym, austriackim FPÖ i innymi partiami kontynentu, działającymi pod sztandarem obrony Europy narodów. Pozwoliło to Lidze Północnej zwrócić się o głosy do wyborców z południa Włoch, najpierw za pośrednictwem specjalnie utworzonej partii Noi con Salvini (My z Salvinim), a następnie, przed wyborami z 2018 r., rezygnując z przydomka Północna w nazwie Ligi.



– Jestem katolikiem, choć wielkim grzesznikiem – powiedział o sobie lider włoskiej Ligi w wywiadzie udzielonym w sierpniu 2015 r., w którym nazywał ówczesnego sekretarza Konferencji Episkopatu Włoch, bp. Nunzio Galantina, „komunistą”, sugerując, że gdy ten go atakuje, chodzi mu głównie o obronę lukratywnego biznesu prowadzonego przez część Kościoła w związku z przyjmowaniem nielegalnych imigrantów. – Papież jest na zbyt wysokim poziomie, żebym mógł go osądzać, ale jeśli jakiś biskup chce uprawiać politykę, to niech oczekuje reakcji, na które zasługuje – dodał Salvini, wypowiadając się na temat „biskupa komunisty”. W lutym 2018 r., stojąc przed tłumem na wiecu Ligi przed nadchodzącymi wyborami parlamentarnymi, lider Ligi wyjął różaniec, Ewangelię oraz egzemplarz konstytucji i przysiągł: „Zobowiązuję się i przysięgam, że będę wierny mojemu narodowi, 60 mln Włochów, że będę im służył uczciwie i odważnie. Przysięgam, że będę stosować naprawdę włoską konstytucję, przez wielu ignorowaną, i przysięgam, że będę tak czynić z poszanowaniem nauki zawartej w tej świętej Ewangelii”. Tym występem rozżościł niejednego włoskiego biskupa, w tym Nunzio Galantina oraz lokalnego biskupa Mediolanu, niegdyś siedziby św. Ambrożego, według którego „na wiecach wyborczych powinno się mówić o polityce” (a nie o wierze czy o świętej Ewangelii).

WŁOSKI TRUMP?

„To świat na odwrót – napisał na łamach gazety *Libero Quotidiano* katolicki dziennikarz Antonio Succi, znany ze swojego krytycznego stosunku do papieża Franciszka i do współczesnego włoskiego Kościoła – na placu Piazza Duomo w Mediolanie widzieliśmy wszystko w ostatnich latach: czerwone flagi na manifestacjach komunistów, zgromadzenia LGBT z tęczowymi flagami, a nawet muzułmańskie tłumy, modlące się do Allaha twarzą do Mekki. Natomiast to, co zachęciło »ambrożjańskiego« biskupa do tego, by z naddźwiękową prędkością wyrazić swoje oburzenie, to »grzech«, którego dopuścił się Matteo Salvini, odwołując się do Ewangelii, zwłaszcza kiedy wykorzystał słowa Jezusa o tym, że »ostatni będą pierwszymi«, mówiąc o Włochach, którzy dziś są traktowani jak obcy we własnym kraju”.

Matteo Salvini otwarcie przyznaje się do wiary chrześcijańskiej, co nie jest tak częste wśród dzisiejszych liderów

politycznych Zachodu. Stąd też konserwatywne na tle polityków włoskich poglądy na temat rodziny i prawa do życia. Chociaż zapewnia, że nie zamierza podważać ustawy, która zalegalizowała aborcję we Włoszech w 1978 r., jest zwolennikiem polityki zachęcającej kobiety do rodzenia dzieci zamiast ich zabijania, jest przeciwnikiem „homomałżeństw” oraz legalizacji in vitro i matek surogatek dla homoseksualistów. Na stanowisko ministra ds. rodzin i osób niepełnosprawnych Liga Salviniiego wytypowała Lorenzo Fontana, znanego ze swojego bardzo negatywnego stosunku do aborcji, z poglądów prorodzinnych i konserwatywnych, a także z tego, że jako katolik regularnie uczestniczy we mszy trydenckiej.

Życie rodzinne sam Matteo Salvini ma co prawda niezbyt uporządkowane z punktu widzenia nauki Kościoła i pod tym względem bardziej przypomina amerykańskiego prezydenta Donalda Trumpa niż np. węgierskiego premiera Viktora Orbána, z którym łączy go zamiłowanie do piłki nożnej (gorliwie kibicuje drużynie AC Milan). Matteo Salvini ożenił się w 2003 r. z dziennikarką Fabrizią Ieluzzi, z którą ma syna i z którą się rozwiódł po dwóch latach. Później żył przez pewien czas z prawniczką Giulią Martinelli, z którego to związku w 2012 r. urodziła mu się córeczka, a w latach 2015–2018 był zaangażowany w związki z prezydentką telewizyjną. Jego katolicka wiara nie przekłada się zresztą na regularne uczestnictwo we mszy świętej i można raczej go określić mianem „katolika niepraktykującego”. Trochę jest w jego postawie przywiązania do włoskiej tradycji i tożsamości, w której docenia bardzo istotny wkład chrześcijaństwa. Niemniej jego relacje z Kościołem instytucjonalnym we Włoszech i z Watykanem są konfliktowe.

Paradoks sytuacji tak opisywał Antonio Succi na początku grudnia ub.r.: „Podczas gdy Matteo Salvini zapełnia Piazza del Popolo w Rzymie, gdzie wspomina święto Niepokalanej i cytuje De Gasperiiego oraz Jana Pawła II [...], kościelna biurokracja konferencji episkopatu Włoch (CEI) organizuje krucjatę przeciwko Lidze Salviniiego”. Ostra krytyka ze strony Kościoła i Watykanu, która wykazuje się pod pontyfikatem Franciszka większym zrozumieniem dla zwolenników aborcji i „homomałżeństw” niż dla tych, którzy chcą zatrzymać masową nielegalną imigrację z południa, to kolejny element obok związków z pięknymi kobietami i wiary niepraktykującego chrześcijanina, który

upodabnia Matteo Salviniiego do postaci Donalda Trumpa.

LIDER

Amerykański prezydent stał się zresztą dla Salviniiego i Ligi punktem odniesienia po jego wygranej w wyborach z 2016 r. Wcześniej taką inspiracją były Francuzka Marine Le Pen i Front Narodowy. Role się jednak odwróciły w stosunkach z Frontem po porażce Le Pen w wyborach z 2017 r. we Francji i po utworzeniu we Włoszech rządu koalicyjnego: to dzisiejsze Zjednoczenie Narodowe (RN) Marine Le Pen stawia Ligę za wzór do naśladowania. W tym czasie Matteo Salvini stał się de facto liderem tzw. populistycznej prawicy w Europie i głównym przeciwnikiem francuskiego lewicowo-liberalnego prezydenta Emmanuela Macrona, co przyczyniło się na gwałtowne pogorszenie stosunków między Włochami a Francją, tym bardziej że Salvini chętnie odpowiada na wielotysięcznych wiecach lub za pośrednictwem mediów tradycyjnych i społecznościowych na ataki słowne Macrona. Salvini wykorzystuje te ataki, aby przedstawiać francuskiego prezydenta jako człowieka elit, podczas gdy on sam mówi o sobie jako o obrońcy interesów ludu, czyli po łacinie „populus”. Stąd Salviniemu i jego partii nie przeszkadza łatka „populistów” gdyż w ich oczach oznacza właśnie to, że stoją po stronie ludu i realizują jego wolę na przekór elitom.

Jednym słowem, populiści to prawdziwi demokraci. Tym samym Liga Salviniiego stosuje porady Amerykanina Steve’a Bannona, człowieka uważanego za jednego z architektów zwycięstwa Donalda Trumpa, który na konwencji francuskiego Frontu Narodowego w marcu 2018 r. nawoływał właśnie do tego, aby jawnie przyznawać się do populizmu. Jak to mówił sam Salvini w grudniu 2017 r. przed wyborami parlamentarnymi: „Renzi [były lewicowy premier – przyp. red.] mnie zaatakował i powiedział, że jestem populistą: tak, jestem z tego dumny, jeśli bycie populistą oznacza być wśród ludzi i starać się rozwiązywać ich problemy”. A na temat Unii Europejskiej dodał: „Jeśli ta Europa nie działa, to trzeba ją zmienić. A jeśli nie chce się zmienić, to należy się z nią pożegnać”. Na razie w ramach koalicji z Ruchem Pięciu Gwiazd zrezygnował z opuszczenia strefy euro i próbuje zmieniać Unię Europejską. Czy mu się to uda, czas pokaże.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

W krainie nonsensu



Teresa Stylińska

Chociaż zwolenników poprawności powszechnie cechuje brak poczucia humoru, to ich poczynania kryją w sobie ogromny potencjał... rozweselania

Na świecie pojawiają się rodziny, które starają się wychowywać swoje dzieci neutralnie pod względem płci. Na zdjęciu dzieci z rodziny Gloriosso-Mays z USA. Ubrany na różowo chłopiec ma kwiatek we włosach, a dziewczynka przebrana jest za strażaka

FOT. CALLIE GLORIOSO-MAYS/MEDIADRUUM/EAST NEWS





Zanim zmieni się niemowlęciu pieluszkę, wypada poprosić je o zgodę. Dziwne? Nie dla Australijki Deanne Carson, edukatorki w zakresie seksualności. Pani Carson, która zajmuje się „kształtowaniem kultury przyzwolenia”, wie oczywiście, że maleńkie dziecko nie może powiedzieć, iż, owszem, myśl o czystej pieluszcze bardzo mu się podoba. Jednak zapytać trzeba. „Na przykład – tłumaczy – należy powiedzieć: »Teraz zmienię ci pieluszkę, dobrze?«. Dziecko nie odpowie, ale kontakt wzrokowy i mowa ciała działają i dziecko będzie wiedziało, że jego odpowiedź się liczy”.

Parę lat temu redakcja ukazującej się w Szwecji internetowej gazety „The Local” przed Dniem Kobiet wpadła na pomysł zbadania tego, jak w ambasadach w Sztokholmie respektowana jest zasada równości płci. Wyniki przeszły wszelkie oczekiwania. Okazało się, że na delikatnym polu równości genderowej nie przodują ani Norwegia, ani Hiszpania, ani żaden inny kraj z awangardy postępu, lecz... Albania. W albańskiej ambasadzie, jak z entuzjazmem obwieściła gazeta, panuje idealna równość: pół na pół. Pracowały w niej bowiem dwie osoby, mężczyzna i kobieta: ambasador i jego sekretarka.

SYNOWIE W ODWRÓCIE

Gdy kobieta odmiennej orientacji rozgląda się za partnerką, powinna patrzeć kobietom na ręce. Jeśli palec serdeczny i wskazujący różnią się długością, jest szansa, że ich posiadaczka okaże się lesbijką. Jednak liczy się tylko lewa dłoń! Długość palców dłoni prawej dla orientacji seksualnej jest bez znaczenia. Takie praktyczne, utrzymane w duchu czasów wnioski sformułowali badacze z angielskiego University of Essex.

Absurdalne? Bez wątplenia – ale przy tym śmieszne. Niby nic w tym dziwnego, bo różne przecież rzeczy próbowano badać, wiązać ze sobą, formułować zalecenia. W tym jednak przypadku dodatkowego smaczku dodaje śmiertelna powaga, z jaką niemądre enuncjacje są komunikowane szerokiej publiczności. Okazuje się, że równie dobrze, a może nawet lepiej bawi to, co wcale nie miało być żartem.

Dziedziny, jakich poczynania te dotyczą, są dość oczywiste: to równość płci, sfera LGBT, ale także wychowywanie dzieci w nowym duchu, ochrona środowiska i klimatu, która powoli staje

się nową religią, i obrona praw zwierząt, która wcale nie tak rzadko przybiera formy wręcz karykaturalne. Kraina absurdu przekształca się wówczas w świat bezmyślnego okrucieństwa. Tak było z pomysłem, by w Australii wybić część stad bydła – bo krowy, wypuszczając do atmosfery, w dobrze wiadomy sposób, znaczne ilości siarkowodoru, potęgują ocieplanie się klimatu!

Australijskie krowy przetrwały zagrożenie, ale nie każde zwierzę ma tyle szczęścia. Parę lat temu w kopenhaskim ogrodzie zoologicznym uśpiono młodą, zdrową żyrafę, bo, zdaniem dyrekcji, nie była wystarczająco wartościowa z hodowlanego punktu widzenia. Wcale nie jest śmiesznie, gdy dyrektor Bengt Holst mówi, że jego zoo „ma już żyrafy o podobnym wyposażeniu genetycznym, a inne ogrody potrzebują żyraf o bardziej wartościowych genach”, a jego pracownik tłumaczy, jak to dobrze, że publiczność, w tym wiele dzieci, mogła przyglądać się ćwiartowaniu zwierzęcia i karmieniu lwów jego mięsem. „Jestem – powiedział BBC – naprawdę dumny, że mogliśmy zapoznać dzieci z anatomią żyrafy, bo inaczej by jej nie poznały”.

W świecie nonsensu panuje jasna hierarchia: obok kwestii pierwszej wagi, takich jak ekologia, równość i LGBT, są rzeczy mniej znaczące, które, gdy wymaga tego sytuacja, wolno i nawet należy poświęcić na ołtarzu spraw fundamentalnych. Zresztą rozmaite kwestie i aspekty misternie się ze sobą spletają. Również w warstwie językowej. Jeśli w Hiszpanii z metryk urodzenia zniknęli „matka” i „ojciec”, to dlatego, że na tak archaiczne słownictwo nie ma miejsca w świecie, w którym dzieci może mieć para homoseksualistów. „Rodzic A” i „rodzic B” o wiele lepiej spełniają wymogi nowych czasów, czyż nie?

Nie tak dawno temu hitem medialnym stała się informacja, że przeżegnanie się „W imię Ojca i Syna...” jest niewłaściwe, bo narusza zasadę równości. W nowym, feministycznym wydaniu miało ono brzmieć: „W imię Ojca i Syna, Matki i Córk...” Nowa forma nie zyskała chyba zbyt wielu zwolenników, bo jakoś szybko o niej zapomniano. Chociaż sama idea lingwistycznego zrównoważenia przewagi ojców, synów i braci nad matkami, córkami oraz siostrami ma się doskonale. W Kanadzie zmieniono właśnie jedną linię hymnu narodowego. „Patriotyczną miłość wszystkich twoich synów”

zastąpiła „patriotyczna miłość nas wszystkich”.

WSPANIAŁE SŁOWO „RÓWNOŚĆ”

Zwolennicy postępu mają przeogromne pole do popisu szczególnie w kwestii równości. Zrównywać bowiem należy wszystkich ze wszystkimi: kobiety z mężczyznami, młodych ze starymi, białych z czarnymi, ludzi o – powiedzmy ogólnie – zwyczajnej orientacji z „nieheteronormatywnymi”, jak każde mówić poprawność, sprawnych z niesprawnymi. Poza tym równość musi być wszędzie – w pracy, w rodzinie, w małżeństwie.

Prawdziwy kanon stanowi oczywiście równość płci. Jednak zwykła walka z dyskryminacją to tylko ułamek problemu, w dodatku nieco przestarzały. Dzisiaj w modzie jest kształtowanie w ludziach poczucia, że wszystko jest przed nimi otwarte, wszystko dostępne i żadna tam płęć, zwłaszcza tradycyjna (bo w paru postępowych krajach wpisuje się już w dokumentach tzw. trzecią płęć), nie będzie im stać na przeszkodzie.

Zabiegi tego rodzaju należy zaczynać jak najwcześniej. Tak postąpiła pewna szwedzka rodzina, która swe dziecko, neutralnie nazwane Pop, od urodzenia wychowuje jako istotę bezpłciową. Jego płęć znają tylko najbliżsi. Rodzice Pop czy też może Popa uważają, że dzięki takiemu wychowaniu ich latorośl uniknie wtłoczenia w stereotypowe ramy ról przypisanych każdej z płci.

Dyrekcja sztokholmskiego przedszkola Egalia, „neutralnego genderowo” – co oznacza, że płęć dziecka nie ma w nim znaczenia – nie posuwa się aż tak daleko. W Egalii chłopcy wiedzą, że są chłopcami, a dziewczynki – że dziewczynkami, ale w codziennej praktyce różnice między nimi są starannie zamazywane. Zaimków osobowych w ogóle się tu nie stosuje. Co w zamian, skoro nie można być ani „nim”, ani „nią”? W użyciu są bezosobowy zaimek „hen”, zapożyczony z języka fińskiego, w którym nie ma rozróżnienia rodzajów, albo zbiorowe słowo „przyjaciele”. Zabawki są przemieszane, stroje dowolne – jeśli chłopiec chce chodzić w sukience, czemu nie? – a książki uważnie dobrane. W okaleczonej bibliotece nie ma miejsca dla postaci, które nie są „neutralne genderowo”, takich jak Kopciuszek czy jego książę.

Absurdalne zamazywanie różnic między dziećmi wkracza również do handlu. Feministkom nie podoba się, że w sklepach ubranka są umieszczane osobno –

„dla chłopców” i „dla dziewczynek”. Innym nie w smak jest kolorystyka. Dlaczego ubrania i zabawki dziewczynek tak często są różowe, a chłopców niebieskie? No i nadruki. Brytyjską firmę odzieżową Boden ostatnio skrytykowano za nadruki na T-shirtach, bo na chłopięcych widniał napis „Genius”, a na dziewczęcych „It’s cool to be kind” („Fajnie jest być miłą”). Cemuż to dziewczynki nie mogą być genialne, a chłopcy mili?

Od pewnego czasu aktywiści genderowi zgodnie zgłaszają też pretensje do Lego, bo, ich zdaniem, zabawki Lego „utrwalają stereotypy związane z płcią”. W jaki sposób? Zestawy klocków do zbudowania kuchni czy skonstruowania urządzeń domowych są sprzedawane jako zabawki dla dziewczynek. Dla chłopców natomiast przeznaczone są rozmaite zestawy przygodowe, wymagające uruchomienia wyobraźni. Skoro Lego włącza dziewczynki w tradycyjne role, a poprzeczkę ustawia niżej niż chłopcom, to popełnia grzech ciężki seksizmu.

W krainie nonsensu seksizm jest stale obecny za sprawą tych, którzy czują się w obowiązku go zwalczać. Bronią w tej walce są przepisy i nachalna propaganda, a jedno z głównych pól bitewnych stanowi reklama, która, zdaniem genderowców, ma przemożny wpływ na to, jak ludzie widzą siebie i swe miejsce w świecie. Czy kobieta powinna krzątać się po domu, podczas gdy mężczyzna zażywa relaksu? Czy powinna podawać mu obiad? Z brytyjskich ekranów już wkrótce znikną sceny tak naganne, bo w czerwcu wchodzi w życie przepisy zakazujące seksizmu w reklamie. Nie wolno będzie pokazywać ani kobiety nieudolnie parkującej samochód, ani mężczyzny, który nie potrafi przewinąć dziecka. Tak pojmowana reklama to prawdziwe narzędzie inżynierii społecznej.

Czy fakt, że Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji zamierza zlecić zbadanie wizerunku kobiety w polskich serialach telewizyjnych, to sygnał, że groźna choroba dociera już do Polski? Celem analizy, jak informuje KRRiT na swej stronie internetowej, jest określenie, na ile obraz kobiety w serialach „potwierdza lub zaprzecza stereotypom dotyczącym płci i ról społecznych”. Oby nie był to wstęp do przyjęcia postępowych regulacji.

MODLITWA ZA KSIĘCIA JERZEGO

Prawdziwą perełką wśród nonsensów jest apel, z którym do anglikanów zwrócił się proboszcz katedry Szkockiego Ko-

ścioła Episkopalnego w Glasgow. Kelvin Holdsworth pragnie, by mały książę George, pięcioletni dziś prawnuk Elżbiety II, wyrósł na geja! Duchowny wzywa wiernych, by też się o to modlili, bo dzięki temu Kościół Anglii może wreszcie uznać małżeństwa osób tej samej płci. George, jeśli po swym dziadku Karolu i ojcu Williamie obejmie kiedyś tron, będzie przecież tego Kościoła głową.

Apel księdza Holdswortha – który nie działa sobie a muzom, bo sam jest homoseksualistą – pozostawił bardzo złe wrażenie. „Życzyc księciu czegoś takiego i prosić w tej sprawie o modlitwę – to nie po chrześcijańsku” – zauważył Gavin Ashenden, były kapelan królowej.

Druga perełka ze sfery LGBT to już nie zwykły, może nawet zabawny absurd, lecz czysta kpina z rozumu. Na tym świecie nie brakuje rzeczy zdumiewających, takich jak osławione unijne definicje, według których rak może być

dziwy dramat zaczął się wtedy, gdy Penka wróciła. Ponieważ przybyła do Bułgarii z kraju nienależącego do Unii Europejskiej i w dodatku bez paszportu, jaki muszą posiadać podróżujące zwierzęta, czekała ją obowiązkowa eutanazja. Ostatecznie wyrok cofnięto, ale gdyby nie międzynarodowa kampania w jej obronie, swą niewinną eskapadę Penka z pewnością przypłaciłaby życiem.

Najwięcej nieprzyjemności spotyka jednak koty. Drapieżcy – wszyscy, nie tylko ci piętnowani w ramach akcji #MeToo – nie mają dziś łatwego życia. Są pod pretekstem, bo uparcie polują na ptaki i drobną zwierzynę, a to jest zbrodnia ekologiczna. Gorliwi obrońcy środowiska wzięli więc koty na cel, sugerując – w Szwajcarii, w niektórych dzielnicach Sydney – nałożenie im kagańca w postaci godziny policyjnej. Ponieważ koty lubią polować w nocy, od zmroku do rana należy trzymać je pod kluczem.

Prawdziwą perełką wśród nonsensów jest apel proboszcza katedry Szkockiego Kościoła Episkopalnego w Glasgow. Duchowny wzywa wiernych, by modlili się o to, aby prawnuk Elżbiety II, pięcioletni dziś książę George, wyrósł na geja

rybą, a marchewka owocem. Stwierdzenie, z pełną powagą, że chłopcy mogą miesiączkować, to jednak absolutna nowość! Tymczasem takie właśnie nauki mają pobierać uczniowie szkół podstawowych w Brighton, najbardziej znanym brytyjskim kurorcie. Jego władze zobowiązały nauczycieli, by sprawy fizjologii, w tym menstruacji, omawiali z uczniami „w sposób, który będzie obejmował uczniów każdej płci”. W tym dość pokrętnym stwierdzeniu kryje się wgląd na młodzież transseksualną – bo miesiączkujące dziewczęta mogą przecież w głębi duszy czuć się chłopcami.

NIE DLA KOTÓW!

Obraz krainy nonsensu nie byłby pełny, gdybyśmy pominęli zamieszkujące ją zwierzęta. One same nie mają wprawdzie poczucia absurdu, ale za to aż nadto często bywają obiektem absurdalnych zabiegów. Tak jak bułgarska krowa Penka, która przed rokiem miała nieszczęście wyrwać się z pastwiska i przez zieloną granicę powędrować do Serbii. Właściciel miał rzecz jasna powód do zmartwienia, ale praw-

To i tak nic w porównaniu z pomysłem, na który wpadły władze nowozelandzkiego miasteczka Omaui. Powodowane troską o miejscowe gatunki zagrożone podobno wyginięciem zdecydowały, że w mieście w ogóle ma nie być kotów. Nie znaczy to, że tym, które tam żyją, grozi niezwłoczne uśmiercenie. Jednak po naturalnej śmierci kota jego właściciel już nie otrzyma zgody na posiadanie nowego.

Na koniec, tytułem puenty, zwróćmy uwagę na interesujący paradoks: choć ideologów i ideolożki (żeby nie było seksistowsko) poprawności powszechnie cechuje brak poczucia humoru, ich poczynania kryją w sobie ogromny potencjał: rozweselania. Ten aspekt ujawnia się mimochodem i raczej nie autorom, którzy nie dostrzegają absurdalności swych pomysłów i działań. Jednak ich wkład w tworzenie sytuacji, których nikt by nie wymyślił, i dobieranie argumentów, które zwykłym ludziom nie przyszłyby do głowy, jest naprawdę imponujący. Przy najmniej w ten sposób ideologia poprawności może na swym koncie zapisać jakiś plus.



IMIGRANCY UWIERZYLI W INTERNETOWĄ PLOTKĘ

Tysiące Irańczyków i Afgańczyków zjawili się w Turcji przy granicy z Grecją. Tylko w jednym mieście – Edirne – w kilka dni policja zatrzymała blisko tysiąc migrantów. Dotarli do granicy, bo uwierzyli, że zostanie otwarta i będą mogli swobodnie przejść do UE. Według tureckich mediów migranci wzięli za prawdziwą plotkę rozpowszechnianą przez jeden z portali społecznościowych. Chętni do wkroczenia do Europy zgromadzili się także przy granicy grecko-macedońskiej. Tam doszło do starć z policją.

FOT. MURPHOTO/GETTY IMAGES

PORADNIK: JAK BIĆ ŻONĘ

Na portalu YouTube zamieszczono nagranie, w którym socjolog z Kataru – Abd Al-Aziz Al-Khazraj Al-Ansari – radzi, jak dyscyplinować małżonkę. Zaznacza wprawdzie, że nie należy za często bić żony, ale od czasu do czasu należy pokazać jej męskość i siłę. Katarczyk uważa bowiem, że tak naprawdę kobiety lubią męską dominację. Wśród szczegółowych wskazówek znalazło się pouczenie, żeby przy biciu żony raczej omijać twarz.

DWA LATA ZA OBRAŻANIE NA FACEBOOKU

Brytyjka Laleh Shahravesh podjęła kilka złych decyzji. Po pierwsze, wyszła za mąż w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Po drugie, rozstała się z mężem i wróciła do Wielkiej Brytanii. Następnie zobaczyła, że jej były mąż ma nową partnerkę i obraziła ją wpisami na Facebooku. Później – gdy były mąż zmarł – pojechała do Dubaju na jego pogrzeb. Została tam zatrzymana za swoje wpisy w Internecie sprzed trzech

lat, ponieważ w ZEA za znieważanie osób w sieci grozi kara do dwóch lat więzienia.

WEGETARIANIE W WIĘZIENIU

Wegetarianie z Francji przez kilka miesięcy atakowali sklepy mięsne, restauracje oraz rzeźnie. 23-latek i 26-lątka zostali skazani na kary więzienia (odpowiednio – 10 i sześć miesięcy). Dwóm kolejnym wegetariańskim bojownikom wymierzono kary więzienia w zawieszeniu za podżeganie do takich czynów.

UNIKNĘLI KARY, BO SĄ ZBYT PODOBNI

Cztery lata temu w belgijskim Leuven doszło do bójki. Jeden z braci bliźniaków okładał mężczyznę, drugi próbował go powstrzymać. Sąd nie wymierzył kary, ponieważ na zabezpieczonym przez policję nagraniu z monitoringu nie można było ustalić, który z braci bił, a który starał się powstrzymać przemoc. Są tak podobni, że nie mogła tego wskazać też w sądzie nawet najbliższa rodzina. © ©

Łukasz Zboralski



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Broniarz kopie rów

Obserwując zachowanie Sławomira Broniarza w pierwszych dniach strajku nauczycieli, można dojść do wniosku, że jest jak szaleniec, który podpalił swój dom, zaczynając od wejścia. Gdy zajmują się kolejne pokoje, korytarze i ogień dociera na piętro, gdzie się schował, tylko coraz głośniejsze się śmieje i co jakiś czas polewa płomienie benzyną.

Skąd takie porównanie? Stosunkowo niewiele przy okazji protestu nauczycieli mówi się o kwestii kluczowej dla sprawnej i efektywnej szkoły: o zaufaniu między nauczycielami, rodzicami i uczniami. Owszem, są ludzie,

którzy uważają, że nauczyciele mają prawo do każdej formy protestu. Albo doszli do tego po jakichś przemyśleniach, albo jest to skutek ich niechęci wobec obecnej władzy i pochwałą wszystko, co jej szkodzi, nawet jeśli potężnie szkodzi też im samym i ich dzieciom.

Jednak mnóstwo rodziców dzieli stresy własnych dzieci, zwłaszcza tych zdających egzaminy. Nauczyciele te stresy spotęgowali i – jakkolwiek by temu zaprzeczali – faktycznie potraktowali uczniów jak zakładników swojej wojenki o pieniądze. Wojenki pewnie w jakimś stopniu zasadnej, ale prowadzonej metodami wyjątkowo wrednymi.

Kiedy Broniarz – zawodowy związkowiec, od pięciu kadencji żyjący nie z nauczycielskiej, ale związkowej pensji – komentuje obecność na egzaminach osób z uprawnieniami, które zgłosiły się do pomocy, stwierdzeniem, że uprawnienia nauczycielskie mogą mieć także pedofile, lub kiedy powiada, że egzaminy nie zakłóciły akcji strajkowej, kopie między rodzicami oraz częścią uczniów a nauczycielami głęboki rów. Jemu jest wszystko jedno, on i tak nie uczy. Jednak nauczycielom pracującym w zawodzie nie powinno być. Dobrze by było, żeby się nad tym zastanowili. © ©

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

**SENSACYJNY WYWIAD
Z BOHATEREM US ARMY,
KTÓRY ZDOBYŁ IWŌ-JIMĘ!**

Tomasz Stańczyk – Z Kresów na Syberię
Alina Chodkowska – Przeżyłam piekło w Sowietach
Piotr Zychowicz – Żydowski bokser kolaborantem?
Mikołaj Iwanow – Stalin, szpieg ochrony
Marcin Bartnicki – Wielka prowokacja UB
Dermot Turing – Polscy pogromcy Enigmy
Sławomir Cenckiewicz – Pedofilia Michaela Jacksona
Oleg Łatyszonek kontra Jan Żaryn – Debata o „Burych”

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

*Tomasz Wróblewski*

Wspólna waluta jest wręcz idealnym narzędziem do tworzenia kryzysów. A na kryzysach zyskują zawsze Niemcy

Jak radiowa saga rodziny Matysiaków euro ma niewyczerpane pokłady powtarzalnych perypetii. Te same problemy odgrywane w nieskończoność: od ostrej fazy kryzysu na Cyprze, Malcie, w Grecji czy Irlandii do stagnacji gospodarczej całej Europy czy depresji samej waluty, a potem znowu na obrytke, teraz plajtujących Włoch. Powtarzalne misterium nieszczęśliwych przypadków, trudne do wytłumaczenia bez zrozumienia politycznych motywów całego przedsięwzięcia.

Już sam pomysł eurokonfederacji – wpychania na siłę różnych narodów w jeden parapaństwowy byt – wydaje się karkołomnym wyzwaniem. Co sprawiło, że europejskie elity z taką pewnością siebie i arogancją przystąpiły do forsowania wspólnej waluty?

Wybitny ekonomista politolog Ashoka Mody w głośnej ostatnio książce „Tragedia euro w dziewięciu aktach” zwraca uwagę, że to, co nam wydaje się nierozważne, a ekonomistom wielce ryzykowne, dla polityków jest okazją do wzmocnienia swojej władzy. Euro od lat jest istną fabryką kryzysów i problemów, które europolitycy, rozwiązując, mogą wykorzystywać do poszerzania swoich wpływów kosztem państw narodowych. Mechanizm jako pierwszy opisał w swoich pamiętnikach Jean Monnet, jeden z ojców założycieli Unii: „Zawsze wierzyłem, że Europa zbudowana może być tylko na kryzysach – jej instytucje będą wypadkową programów ratunkowych”.

WALUTA DLA NIEMIEC

Eurospektakl trwa już bez mała pół wieku. Od pierwszych przymiarek po dziś dzień główną rolę odgrywały tu Niemcy. W ciągu 50 lat z pobitego i osaczonego reparaściami wojennymi narodu wyrosły na hegemonia Europy. Bez euro, bez wspólnej waluty nie byłoby to możliwe. W czasie, kiedy Niemcy tworzyły swój dobrobyt i wypracowywały potężną nadwyżkę budżetową, sięgającą blisko 300 mld dol.,

Zanim wydrukujemy pierwsze polskie euro

FOT. ADAM STOK



jakość życia w Grecji cofnęła się do poziomu z 1983 r., Cypr cofnął się do 2002 r., Włosi zatrzymali się w rozwoju na 2003 r., Portugalia – na 2008 r. Z kolei wzrost gospodarczy Francji od 10 lat oscyluje na granicy zera, choć to właśnie ten kraj był pierwszym gorącym orędownikiem wspólnej waluty. Naiwnie wierzył, że przełamię potężną deflację i spadek produktywności spowodowany silną niemiecką marką.

Kto wie, może i tak by się stało, gdyby wspólna waluta miała wszystkie przymioty klasycznego systemu walutowego. Rzecz w tym, że to, co Francuzom wydawało się technicznym manewrem monetarnym, dla Niemiec stało się odpowiednikiem kreda narodowego.

Euroelity chętnie rozprawiają o tym, jak to Unia Europejska ocalała świat od kolejnych wojen. Jak to Europa bez granic położyła kres wojnom o miedź i surowce naturalne. Rzadko kto zwraca jednak uwagę, że koncept ponadpaństwowej Unii nie zrodził się w głowach ojców założycieli, którzy tak jak Robert Schuman wierzyli we wspólnotę narodów z silnym chrześcijańskim przesłaniem. Koncept ponadnarodowej Unii z komisją przejmującą kompetencje demokratycznie wybranych rządów był niemiecką inwencją. Zrodził się w kancelarii kanclerza Schmidta i dalej był udoskonalany w kancelarii Kohla. Matką wynalazku nie był strach przed kolejną wojną, ale rygory postanowień poczdamskich kończących II wojnę światową.

Zachodni Niemcy nie mieli po wojnie pełnowartościowego, w pełni suwerennego państwa i nic nie wskazywało na to, że uda im się w najbliższej przyszłości zrzucić to chomąto. To, co mogli zrobić, to wyrównać pole walki i postarać się, żeby inni też utracili swoją suwerenność. Hasło „integracja europejska”, jak na ironię losu, było wezwaniem do dezintegracji narodowej. Wmawiając światu, że sentymenty narodowe, patriotyzm mogą prowadzić do faszyzmu wszędzie w Europie, jak niegdyś w Niemczech, krok po kroku Niemcom udawało się forsować koncept ponadnarodowego rządu kosztem suwerenności państw narodowych. Efekty widzimy do dziś. Choćby w takiej instytucji jak unijna komisja ds. pomocy publicznej. Została zaplanowana i tak prowadzona przez Niemców, że kiedy przychodzi co do czego, niemieckie stocznie mogą dostawać pomoc publiczną, polskie – nie, niemieckie elektrociepłownie mogą dostawać wsparcie państwa, a polskie – nie.

Nie inaczej było ze wspólną walutą. Na pierwszy rzut oka euro jest niechlujnym

zlepkiem pomysłów na wspólną walutę. Rzecz w tym, że jedynym beneficjentem, po każdym kolejnym kryzysie, okazują się Niemcy.

ARCHITEKCI EURO

Opracowanie biograficzne „Architekci euro” Kennetha Dysona i Ivo Maesa to opowieść o ludziach, którzy stali za tą skomplikowaną konstrukcją walutową. Pochodzili z różnych państw, różnili się poglądami, ale w większości byli ekonomistami i jedno, w czym się zgadzali, to to, że projekt wymknął się ekonomistom z rąk i został podporządkowany politykom. Uważali na przykład, że dopuszczalny poziom deficytu budżetowego powinien być ustalany elastycznie w zależności od państwa, a nie, tak jak dziś, mechanicznie na poziomie 3 proc. Zakładali, że strefa euro obejmie jedynie najbogatsze państwa, na porównywalnym poziomie rozwoju gospodarczego, żeby nie doprowadzić do ruiny słabszych państw. Apelowali o jednolity europejski system bankowy, o unię fiskalną z porównywalnym systemem podatkowym. Wszystko to, o czym tak chętnie dziś rozprawia się w Brukseli, ale dalej nie udaje się wprowadzić w życie.

Dwóch niemieckich euroarchitektów – Theo Waigel i były szef ministerstwa finansów Klaus Regling – szczególną wagę przykładali do unijnego funduszu ratunkowego. W osobnym opracowaniu dla kanclerza Kohla napisali, że bez funduszu stabilizacyjnego euro będzie walutą niepełną. Nazywali to dosadniej – niedopatrzeniem systemowym, błędem w projektowaniu. Niedawno w wywiadzie dla „Die Zeit” Waigel i Regling przyznali, że mimo ich usilnych starań i rozmów z Kohlem błędy systemowe euro nigdy nie zostały wyrugowane.

Brytyjski ekonomista Alan Walters, a w zasadzie szef doradców ekonomicznych Margaret Thatcher, w dokumentach przesłanych na ręce swojej premier w 1990 r. przepowiadał, że Europejski Mechanizm Kursów Walutowych ERM, mający stabilizować waluty państw członkowskich przed stworzeniem euro, doprowadzi do kryzysu. Dwa lata później mieliśmy czarną środę, odpowiednik walutowego zawału serca, i Walters pisał kolejny list do odchodzącej już Thatcher, w którym zaklinał ją na wszystkie świętości, żeby nie przystępowała do strefy euro. Zwracał uwagę, że w świecie zróżnicowanych gospodarek wspólna waluta zawsze będzie miała zawyżoną wartość dla jednych, a zaniżoną dla innych.



■ Bez naturalnych mechanizmów stabilizujących, czyli wspólnej polityki fiskalnej, bez systemu wzajemnych świadczeń socjalnych silne kraje będą jeszcze silniejsze, a słabe staną w miejscu albo się stoczą. Dziewięćnaście lat później wydarzenia w Grecji potwierdziły jego obawy.

TO NIE USA

Przed euro przestrzegali i do dziś przestrzegają najwybitniejsi ekonomiści naszych czasów. Nicholas Kaldor z Wielkiej Brytanii już w 1971 r. ostrzegał przed pomysłami swoich europejskich kolegów. Laureat Nagrody Nobla Milton Friedman w latach 90. twierdził, że wspólna waluta to projekt skazany na klęskę przy najmniejszym podmuchu czy globalnej recesji. Noblista Joseph Stiglitz, którego nie sposób posądzić o prawicowe poglądy, w książce „Euro – zagrożenie dla przyszłości Europy” przedstawia historię wspólnej waluty jako tragedię cywilizacyjną.

Obrońcy euro lubią porównywać wspólną walutę do amerykańskiego dolara. Pierwszej autentycznej globalnej waluty, która zjednoczyła stany Ameryki. Jeżeli punkt po punkcie zaczniemy analizować mechanizmy, które z dolara uczyniły prawdziwie narodową, ponadstanową walutę, to zrozumiemy, dlaczego zjednoczona Europa to nie są Stany Zjednoczone.

autentycznego wsparcia. Niemcy nie ponoszą solidarnościowych kosztów.

Niespełna miesiąc temu Rada Europy odrzuciła projekt wspólnego systemu zabezpieczeń socjalnych dla pracowników na wypadek bezrobocia.

GRECKA TRAGEDIA

Grecja, wchodząc do jednej strefy walutowej z Niemcami, w pierwszych latach sporo zyskała na niższym oprocentowaniu kredytów. Restauracja rybna na Halkidiki mogła starać się o kredyt obrotowy na tych samych warunkach co Gasthaus w Hamburgu. Nic dziwnego, że atrakcyjny, tani pieniądź płynął do Grecji strumieniami. Nadmiar taniego pieniądza powodował presję inflacyjną. I grecki przemysł stopniowo tracił swoją konkurencyjność. To tak, jakby dziś polskie meble czy polskie jajka sprzedawane były nagle po cenach z niemieckich supermarketów. Przez chwilę nasi rolnicy by na tym korzyścili, ale wkrótce zaczęliby tracić rynek i eksport stanąłby w miejscu. Ekonomia jakoś się kręciła dzięki pomocy unijnej, ale gospodarka została zredukowana do turystyki, oleju z oliwek i spekulacji nieruchomości. Kiedy pod koniec 2009 r. okazało się, że król jest nagi i pieniądze zaczęły uciekać z Grecji, kraj znalazł się na łasce Brukseli i Międzynarodowego Funduszu Walutowego. „Trojka” rozpięta nad Grecją parasol

Banki były nienasycone. Po portach przyszła kolej na grecką demokrację. W listopadzie 2011 r. premier Jorgos Papandreu ogłosił referendum w sprawie unijnego programu wyrzeczeń. Niemiecka kanclerz Angela Merkel i prezydent Francji Nicolas Sarkozy wezwali Papandreu do Cannes, gdzie w niezbyt wybrednych słowach oznajmili mu, że albo odwoła referendum, albo doprowadzą Grecję do bankructwa i nie dadzą mu grosza. Papandreu posłuchał. Dzisiaj zadłużenie przekracza 190 proc. PKB, a 30 proc. Greków żyje poniżej granicy ubóstwa (dekadę temu było to zaledwie 8 proc.). Planowany termin spłaty długu to rok 2060.

WŁOCHY I CYPR

Włosi jak mało kto w Europie mają powody do nienawiści. Od 2003 r., od wejścia do strefy euro, dochód narodowy na jednego mieszkańca Włoch stanął w miejscu. W 2001 r. Włochy były największym światowym eksporterem sprzętu AGD, produkowały ok. 10 mln lodówek. Do 2013 r. produkowały już tylko 2 mln. W tym samym czasie o pół miliona spadła produkcja samochodów. W 2001 r. przeciętny Włoch zarabiał 91 proc. tego co Niemiec. W 2014 r. zarabiał już zaledwie 77 proc., dziś zarabia tylko 75 proc. tego co Niemiec.

Nic tak nie oddaje idei unijnej solidarności jak kryzys na Cyprze. Chodziło o 10 mld euro długów wobec zachodnich banków. W marcu 2013 r. UE i MFV uzgodniły „pakiet ratunkowy” dla zagrożonego niewypłacalnością Cypru. Na poczet długów zabrano 6 mld euro z kont zamożnych Cypryckich. Resztę miał pożyczyć EBC. Niezależnie, czy ktoś miał jakieś długi, czy nie, rząd zabierał mu wszystko to, co miał na koncie powyżej 100 tys. euro. Pierwsze strony w Niemczech pisały o europejskiej wspólnaomyślności i stabilizacji finansowej, a prof. Robert Gwiazdowski na stronach Warsaw Enterprise Institute nazwał to kradzieżą pieniędzy z banków przez zagraniczne rządy.

Potem nadano temu mądrą nazwę dyrektywy BRRD (Bank Recovery and Resolution Directive), pod którą podpisała się również Polska. Może i nie wprowadziliśmy euro, ale zagraniczne banki mają tu swoje pieniądze. I każdy kolejny kryzys to krok do konsolidacji unijnego władztwa. Warto to wiedzieć, zanim wydrukujemy pierwsze polskie euro.

© 2014 Wszelkie prawa zastrzeżone

Przed euro przestrzegali i do dziś przestrzegają najwybitniejsi ekonomiści naszych czasów

Zaczniemy od tego, że amerykańskie stany oparte zostały na społeczeństwie z podobną tradycją, historią podbojów i wolności osobistych budowanych w kontrze do monarchicznej Europy. Jedno silne kredo – In God We Trust. Do tego jeden wspólny język.

Amerykańskie stany obowiązują jeden system gospodarczy, z jednym bankiem centralnym, jednym organem nadzoru i jednolitym systemem socjalnym. Jeżeli Kalifornia staje na skraju bankructwa, a Teksas przeżywa boom gospodarczy, to z nadwyżki podatkowej mieszkańców Teksasu płaci się bezrobotnym mieszkańcom Kalifornii.

Unia nie ma żadnych ponadnarodowych zabezpieczeń socjalnych. Sporo mówi o solidaryzmie, ale nie istnieje żadne narzędzie

programu ratunkowego – przez co tak naprawdę rozumiano ratowanie w pierwszym rządzie zachodnioeuropejskich banków, inwestujących niegdyś w upadający teraz grecki przemysł i nieruchomości. Pieniądze na spłatę kredytów pożyczane były pod warunkiem głębokich cięć w wydatkach, wynagrodzeniach, planach emerytalnych i sprzedaży co smakowitszych kasków. Unijna pomoc oznaczała m.in. sprzedaż legendarnego ateńskiego portu Piraeus chińskiemu koncernowi za 368 mln euro i portu w Salonikach rosyjskiemu oligarsze tytoniowemu.

Zadłużenie Grecji względem PKB, zamiast spadać, rosło za sprawą nowych kredytów i odsetek od starych. W 2009 r. wynosiło 127 proc. PKB r., w 2011 r. wzrosło do 172 proc.



Majątek Françoise Bettencourt-Meyers wynosi ponad 53 mld dol. FOT. NIVIERE/SIPA/EAST NEWS

Miliarderki



Jacek Przybylski

Mackenzie Bezos po rozwodzie z twórcą Amazona została czwartą najbogatszą kobietą świata. Dołączy do grona najzamożniejszych współwłaścielek takich koncernów, jak L'Oréal, Mars czy BMW

Feministki mogłyby się zżymać, że nawet w świecie najbogatszych istnieje szklany sufit. Z ponad 2150 miliarderów i miliarderek wymienionych na tegorocznej liście magazynu „Forbes” kobiety zajmują jedynie 12 proc. miejsc. Z kolei mężczyźni zauważą, że aż 73 proc. mężczyzn miliarderów do swego majątku doszło samodzielnie, dzięki własnej ciężkiej pracy. W przypadku kobiet odsetek ten wynosi jedynie 27 proc. Reszta fortunę odziedziczyła po

rodzicach lub zabrała mężowi podczas rozwodu.

BARONOWA BIZNESU PIĘKNA

Najbogatszą kobietą jest współwłaścicielka francuskiego koncernu L'Oréal, 65-letnia Françoise Bettencourt-Meyers. Wnuczka Eugène Schueller – który w roku 1909 założył znaną dziś na całym świecie firmę kosmetyczną – to jednocześnie 15. najzamożniejszy człowiek świata. Jej majątek Bloomberg szacuje na 53,7 mld dol., a „Forbes” na 53,1 mld dol. W przeliczeniu na złotówki pani Meyers ma więc ponad 200 mld. Trudno sobie wyobrazić taką fortunę. To bowiem mniej więcej tyle, ile wynosi wartość całej gotówki będącej w obiegu w Polsce (poza kasami banków). Za takie pieniądze można by wybudować ponad sto Stadionów Narodowych. Oczywiście na majątek Françoise Bettencourt-Meyers składają się również olbrzymie nieruchomości – m.in. willa na przedmieściach Paryża i piękna posiadłość w Bretanii.

W młodości nie pracowała w rodzinnym koncernie i unikała biznesowej

śmietanki. Wybrała karierę akademicką: napisała m.in. komentarz do Biblii, a także książki poświęcone greckiej mitologii oraz relacjom judaizmu z chrześcijaństwem. Najbogatsza kobieta świata jest zapaloną pianistką – na fortepianie gra po kilka godzin dziennie. W zarządzie L'Oréal zasiada od 1997 r.

Oficjalnie na listach najbogatszych zaistniała dopiero w 2018 r. Miliarderką została jesienią 2017 r., po tym, jak w wieku 94 lat zmarła jej matka Liliane Bettencourt. Rodzinną fortunę zarządzała jednak wcześniej. Już w 2011 r. cierpiąca na „demencję mieszaną” i „chorobę Alzheimera w stadium umiarkowanie poważnym” najbogatsza Francuzka została przez sąd ubezwłasnowolniona. Zarządzanie jej majątkiem przypadło wówczas córce Françoise wraz z dwoma wnukami, a sama dziedziczka fortuny została oddana pod kuratelę wnuka Jeana-Victora Meyersa. W wywiadzie dla gazety „Journal du dimanche” Liliane Bettencourt zagroziła bowiem wyjazdem za granicę, jeżeli sąd umieści ją pod kuratelą córki. – Gdyby



49-letnia MacKenzie Bezos na liście najbogatszych kobiet trafiła po rozwodzie z założycielem Amazona

FOT. STARPRESS/WENN.COM/EAST NEWS

■ córka miała się mną zajmować, uduślałbym się – tłumaczyła wówczas dziedziczka biznesowego imperium.

Przed ubezwłasnowolnieniem matka z córką toczyły żąrtą batalię prawną. Françoise Bettencourt-Meyers oskarżała bowiem przyjaciela pani Liliane, fotografa François-Marie Barniera, o to, że wykorzystywał finansowo jej matkę, wyłudżając od niej różnego rodzaju podarki. Barnier, oprócz czeków na dziesiątki tysięcy euro, miał otrzymać m.in. obrazy Picassa oraz kamienie w pobliżu Ogrodu Luksemburskiego w Paryżu. W sumie dostał ponoć od lubiącej go staruszki ponad miliard euro. Córka pani Liliane wielokrotnie żądała więc ubezwłasnowolnienia dziedziczki fortuny. Kością niezgody między matką a córką była też prywatna wyspa na Seszelach, którą pani Liliane Bettencourt zdecydowała się sprzedać wbrew protestom rodziny. Wyrok sądu ostatecznie oddający ją pod kuratelę wnuków zaprowadził więc spokój w rodzinie i wśród inwestorów.

Od czasu śmierci matki majątek Françoise wzrósł o kilkanaście procent. W 2018 r. L'Oréal odnotował bowiem największy wzrost sprzedaży od ponad dekady, dzięki czemu ceny akcji poszybowały w górę. Naj-

bogatsza kobieta świata jest jednocześnie prezeską rodowej fundacji, Bettencourt Schueller Foundation, która dysponując setkami milionów dolarów, wspiera francuskich naukowców oraz artystów.

SZTUKA PONAD BIZNES

W tym roku drugie miejsce w rankingu najbogatszych kobiet świata zajmuje Alice Walton. W przeszłości to ona często bywała na czele tego typu rankingów. Według Bloomberga majątek 69-latkę wart jest obecnie 44,2 mld dol., co daje jej 17. miejsce w klasyfikacji najzamożniejszych mężczyzn i kobiet.

Jedyna córka Sama Waltona swą fortunę zawdzięcza głównie spadkowi po ojcu, założycielu firmy Wal-Mart, który pierwszy sklep otworzył w roku 1950, a w latach 70. wal-marty powstały już w całych Stanach Zjednoczonych. Dzisiaj spółka ma na świecie kilkanaście tysięcy sklepów i jest jedną z największych globalnych sieci detalicznych.

Chociaż głównym zadaniem Alice Walton jest mądre zarządzanie odziedziczonym po ojcu majątkiem, to ona sama też próbowała sił w biznesie. Po zdobyciu dyplomu na kierunku ekonomia i finanse na uniwersytecie Trinity w stanie Teksas, pracowała w sektorze finansowym, m.in. jako analityk oraz broker finansowy. Przez dekadę była również prezesem założonego przez siebie banku inwestycyjnego Llama Company. Po jego upadku – w wyniku kryzysu finansowego – przeniosła się do Teksasu, gdzie zajęła się hodowlą koni oraz działalnością charytatywną. Bogata kolekcjonerka sztuki i filantropka ufundowała m.in. muzeum sztuki amerykańskiej w Arkansas, w którym prezentowane są dzieła o wartości przekraczającej pół miliarda dolarów. Ona sama pierwszy obraz do swej kolekcji kupiła w wieku 10 lat – była to reprodukcja dzieła Pabla Picassa „Błękitna nagość”.

Dzisiaj w swej kolekcji Alice Walton ma oryginalne dzieła m.in. Andy'ego Warhola. Sama sieć sklepów nie cieszy się jednak w USA najlepszą opinią ze względu na załóżnie niskie płace oferowane pracownikom sklepów Wal-Mart.

SŁODKI BIZNES MIŁOŚNICZKI KONI

Na trzecim miejscu podium, z majątkiem szacowanym przez Bloomberga na 37 mld dol., znajduje się Jacqueline Mars – współwłaścicielka koncernu o tej samej nazwie, który produkuje batoniki, drażetki, a także karmę dla zwierząt. Wyrobem czekoladek zajmował się już

Najbogatsze Polki

Według rankingu tygodnika „Wprost” najbogatszych dziesięć Polek to:

- Dominika Kulczyk** (z majątkiem w wysokości 7 mld zł)
- Barbara Komorowska** (1,95 mld zł)
- Grażyna Kulczyk** (1,7 mld zł)
- Elżbieta Kaczmarek** (1,55 mld zł)
- Teresa Mokrysz z rodziną** (1,3 mld zł)
- Aldona Wejchert** (1,2 mld zł)
- Katarzyna Frank-Niemczyńska** (950 mln zł)
- Anna Podniewska** (800 mln zł)
- Zyta Olszewska** (784 mln zł)
- Małgorzata Adamkiewicz** (750 mln zł)

dziadek Jacqueline, Frank C. Mars. Dopiero jej ojciec – Forrest Mars – sprawił jednak, że rodzinna firma Nougat House zmieniła się w międzynarodowy koncern. W 1923 r. Forrest wraz z ojcem stworzył słynny batonik Milky Way. W 1932 r. przeprowadził się zaś do Wielkiej Brytanii, gdzie zaczął światową ekspansję swoich produktów. Pani Mars niemal dwie dekady pracowała dla rodzinnej firmy, zasiadając w zarządzie do 2016 r. Jej wielką pasją jest też jazda konna i oczywiście... słodczyce, które bogaczka dostaje prosto z fabryki. Znana również z działalności charytatywnej zasiada w zarządach m.in. waszyngtońskiej opery.

BOGATA ROZWÓDKA

Nowym nazwiskiem na liście najbogatszych kobiet świata jest 49-letnia MacKenzie Bezos. Była już żoną założyciela Amazona podczas rozwodu uzyskała gigantyczny majątek wyceniany na co najmniej 35 mld dol., który dał jej status czwartej najbogatszej kobiety i 23. miejsce na liście najzamożniejszych ludzi świata. MacKenzie dostała od byłego męża pakiet akcji w Amazonie, a także w spółce wydającej dziennik „The Washington Post” oraz w prywatnej firmie przemysłu kosmicznego Blue Origin. Państwo Bezosowie, do niedawna jedno z najsłynniejszych małżeństw świata, byli razem przez 25 lat i doczekali się czworga dzieci. Para wzięła ślub na początku lat 90., gdy oboje pracowali w Nowym Jorku. Wkrótce potem przenieśli się do Seattle, gdzie Jeff Bezos założył Amazon.

NAJBARDZIEJ WPŁYWOWA CHINKA

Yang Huiyan w 2007 r. była najmłodszą miliarderką na świecie, gdy ojciec Yeung Kwok Keung przekazał jej 70 proc. udziałów w stworzonym przez siebie gigantycznym holdingu Country Garden Holdings, trzeciej na świecie pod względem



wielkości firmy zajmującej się obrotem nieruchomości. Szacuje się, że w sumie Yang Huiyan dostała od tatusia – który zanim kupił ziemię w pobliżu Hongkongu, ciężko pracował jako rolnik oraz murarz – ponad 18 mln mkw. Jego córce było dużo łatwiej. Absolwentka prestiżowego pekińskiego uniwersytetu Tsinghua doktorat obroniła już w amerykańskim stanie Ohio. Po powrocie do Chin wyszła za mąż za potężnego funkcjonariusza chińskiej partii. Jej majątek „Forbes” szacuje obecnie na 25,5 mld dol.

SEKS, LIMUZYNY I LEKARSTWA

Szóste miejsce wśród najbogatszych kobiet globu zajmuje 56-letnia Susanne Klatten, której majątek – 21 mld dol. – daje jej także 46. miejsce wśród wszystkich miliarderów. Druga Europejka w tym prestiżowym gronie swą fortunę zawdzięcza dwóm branżom: motoryzacyjnej i farmaceutycznej. Jest najstarszym dzieckiem Herberta Quandta, właściciela marki BMW, oraz jego trzeciej żony Johanny. Po śmierci ojca odziedziczyła 50,1 proc. udziałów w globalnej korporacji chemicznej Altana, a także 12,5 proc. akcji w BMW. Najbogatsza Niemka posiada również udziały w takich firmach, jak Nordex (producent turbin wiatrowych), Avista Oil (z branży recyklingu) oraz biotechnologiczna spółka Paques. Jej nastoletnie życie nie należało do najłatwiejszych. Aby zmylić potencjalnych porywaczy, musiała latami posługiwać się fałszywym nazwiskiem. Ukończyła zarządzanie na angielskim Uniwersytecie Buckingham. Pracowała także w BMW, gdzie poznała swojego męża Jana Klattena. Urodziła trójkę dzieci. Stała się też bohaterką skandalu obyczajowego. Jej romans ze szwajcarskim biznesmenem skończył się utratą wielu milionów dolarów – kochanek szantażował ją bowiem ujawnieniem nagranych potajemnie sekstami dokumentujących skok w bok wpływowej Niemki. Mężczyzna za ten szantaż usłyszał potem wyrok sześciu lat więzienia. Miłośniczka golfa i jazdy na nartach chętnie wspiera finansowo konserwatywną Unię Chrześcijańsko-Demokratyczną.

OD KOPCIUSZKA DO MILIONERA

Są też oczywiście miliarderki, które same zapracowały na swój majątek. Wśród nich prym wiedzie Diane Hendricks. 72-latka, której majątek szacowany jest na 6,8 mld dol., była jedną z dziewięciu córek farmerów z Wisconsin. Po ukończeniu szkoły średniej pracowała jako kelner-

ka, jako robotnica w fabryce, a następnie zatrudniła się w branży nieruchomości. Fortunę zbiła, budując sieć sklepów z materiałami budowlanymi ABC Supply.

Mimo ogromnych przeciwności losu do fortuny doszła Zhou Qunfei. 49-letnia Chinka, której majątek „Forbes” szacuje na 4,1 mld dol., zajmuje obecnie 745 miejsce wśród najbogatszych ludzi świata. Jej droga do biznesowego imperium przypomina amerykański sen, czyli opiewaną w filmach i książkach transformację od pucybuta do milionera. Urodzona w biednej rodzinie Zhou Qunfei w wieku pięciu lat straciła matkę. A gdy miała lat 16, musiała pójść do pracy w fabryce szkielek do zegarków. Pracowała od rana do północy. Początkowo zarabiała równowartość niecałych 4 zł dziennie. Gdy chciała odejść z pracy, szef zaoferował jej awans. Dzięki temu udało jej się zaoszczędzić równowartość 10 tys. zł. Za te pieniądze, mając 22 lata, w trzypokojowym mieszkaniu otworzyła pierwszy sklep, a następnie zmieniła branżę i zaczęła dostarczać szkło do pokrycia ekranów smartfonów. Jej firma Lens Technology dostarczała produkty dla takich gigantów, jak Apple, Nokia, Motorola czy Samsung. I chociaż pani Zhou Qunfei szybko dorobiła się fortuny, to i tak podjęła decyzję, aby mieszkać tuż przy swoim gabinecie – dzięki temu może o każdej porze dnia i nocy doglądać pracowników.

Świetnym przykładem self-made woman jest również Oprah Winfrey. Amerykańska prezenterka oraz producentka telewizyjna urodziła się jako córka mieszkających ze sobą bez ślubu nastolatków, którzy rozstali się wkrótce po narodzinach dziecka. Dorastająca w skrajnej nędzy była wychowywana raz przez babcię, raz przez matkę, która próbując samodzielnie zarobić na utrzymanie rodziny, nie miała już czasu na prawdziwą opiekę nad dzieckiem. Wykorzystywana seksualnie przez wielu krewnych, zdołała ukończyć studia, zrobić karierę w radiu i telewizji, a następnie wykorzystać sukces swego kultowego programu „The Oprah Winfrey Show” do stworzenia własnej korporacji medialnej. Pierwsza Afroamerykanka, która samodzielnie wypracowała majątek przekraczający miliard dol., dziś może się pochwalić fortuną szacowaną na 2,5 mld dol.

Listą najmłodszych miliarderów świata „Forbesa”, którzy samodzielnie doszli do swojej fortuny, wstrząsnął również przypadek Elizabeth Holmes. Amerykanka trafiła na nią w 2014 r. w wieku zaledwie 30 lat



Zhou Qunfei urodziła się w biednej rodzinie i jako dziecko straciła matkę. Dzięki ciężkiej pracy dorobiła się fortuny

FOT. LENS TECHNOLOGY

i z majątkiem wycenianym na 4,5 mld dol. Inwestorzy uwierzyli bowiem w jej pomysł na rewolucję w medycynie. Szefowa firmy Theranos – nazywana przez największe media Steve'em Jobsem w spódnicy – zapowiadała stworzenie firmy, która kompletnie odmieni system badania krwi. Chciała pobierać krew bez igieł i strzykawek, jedynie za pomocą delikatnego nakłucia palca, a wyniki testów dostarczać do klientów w ciągu zaledwie kilku godzin.

Piękna, młoda i elokwentna dziewczyna z łatwością uwiodła świat biznesu. Po kilku latach wyszło jednak na jaw, że technologia firmy Theranos sprawdza się jedynie w 12 na 100 przypadków. Tymczasem firma oferowała ponad 200 rodzajów testów – od określenia poziomu cholesterolu po sprawdzenie, czy nie doszło do nawrotu choroby nowotworowej. W czerwcu 2016 r. wycena akcji firmy spadła do... zera. I to samo stało się z majątkiem pani Holmes. Złote dziecko Krzemowej Doliny i jej wspólnik zostali oskarżeni o pozyskanie od inwestorów 700 mln dol. za pomocą wyrafinowanego, wieloletniego oszustwa. Zamiast cieszyć się gigantycznym majątkiem, za swe oszustwa zapłaciła więc wysoką cenę.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Maciej Pieczyński

Amerkański rozmach w słowiańskim stylu – tak najkrócej można podsumować najbardziej rozpoznawalne w świecie dzieło polskiej popkultury

Fabryka wiedźminów

Wystarczyło sześć miesięcy, by legiony Nilfgaardu wdarły się w głąb północnych królestw. Za nimi spływające krwią pola, zniszczone wojną pustkowia. Po tych zrujnowanych ziemiach krążył biały wilk, pogromca potworów. Mówią, że był szalony. Szukał twarzy, wspomnień, tropów. Pośród chaosu zdany był tylko na siebie – tymi słowami w klimacie wiedźmińskiego uniwersum wprowadza jeden z licznych zwiastunów trzeciej, najsłynniejszej części gry wideo, poświęconej przygodom Geralta z Rivii, czyli wiedźmina – mutanta, zabójcy potworów, obrońcy ludzi.

To prawdopodobnie najbardziej rozpoznawalny na świecie produkt polskiej popkultury. Opowieść o przygodach Geralta wyszła spod pióra Andrzeja Sapkowskiego, najczęściej – po Lemie – tłumaczonego polskiego autora fantastyki. Międzynarodową sławę zdobyła jednak po przełożeniu na język gier komputerowych przez studio CD Projekt RED. „Wiedźmin 3: Dziki Gon” sprzedał się już w ponad 10 mln egzemplarzy. Jest też najbardziej utytułowaną grą w historii. Serialowej ekranizacji cyklu Sapkowskiego podjął się niedawno Netflix.

Pierwsze opowiadanie o wiedźminie Geralcie ukazało się w grudniowym numerze miesięcznika literackiego „Fantastyka” w 1986 r. Była to jedna z prac nadesłanych na konkurs organizowany przez czasopismo. „Wiedźmin” zajął dopiero trzecie miejsce. Zwyciężyło opowiadanie „Wró-

cieś Sneogg, wiedziaam...” Marka S. Huberatha. Konkursowe opowiadanie stało się początkiem wielkiej „Sagi o wiedźminie”.

Nazwa cyklu pochodzi od wydawcy. Sapkowski od początku wzbraniał się przed takim określeniem gatunkowym. Argumentował, że „saga” to termin zarezerwowany dla literatury staroskandynawskiej, przedstawiającej historię rodem z nordyckiej mitologii. Tymczasem świat przedstawiony przez pisarza w opowiadaniach z wiedźmińskiego cyklu to – zgodnie z naczelną zasadą gatunku, którą jest eskapizm, czyli ucieczka od rzeczywistości – świat niemal od początku do końca powstały w wyobraźni autora. Jak przystało na literaturę fantasy, wiedźmińskie uniwersum osadzone jest w realiach przypominających średniowiecze. W czasach, gdy powstawały pierwsze części cyklu, polska popkultura była niewolniczo zachłyśnięta manią kopiowania zachodnich trendów. Jeśli średniowiecze – to wikingowie, krzyżowcy, Robin Hood, William Wallace. Bo przecież nie jakaś tam przaśna Słowiańszczyzna! Względna moda na swojskość zaczęła wygrywać w walce o rząd dusz stosunkowo niedawno. Wiedźmin dziś w obiegowej opinii, szczególnie za sprawą gry, kojarzy się ze słowiańskością. Jednak Sapkowski o swoim stosunku do rodzimych korzeni pisał już na początku lat 90. Już wtedy ironizował na łamach „Nowej Fantastyki”: „Nagle zrobiło się w naszej fantasy słowiańsko, przaśnie i kraśnie, jurnie, zurnie, podpiwkowo i lnianie. Swojsko.

Zapachniało grodziszczem, wsią-ulicówką i puszczańskim wyrębem, powiało, jak mawiają przyjaciele-Moskale – lietom, cwiem i – izwinicie – gawnom”.

Według autora „Wiedźmina” słowiańską mitologię skutecznie wytrzebiono wraz z przyjęciem chrztu, dlatego mitologia ta „nie sięga nas swym archetypem i nie czujemy jej projekcji na sferę marzeń”. Tutaj ujawniają się antykościelne poglądy Sapkowskiego. Jego zdaniem wszystko, co słowiańskie, wyleciało z polskiej kultury wraz z zębami wybijanymi poganom przez chrystianizatorów. I rzeczywiście, w książkach Sapkowskiego, poza kilkoma swojsko brzmiącymi nazwami, ze świecą szukać prawdziwie słowiańskich motywów. Pisarz raczej obśmiewa rodzimą ludowość i kopiuje zachodnie schematy.

SŁOWIAŃSKO W PIKSELACH

Jednak sukces komputerowych gier fabularnych, powstałych na podstawie prozy Sapkowskiego, pokazuje, że jednak właśnie odważne i pozbawione kompleksów eksponowanie słowiańskości może oczarować świat. Premiera pierwszej części gry miała miejsce 11 lat temu. Wyprodukowało ją polskie studio CD Projekt RED. Budżet wyniósł ok. 19 mln zł.

„Wiedźmin” odniósł sukces komercyjny. W ciągu czterech lat od premiery osiągnął prawie dwumilionową sprzedaż. CD Projekt RED w 2011 r. wyprodukował sequel pt. „Wiedźmin 2: Zabójcy królów”. Cztery lata później na rynku pojawiła się ostatnia



część trylogii – „Wiedźmin 3: Dziki Gon”. Gracz wciela się w postać Geralta z Rivii i w świecie targanym konfliktami próbuje odnaleźć swoich bliskich, którym zagrażają upiorni jeźdźcy rodem z mitycznego Dzikiego Gonu. Świat, który przemierza, wbrew wyobraźni i poglądom Sapkowskiego przesiąknięty jest swojskością, rozumianą szeroko – od przedchrześcijańskiej „niesamowitej Słowiańszczyzny” przez sarmacki mit szlacheckiej Rzeczypospolitej do typowo polskiej ludowości i specyficznie polskich „okoliczności przyrody”. Częścią fabuły gry jest obrzęd dziadów. Pojawia się też nawiązanie do „Pana Twardowskiego”. Ściany karczmy, w której Geralt odpoczywa po trudach podróży, zdobią łowickie wzory. Na drodze „białego wilka” staje banda zbójcka, której herszt Olgierd von Everec wyglądem łudzaco przypomina chorążego orszańskiego Jędrzeja Kmicica. Zarówno imię przywódcy zbójców, jak i imiona jego krewnych – Kiejstuta i Witolda – nawiązują do imion książąt litewskich z dynastii Giedyminowiczów, przodków Jagiełły. Wreszcie słowiańskiego ducha „Wiedźmina” można nie tylko zobaczyć, poczuć, lecz także usłyszeć. Na ścieżkę dźwiękową składają się bowiem utwory polskich zespołów grających medieval folk: Percivala i Żywiołaka. Tradycyjne pieśni ludowe ze wszystkich stron Słowiańszczyzny wykonywane są przy akompaniamencie średniowiecznych instrumentów, takich jak lira korbową, lira bizantyńska czy gęśle. Percival, wcześniej znany głównie w wąskiej niszy odtwórców wczesnego średniowiecza czy też gości festiwali historycznych, zyskał wielką popularność w znacznej mierze właśnie dzięki temu, że miliony graczy na całym świecie mogły usłyszeć takie pieśni jak „Sargon”, „Lazare” czy „Oj dido”. Tak więc Geralt z Rivii rozprawia się z potworami przy dźwiękach medieval folku ze wszystkich stron Słowiańszczyzny.

SPÓR O PIENIĄDZE

Gra CD Projekt RED w dużej części odbiega od pierwotnego zamysłu autora. „Wiedźmin” nabrał swojskiego kolorytu i przeżywa już zupełnie nowe przygody. Punktem wyjścia, makietą do dalszej twórczości wciąż jest jednak uniwersum skonstruowane w wyobraźni Andrzeja Sapkowskiego. Wytwórnia gier kupiła prawa autorskie od pisarza za 15 tys. zł.

Po latach prawnicy Sapkowskiego zażądali od wytwórni wypłaty 60 mln zł. „Możemy sobie jedynie wyobrazić, że negatywne konsekwencje wynikające tylko

z tego faktu, że Pan Andrzej Sapkowski nie otrzymał należnego wynagrodzenia, tym bardziej gdyby były połączone z kwestionowaniem ważności umów prawnio-autorskich, byłyby tak duże, że same potencjalne straty wartości przewyższałyby zapewne zadania wyartykułowane w niniejszym piśmie” – napisali.

SERIAL JUŻ BLISKO

Niezależnie od tego, jak zakończy się spór pomiędzy Sapkowskim a CD Projekt RED, pisarz może otwierać szampana. Podpisał umowę z Netflixem. Jeszcze w tym roku użytkownicy platformy będą mogli obejrzeć serial „Wiedźmin”. Tytułowego bohatera zagra znany z roli Supermana Henry Cavill.

– Na olbrzymi, międzynarodowy sukces „Wiedźmina” złożyła się w moim przekonaniu jego obecność w wielu obiegiach, nie tylko zatem w obiegu literackim. Przede wszystkim, nieco wbrew samemu autorowi opowieści o wiedźminie Geralcie, za kluczowy uznałbym sukces gry wideo, na który złożyła się jednak przede wszystkim autentyczna czytelnicza pasja studia CD Projekt RED – komentuje dr Krzysztof M. Maj, redaktor naczelny pisma naukowo-literackiego „Creatio Fantastica”. Zauważa,



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

że twórcy gier wykazali się nie tyle jako adaptatorzy, ile jako wierni fani, czytający wiedźmińską sagę niekiedy wnikliwiej niż sam autor.

Według redaktora naczelnego „Creatio Fantastica” dzięki „Wiedźminowi” dorobiliśmy się naszego pierwszego polskiego uniwersum na skalę światową. Uniwersum, czyli przestrzeni kulturowej łączącej w sobie opowiadania, powieści (tłumaczone na język angielski i wydawane przez cenioną oficynę Gollancz), trzy gry wideo, rozszerzenie w postaci karcianej gry fabularnej „Gwint”, komiksy, tradycyjną grę fabularną, wreszcie serial Netfliksa. – I tak jak w wypadku „Fantastycznych zwierząt” Rowling

czy nawet trylogii „Hobbita” w reżyserii Petera Jacksona nie mamy tu już do czynienia z prostymi adaptacjami, a właśnie z rozrastającym się światem – czyli czymś, co wyjątkowo odpowiada zabiegom dziś czytelnikom, widzom i graczom, ceniącym sobie możliwość spokojnego ciągłego poznawania i powracania do znajomej fantastycznej rzeczywistości w miejsce śledzenia jakiejś taśmowej oraz pokrętnej fabuły w obrębie jednego medium – komentuje Maj. – Andrzej Sapkowski ma więc bardzo dużo szczęścia: pod względem jakości artystycznej można byłoby wskazać dziś wielu sprawniejszych polskich pisarzy fantastycznych. Jednak to właśnie „Wiedźmin” okazał się najatrakcyjniejszym amalgamem wielu cech kojarzonych obiegowo na świecie z polskością. Rzadko kiedy, odwiedzając światy fantasy, widzimy swojskie polskie chaty, kwietne pola, nocne obrzędy dziadów i dziwne stwory żywcem wyjęte z bestiariusza słowiańskiego – a przecież to tym zjednało studio CD Projekt RED tak szeroką międzynarodową publikę, łaknącą słowiańskiej egzotyki choćby i wbrew oryginalnemu zamysłowi autora. Jest bowiem jakiś paradoks w tym, że oto świat zachwyca się akurat opowieściami wiedźmińskimi, pisanymi dla polskiego czytelnika niezaznajomionego wówczas z fantastyką zagraniczną i grającego motywami dawno już na Zachodzie ograniczonymi – dodaje.

Można się spierać, czy „Wiedźmin” jest „nasz”, swojski, słowiański, czy może, jakby tego chciał sam autor – jest tych korzeni pozbawiony. Nie to jednak jest najważniejsze w historii Geralta z Rivii. W sedno trafił Jaskier, bard, „wieszcz Bojan” wiedźmińskiego uniwersum, w jednej ze scen trzeciej części gry. Układanie pieśni opiewającej kolejne czyny Geralta zaczął od podniosłych słów: „Rzekł tedy mężny Foltest: cny Radowidzie!” „Co ty pieprzysz, Jaskier?!” – zareagował wiedźmin, jak to wojownik, przywykły raczej do bardziej prostolinijnego języka. „Spisuję na bieżąco wiekopomne wydarzenia. Wiernie i co do słowa” – odparł z pełną powagą bard. „Ale Foltest powiedział: »Kończ się zastanawiać, smarkaczu, trzeba gasić ten burdel!«” – poprawił wiedźmin. Jaskier pokręcił z politowaniem głową: „Oj Geralt, za grosz w tobie wyczucia poezji. Jest prawda czasu i prawda legendy”.

Prawda legendy o wiedźmińskim świecie jest tak sugestywna, że staje się prawdą czasów. Naszych czasów. Czasów naszej popkultury.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Pociąg do Japonii

Wielka niedogodność, przed którą postawiliśmy naszych klientów, była naprawdę niewybaczalna. Dokładnie ocenimy nasze postępowanie i dołożymy wszelkich starań, aby taki incydent nie powtórzył się w przyszłości – czytamy w komunikacie prasowym Polskich Kolei Państwowych, po spóźnieniu pociągu z Poznania do Warszawy.

A nie, przepraszam, to był komunikat, a właściwie uniżona prośba o wybaczenie, którą wystosowała West Japan Railway Company z tego powodu, że pociąg do Nishi-Akashi, w wyniku błędu systemu, z Notogawy odjechał o 25 sekund... za wcześniej. Czyli zamiast o 7:12, ruszył o 7:11:35. Kilka miesięcy wcześniej podobne przeprosiny popłynęły ze strony kolei w związku z wcześniejszym o 20 sekund – w stosunku do planowego – odjazdem z Minami-Nagareyama ekspresu do Tokio, mimo że nikt oprócz kolejarzy tego nie zauważył – w odróżnieniu od zdarzenia z Notogawy, gdy poskarżył się jeden z pasażerów.

No tak, ale to jest Japonia, gdzie wewnętrzny regulamin przewoźnika – Kolei Japońskich – dopuszcza opóźnienie maksymalnie do pięciu minut, i to jedynie w przypadku trzęsienia ziemi o sile ponad sześciu stopni w skali Richtera. Jeśli nic takiego nie wchodzi w rachubę, to kolej zwraca podróżnemu nie tylko pieniądze za bilet, lecz także wręcza mu pismo z przeprosinami i usprawiedliwienie dla jego pracodawcy.

A w Polsce... „Ekspres” z Poznania do Przemysła – 140 minut opóźnienia, „ekspres” z Krakowa do Warszawy – 90, „ekspres” ze Szczecina do Warszawy – 50 minut itp. itd. W tym czasie, gdy w Japonii kajało się ze wstydu z powodu o 20 sekund za wczesnego odjazdu pociągu ze stacji, u nas przyjeżdżają one z wielominutowym opóźnieniem i nikt specjalnie nie czuje się w obowiązku prosić pasażerów o wybaczenie. I o ile jeszcze pociągi Przewozów Regionalnych (dane za IV kwartał 2018 r.) dojeżdżają punktualnie do końca trasy w nieco ponad 88 przypadkach na 100, o tyle składy PKP InterCity jedynie w niecałych 75 przypadkach na 100. Czyli jedna czwarta z nich przyjeżdża za późno, a czas opóźnienia liczony jest w minutach, a nie sekundach.

Mknąc niedawno ekspresem – a nie „ekspresem” – z Kioto do Tokio, pomyślałem: A może by tak PKP zaczęły od składania publicznych wyrazów skruchy? Nie zdawkowych przeprosin, jak to czynią, lecz prawdziwych wyrazów skruchy, które publikują Koleje Japońskie. Wiem, to byłyby setki błagań każdego dnia – tyle stacji i pociągów i wiele z nich spóźnionych. Jednak to naprawdę byłby dobry początek – publiczne pokajanie się. A potem, jeśli by PKP udało się – jakimś cudem – pojąć rozmiary swej winy wobec podróżnych, którzy się przez nie spóźniają, może zechciałyby się wreszcie zmienić na lepsze? ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Komputerowy prawnik

Ostatnio przetłumaczyłem kilka tysięcy tekstów, korzystając z automatycznego połączenia (tzw. API) z serwisem tłumaczeniowym Google. Poniżej przykład takiego tłumaczenia. Tekst polski: „Według wybranych kryteriów jakość tłumaczenia jest bardzo wysoka. Sztuczna inteligencja robi to lepiej niż tłumacz przysięgły”; przetłumaczony tekst angielski: „According to selected criteria, the quality of translation is very high. Artificial intelligence does it better than a sworn translator”.

W polskim tekście specjalnie zrobiłem literówkę (słowo „jast” zamiast „jest”), ale sztuczna inteligencja i tak świetnie przetłumaczyła tekst. Tak było też w przypadku tych kilku tysięcy tekstów ekonomicznych. Miałem do dyspozycji raporty dzienne jednego z banków w wersji polskiej oraz angielskiej i jakość przetłumaczonego tekstu była często lepsza niż tekst napisany przez człowieka. Automatyczne tłumaczenie o tak wysokiej jakości jest dostępne w zasadzie dla dowolnej pary języków i działa dobrze także w przypadku tekstów specjalistycznych. Jaka jest zatem przyszłość zawodu tłumacza?

Dopóki prawo wymaga podpisu tłumacza przysięgłego, dopóty usługi tłumaczy będą potrzebne. Jednak dzisiaj tłumacz już nie musi sam tłumaczyć tekstu, wystarczy, że zna się trochę na komputerach, wykorzysta serwis tłumaczeniowy Google, szybko sprawdzi tekst i gotowe. Stosując to podejście, firma tłuma-

cioniowa może tłumaczyć kilkakrotnie więcej tekstów i cena tłumaczenia może radykalnie spaść. Jednak gdy prawo zostanie zmienione i będą akceptowane certyfikaty tłumaczenia wystawiane w przyszłości przez Google, zawód tłumacza przysięgłego zostanie zupełnie zastąpiony przez sztuczną inteligencję.

W przypadku zawodu prawnika rysują się zupełnie inne możliwości. Dzięki sztucznej inteligencji można automatycznie wykrywać naruszenia prawa. Gdy sztuczna inteligencja wykryje takie zachowania, analizując zachowania w Internecie, zapisy kamer miejskich czy odczyty sensorów telefonów komórkowych, może automatycznie generować pozew i zestaw potrzebnych dokumentów oraz poinformować daną osobę, firmę lub organy ścigania o tym, że powinny podjąć działania prawne wobec zidentyfikowanego podmiotu lub osoby. Może się wówczas okazać, że będzie trzeba bardzo dużo prawników do prowadzenia tego typu spraw, przynajmniej do czasu, gdy w systemie prawnym pojawi się pojęcie „algoprawnika”, czyli programu komputerowego uprawnionego do „prowadzenia” tego typu spraw.

Tak czy inaczej, zarówno tłumacze, jak i prawnicy powinni umieć współpracować ze sztuczną inteligencją, uczelnie wyższe powinny zaś w programach studiów tych specjalności wprowadzić odpowiednie zmiany. ©©

Autor pełni funkcję chief ideator w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

TEST „DO RZECZY”: BOSE HOME SPEAKER 500

Bardzo dobra jakość audio, elegancki design i możliwość obsługi za pomocą elektronicznego asystenta – to największe zalety „inteligentnego” głośnika od Bose’a.

Pierwszą zaletą modelu Home Speaker 500 jest wygląd. Jednolita obudowa z anodowanego aluminium nie pozostawia wątpliwości: to urządzenie klasy premium, którego design powinien pasować do większości wnętrz. Dodatkowym plusem głośnika są jego niewielkie rozmiary (20,3 x 17 x 10,9 cm) i waga (2,15 kg). Jednocześnie jak na tak niewielkie urządzenie Bose Home Speaker 500 potrafi zagrać naprawdę głośno. Wrażenie robią też zaskakująco dobry przestrzenny dźwięk stereo oraz bardzo szeroka scena dźwiękowa.

Po stronie plusów można też wpisać łatwość sterowania gadżetem. Głośnikiem sterujemy dotykowymi przyciskami lub za pomocą aplikacji Bose Music. Home Speaker 500 można podłączyć przez Wi-Fi lub Bluetooth do innych urządzeń. Głośnik jest też wyposażony w liniowe gniazdo AUX 3,5 mm. Home Speaker 500 pozwala także na słuchanie internetowych stacji radiowych z całego świata lub odtwarzanie muzyki z takich serwisów jak Spotify czy Deezer.



Oczywiście można też wykorzystać współpracę z Alexą Amazona i w odpowiednim momencie dyskretnie wypowiedzieć komendę w stylu: „Alexa, play »Sex on Fire« in the bedroom” („Alexa, zagraj w sypialni »Sex on Fire«”) – ten model głośnika jest bowiem wyposażony w kilka

mikrofonów, które dobrze zbierają głos zarówno z bliska, jak i z daleka.

Home Speaker 500 nie jest jednak perfekcyjny. Jego największą wadą jest potwornie wysoka cena, która wynosi aż 1699 zł. Po stronie minusów wpisałbym też pięć innych rzeczy. Po pierwsze, gdy odtwarzamy bardzo głośno utwory obfitujące w głębokie basy, głośnik zaczyna rządzić, co w klasie premium nie powinno się zdarzać. Po drugie, „inteligentne” urządzenie współpracuje na razie tylko z jednym asystentem głosowym. Po trzecie, wbudowany wyświetlacz LED na froncie jest raczej nieprzydatny (wyświetlane okładki utworów są zbyt małe, aby je odczytać, a podświetlenie może denerwować, gdy w sypialni ma być już ciemno). Po czwarte, przydałby się akumulator, aby urządzenie mogło pełnić funkcję głośnika mobilnego. I wreszcie po piątę, brakuje możliwości połączenia Bose Home Speaker 500 w jedną grupę ze starszymi głośnikami Bose’a i ze sprzętem innych firm.

Mimo wszystko jeśli ktoś szuka jednego głośnika o stonowanym designie i z bardzo dobrym dźwiękiem, to Bose Home Speaker 500 może być świetnym wyborem. ©©

Jacek Przybylski

NOCNE KINO

Niezłych projektorów kinowych przystosowanych do domowych pomieszczeń nigdy dosyć, a z pewnością do takich można zaliczyć XGIMI MoGo Pro:1080P. Gadżet, o którym mowa, to przenośne kino Full HD z systemem Android TV, z wysoką jakością dźwięku.

Podstawowa zaleta? Nowy procesor XGIMI DLP (Digital Light Processor) umożliwia MoGo Pro ostrą, szczegółową projekcję z rozdzielczością do 1920 x 1080 pikseli, co oznacza, że projektor wyświetla obraz w rozdzielczości

Full HD. MoGo można też używać do wyświetlania filmów Blu-ray, ponieważ ani nie obniża, ani nie kompresuje jakości obrazu, a także obsługuje wejścia video do 4K.

Mały, acz istotny szczegół – dzięki temu projektorowi można wyświetlać film na ekranie 30–100 cali. Do tego oczywiście system Android z 4 tys. aplikacji, asystent Google, chipset klasy TV i 30 tys. godzin żywotności diod LED.

Cena na portalu Indiegogo to ok. 1,3 tys. zł. Dostawa w październiku.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE (3)

RZEŹBA W BIURZE

„Nie jem ciasteczka, bo będę gruba” – ile razy słyszeliście to od swoich przyjaciółek, kiedy proponowałyście słodki deser? No właśnie. A zamiast marudzić, zamiast z nadzieją wchodzić na wagę, by popadać w jeszcze głębszą depresję, może warto pomyśleć o urządzeniu o nazwie Wonder Squat? Generalnie rzecz biorąc, jest to „inteligentne” urządzenie – producenci oczywiście przekonują, że pierwsze takie na świecie – pomagające wypracować jędrne pośladki, zgrabne nogi i silne plecy. Na Wonder Squat możemy wykonać zestaw ćwiczeń wykorzystujących grawitację i masę własnego ciała. Intensywność treningu i obciążenia zależą więc od tego, ile sami ważymy, od naszej siły i kondycji. Przy czym na Wonder Squat ćwiczymy w biurze czy domowym zaciszu.

Zamawiać można na Indiegogo w cenie ok. 380 zł. Dostawa w sierpniu. ©©

Wojciech Wybranowski





Joanna Bojańczyk

Uroda, arystokratyczne pochodzenie, luksusowe życie w historycznych rezydencjach. W tle imperium Fiata, awantury rodzinne, zdrady i procesy o pieniądze

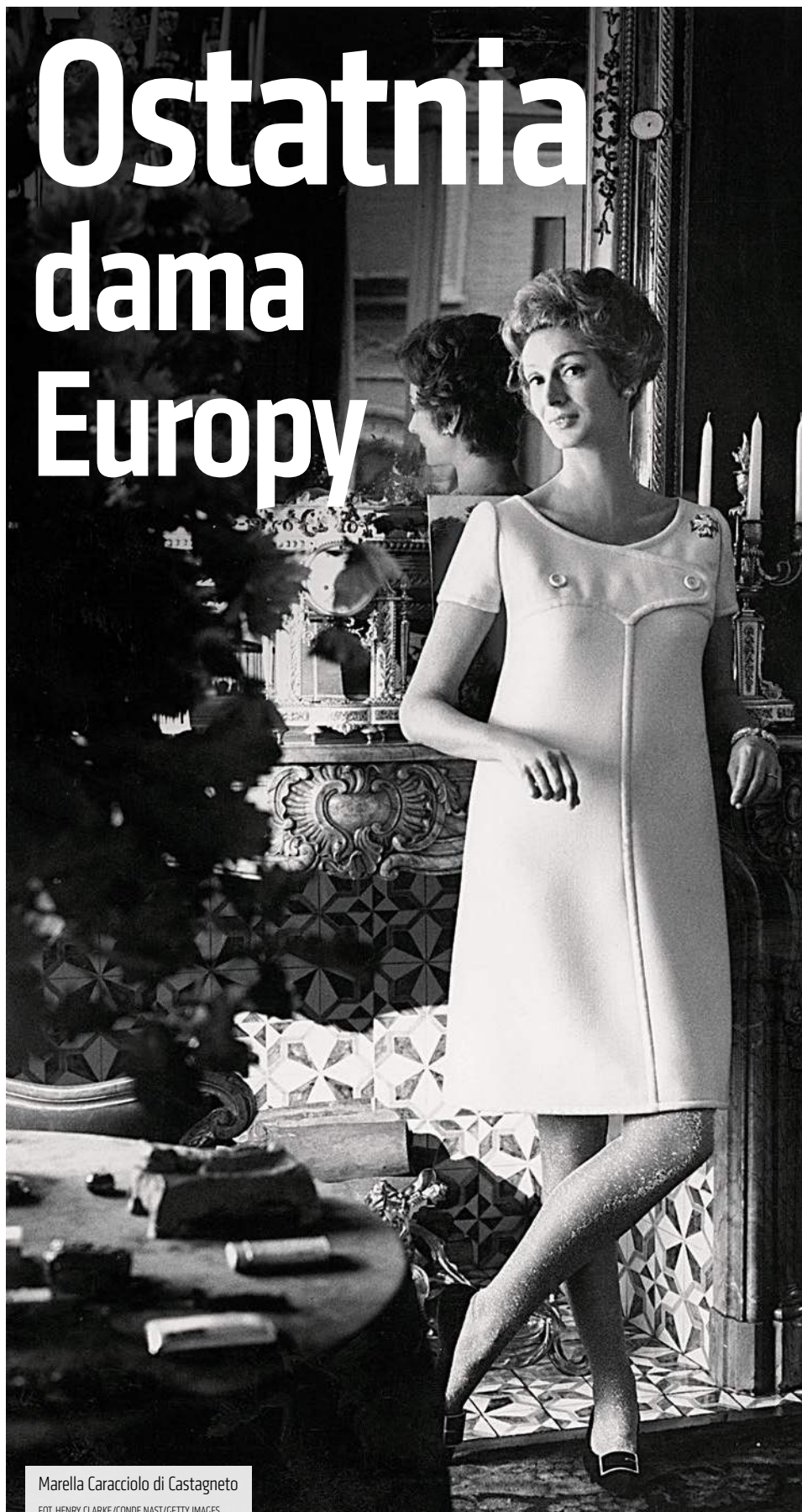
Gdy w roku 1953 Marella Caracciolo di Castagneto wychodziła za Giovanniego Agnellego, była najlepszą partią w Europie. Księżniczką, ikoną mody i mużą artystów. Dzięki temu małżeństwu szef imperium Fiata wszedł do zamkniętego kręgu starej włoskiej arystokracji, a 26-letnia piękna Włoszka rozpoczęła trwający prawie pół wieku maraton podróży, przyjęć, balów. Tak było aż do roku 2000, gdy syn Edoardo popełnił samobójstwo. Dwa lata później na raka prostaty zmarł 81-letni Giovanni. 23 lutego 2019 r., w swojej posiadłości niedaleko Turynu, w wieku 91 lat zmarła Marella. Jak napisały włoskie i francuskie gazety, razem z nią, a także ze śmiercią jej rówieśniczki Lee Radziwiłł, kończy się sztuka życia wielkich europejskich rodzin XX w.

ARYSTOKRACJA Z NEAPOLU

Urodziła się we Florencji w 1927 r. w rodzinie neapolitańskiej arystokracji, córka Don Filippo Caracciolo, Ósmego Księcia Castagneto, Trzeciego Diuka Melito, Patrycjusza Neapolu i Amerykanki Margaret Clarke (śluby z Amerykankami były wtedy w Neapolu bardzo modne). Rodzina Caracciolo di Castagneto była wpływowa i zamożna. Jeden z braci Marelli – Carlo – założył włoski dziennik „La Repubblica”. Drugi – Nicola – był mecenasem i kolekcjonerem sztuki, patronem Niki de Saint Phalle.

Małżeństwo z dziedzicem Fiata nadało 26-letniej Marelli status jeszcze bardziej wyjątkowy. Gianni był najbardziej pożądanym kawalerem Europy (małżeństwo z córką Churchilla nie doszło do skutku) i nieformalnym królem Włoch. Ona – kobietą trofeum. Piękna, wysoka, smukła, z łabędzią szyją, miała pozycję kosmopolitycznej królowej salonów. Była „pierwszym łabędziem” w gronie najpiękniejszych i najelegantszych kobiet świata otaczających pisarza Trumana Capote’a. Obok niej Jacqueline Kennedy, Lee Radziwiłł, Pamela Harriman, Gloria Guinness...

Ostatnia dama Europy



Marella Caracciolo di Castagneto

FOT. HENRY CLARKE/CONDE NAST/GETTY IMAGES



Marella studiowała w Akademii Sztuk Pięknych w Paryżu, fotografowała dla „Vogue’a”, wydawała książki o ogrodach, projektowała tkaniny. Była doradcą prestiżowych instytucji kulturalnych – Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Nowym Jorku, zasiadała w zarządzie weneckiego Palazzo Grassi.

Ślub z Giannim wzięli w Osthoffen, w północnej Francji. Ona w sukni od Balenciagi, on w zakęcie i sztucznych spodniach. I rozpoczęli światowe życie. Oboje kochali luksus. Śniadanie w Saint-Tropez, narty w Saint-Moritz, wystawa w Londynie, obiad z Henrym Kissingerem, kolacja u Maxime’a w Paryżu... Na jacht wpadają zaprzyjaźnieni John i Jacqueline Kennedy, kolacja jest na cześć Fidela Castro. W wagonie sypialnym z Turynu do Paryża pościel, serwetki i ręczniki mają monogram Agnellich. Młoda para kupuje dzieła sztuki: Matisse, Modigliani, Renoir, Manet, Rauschenberg. Richard Avedon fotografował Marelę dla „Vogue’a” w sukni bez ramion podkreślającej jej niezwykle długą szyję i piękną głowę.

Agnelli, tytan biznesu, przekształcił Fiata w dobrze prosperującą maszynę, która z energią pracuje na potęgę Włoch odradzających się po latach biedy. Małżeństwo z Marelą było pozornie zgodne, choć z trudem utrzymywane pozory nie były w stanie ukryć rzeczywistej sytuacji. „Avvocato” (przydomek Agnellego, który studiował prawo), szef rodzinnej firmy, jest także kanonicznym modelem playboya, któremu wybacza się wszystko – jest przecież Włochem, ma przywileje, klasę, pieniądze i styl. Uwielbia szybką jazdę, ma ozdobną arystokratyczną żonę i niezliczone romanse. „Gianni uważa, że kobiety należy zdobywać, nie kochać” – powie o nim Marella. I zdobywa je.

W związku urodzili się syn Edoardo i córka Margherita. Rośli otoczeni służbą, wobec stale nieobecnych rodziców. Edoardo był chłopcem pozbawionym energii i talentu ojca, bez powodzenia starającym się zaskarżyć na jego uwagę i miłość. Ten niewiele się przykładał do wychowania syna.

Chłopiec zainteresował się fotografią i literaturą, ale nic z tego nie wyszło. W rodzinie był zmarginalizowany, nie miał nic do powiedzenia w kwestiach dotyczących firmy, o każdą rzecz musiał prosić ojca. To głęboko deprymujące dla dojrzałego mężczyzny. Edoardo popadł w depresję i uzależnienia. W roku 2000, w wieku 46 lat, wsiadł do swego fiata croma, wyjechał

z Turynu i rzucił się z nieodległego mostu zwanego „mostem samobójców”.

Córka Margherita przyszła na świat w atmosferze skandalu. Romanse ojca z Jacqueline Kennedy, Anitą Ekberg, Silvią Monti – żeby wymienić tylko trzy spośród wielu – były wiedzą publiczną. Gdy Marella była w ciąży z Margheritą, ojciec przeżywał właśnie romans z damą z wysokich kręgów włoskiej arystokracji.

Marella uciekła do Argentyny w towarzystwie Suni, siostry Gianniego. Córeczka tak jak syn zabiegała o uwagę i miłość ojca, ale ich nie otrzymała. Gianni prowadził niezależne od rodziny życie i rzadko spędzał czas z żoną i dziećmi.

W domu zawsze obecny był prawnik ojca, Gianluigi Gabetti. Codziennie przychodził do szefa o godz. 6.40 na rozmowę biznesową, poza tym odgrywał rolę ojca zastępczego dla Edoardo i Margherity. Odwoził ich na zajęcia, eskortował do szkół.

GŁOŚNY PROCES

Dorośle życie Margherity upłynęło głównie na rodzeniu dzieci. Miała ich ośmioro, z dwoma mężami, była troskliwą matką. Nie dawała powodu do plotek, żyła na uboczu rodziny, oddzielna, samotna. – Moja żona postanowiła nie być celebrytką – mówił o niej mąż, Serge de Pahlen.

W 2004 r., dwa lata po śmierci Agnellego, wybuchła sprawa procesu. Marella i cała rodzina Agnellich stali się bohaterami czołówek włoskiej prasy. Córka wytoczyła proces własnej matce. Margherita oskarżyła Marelę, że nie otrzymała należnej jej części majątku. Jest jedynym żyjącym dzieckiem „Avvocato”, ale ani rodzina, ani doradcy ojca, którzy byli dla niej prawie rodziną, nie zaprosili jej na odczytanie testamentu. Jest oburzona, że matka część swoich udziałów w jednej z firm należących do rodziny oddała wnukowi Agnellego, Johnowi Elkannowi, jej rodzonemu synowi. Margherita była pewna, że testament określał przeznaczenie tylko włoskiej części majątku, zatajając wartość inwestycji zagranicznych.

Było o co walczyć. Agnelli, który rządził Fiatem od 1963 r. aż do śmierci, zatrudnił 200 tys. pracowników, kontrolował jedną czwartą włoskiej giełdy. Jego majątek wyceniano na 3–5 mld dol. Jednak rodzina odpierała zarzuty: Margherita wcześniej podpisała umowę, w której oświadczała, że wycofa się z Fiata w 2004 r. Wtedy Fiat był wart 600 mln funtów, a do roku 2007 jego wartość wzrosła do 2 mld.

– Znalazłam się w bardzo nieprzyjemnej sytuacji, kiedy muszę bronić się w sądzie oskarżona przez własną córkę – mówiła załamana Marella. – Margherita przecież zdecydowała wycofać się ze wszystkich spółek i w zamian za to otrzymała solidną rekompensatę, która może zapewnić przyszłość jej i jej dzieciom.

Tę informację pani Agnelli potwierdzili bliscy członkowie rodziny. Przeciwnie Marghericie wystąpiły siostry Gianniego. Syn Margherity, John Elkann, wiceprezes Fiata, także był przeciw matce. Drugi syn, Lapo, nie chciał z nią rozmawiać, gdy dzwoniła z życzeniami urodzinowymi. W publicznej rozgrywce o pieniądze Margherita straciła to, co było dla niej najcenniejsze – rodzinę. Zerwała z nią matka i troje dzieci z małżeństwa z pisarzem Alainem Elkannem. Dla Fiata stała się persona non grata.

Marella, kobieta w podeszłym wieku, też wyszła z tego procesu poturbowana. Ugoda została zawarta rok później, ale konflikt nie wygasł. Margherita nie ustępowała. Przeprowadziła trwające trzy lata śledztwo mające na celu wyjaśnienie spadku po ojcu. I odpaliła bombę – nie we włoskiej prasie, bo Agnelli kontrolują część gazet, ale od razu w „Wall Street Journal”. Przedstawiła dowody, że trzech „consiglieri”, czyli doradców biznesowych Agnellego, zataiło część posiadanego przez niego majątku, nawet większą niż część oficjalna.

Cała rodzina była przeciwko niej. Jej dzieci, 18-letnie siostry Agnellego, prawnicy. W roku 2010 sąd w Turynie oddalił pozew Margherity de Pahlen przeciw matce i trzem doradcom ojca. Jednak Marella nigdy nie podniosła się z traumy.

Przez ostatnie lata życia starała się być aktywna. Ogrodnictwo zawsze było jej pasją. Całe lata pracowała z angielskim projektantem krajobrazu Russellem Page’em nad doskonaleniem swego 12-hektarowego parku Villar Perosa w Turynie. Działła we Włoskim Funduszu Środowiska, organizacji czuwającej nad zachowaniem zabytkowych zespołów przyrodniczych.

Owocem jej zainteresowań są dwie książki: „Gardens of the Italian Villas” (1987) i „The Agnelli Gardens at Villar Perosa: Two Centuries of a Family Retreat” (1998). W ostatnich latach życia zajmowała się odnawianiem zabytkowej willi Ain Kassimou w Marrakeszu, którą państwo Agnelli kupili od rodziny Hermesów. „Ogród, tak jak życie, nigdy nie jest gotowy” – mówiła. Okazało się inaczej.



Radosław Wojtas

Wiosenne porządki w Ekstraklasie – cztery dni i cztery „ścięte głowy”. Władze polskich klubów nie mają cierpliwości do trenerów, ale czy zwolnienie szkoleniowca jest najlepszą metodą na kryzys w zespole?

Zawód trenera to w Polsce ciągle życie na walizkach. Cały rok pracy w jednym klubie to w Ekstraklasie już dość poważny staż. Na 16 drużyn grających w najlepszej lidze w Polsce tylko w jednej szkoleniowiec pracuje nieprzerwanie od ponad dwóch lat (Marcin Brosz – trener Górnika Zabrze od 3 czerwca 2016 r.), sześciu niebawem ma szansę przekroczyć dwuletni staż w jednym klubie, ale większość, bo dziewięciu szkoleniowców, pracuje w klubie niewiele ponad lub krócej niż rok. W tym czwórka, która objęła schedę po trenerach zwolnionych na przełomie marca i kwietnia.

„W Polsce decydujemy się na brutalne rozwiązania, jakimi są zwolnienia trenerów, jednak sami wpędzamy się w błędne koło. Doprowadzamy do sytuacji, w której coś takiego jak szansa dla trenera na wyjście z kryzysu nie istnieje” – uważa Jerzy Dudek, który poruszył temat trenerskiej karuzeli w polskiej piłce na łamach „Przeglądu Sportowego”. „A przecież szkoleniowca powinno oceniać się nie tylko po trofeach, ale też (a może przede wszystkim) po tym, jak radzi sobie z najgorszymi momentami. U nas bardzo często powtarza się jeden schemat. Do klubu przychodzi nowy szkoleniowiec. Na początku jest dobrze, są wyniki, ale potem pojawia się kryzys. Zawodnicy kłócą się z trenerem. Drużyna osiąga słabe wyniki. Prezes łamie się, zwalnia szkoleniowca, przychodzi nowy człowiek, mobilizuje ekipę na nowo, a ta nagle odpala” – pisał w swoim felietonie były bramkarz reprezentacji Polski.

NAWAŁKI KONTAKT Z RZECZYWISTOŚCIĄ

Cztery trenerskie głowy poleciały w Ekstraklasie między 31 marca a 3 kwietnia, a zatem w jednym z najgłośniejszych okresów w sezonie – na począt-

ku rundy wiosennej. Kiedy w pierwszych kolejkach drużynie nie idzie, władze klubów decydują się na wiosenne porządki. Często zaczynają od wymiany trenera.

Tak było w przypadku Lecha Poznań, który 31 marca pożegnał się z Adamem Nawałką. Szkoleniowiec krótko gościł w Kolejorzu. Zarząd klubu podziękował mu już po czterech miesiącach współpracy. Miesiącach, które kosztowały klub słono. Były szkoleniowiec polskiej reprezentacji przyszedł do Poznania z własnym sztabem szkoleniowym, a już samo wynagrodzenie Nawałki media szacowały na 150 tys. zł miesięcznie. Najdroższa ekipa szkoleniowa w historii Kolejorza nie przyniosła Lechowi sukcesów, o których przy Bułgarskiej marzono. Pod wodzą Nawałki zespół z Poznania zagrał 11 ligowych spotkań. Pięć z nich

wygrał, pięć przegrał, jedno zremisował. To niemal doprowadziło drużynę, która ubiegły sezon Ekstraklasy skończyła na podium, do grupy spadkowej.

Tracone punkty, spadki w tabeli, złość kibiców i nacisk mediów wytworzyły ciśnienie, którego zarząd klubu nie wytrzymał. Postanowił pożegnać się z Nawałką i jego najbliższymi współpracownikami zaledwie po 126 dniach współpracy.

Adam Nawałka przychodził co prawda do Lecha po kompromitującym występie Polaków na mistrzostwach świata w Rosji. Przychodził jednak również jako selekcjoner, pod którego wodzą reprezentacja Polski pokonała Niemcy (jedyne przypadki w historii seniorskiej piłki), wywalczyła awans do mistrzostw Europy, docierając w nich do ćwierćfinałów. Na byłego selekcjonera ostrzyży

Nowa miotła, stary kurz





Znaczna część kibiców drużyny z Łazienkowskiej była zmęczona personalną karuzelą, to samo można zapewne powiedzieć o zawodnikach, którzy w każdym sezonie mieli ostatnio po kilku trenerów. W tej sytuacji spodziewano się raczej zatrudnienia kogoś, z kim współpraca rokowałaby lepiej. Postawiono jednak na Śa Pinto, który trenerem seniorskich drużyn jest od 2012 r. i w tym czasie zaliczył już współpracę z większą liczbą klubów niż podczas swojej kariery zawodniczej. Legia była dziewiątym klubem w jego sześcioletniej karierze trenerskiej.

Jeśli połączyć częstotliwość zmiany pracodawców przez Portugalczyka i skłonność władz Legii do częstych zmian szkoleniowców, można było założyć, że ta współpraca długo nie potrwa. Tym bardziej że Śa Pinto słynie z trudnego charakteru. Czemu w trakcie pracy przy Łazienkowskiej dawał wyraz nie tylko w szatni. Głośno było o jego konflikcie z dziennikarką „Przeglądu Sportowego” Izą Koprowiak. Na jednej z konferencji prasowych odmówił odpowiedzi na pytanie dziennikarki, wypalając: „Może pani tutaj przychodzić, może słuchać tego, co mówię, ale dopóki nie będzie pani w porządku w stosunku do drużyny, to ja nie będę udzielać odpowiedzi na żadne pytania”. Dziennikarka do zarzutów trenera Legii i części kibiców odnosiła się później na Twitterze. „Opisuję metody pracy trenera RSP. Jeśli uważacie, że wychodzi w nich na tyrana – to wasz wniosek. Opisuję je zgodnie z prawdą. A szacunku to przede wszystkim nie ma do nas trener, który np. spóźnia się kilkadziesiąt minut na konferencję, która od kilku dni wiadomo, że będzie o 13” – napisała Koprowiak.

Los Ricardo Śa Pinto jednoznacznie przesądziła kompromitująca porażka z powstającą z popiołów Wisłą Kraków. 31 marca Biała Gwiazda rozbiła w Krakowie Wojskowych 4–0. Informacja o odsunięciu Śa Pinto od zespołu obiegła kibiców już 1 kwietnia, ale klub ogłosił ją oficjalnie dzień po prima aprilis.

Co nie dziwi, bo cała polityka zatrudniania trenerów przy Łazienkowskiej w ostatnich latach wygląda jak żart. Ostatnim sezonem, przez który od początku do końca klub przeprowadził jeden trener, był sezon 2014/2015. Jeśli licząc szkoleniowców tymczasowych, prowadzących drużynę w momentach między zwolnieniem jednego a zatrudnieniem kolejnego, to w sezonie

sobie zęby inne kluby, ale to Lechowi udało się ściągnąć Nawałkę do Poznania. Z nadzieją, że poprowadzi Kolejorza jak narodową kadrę za najlepszych lat.

Jednak, jak zauważali komentatorzy, Nawałka z francuskich boisk Euro 2016 a Nawałka przejmujący Lecha Poznań to inne podejście trenerskie. „Wydaje mi się, że w jego pracy nastąpił moment, w którym stracił kontakt z rzeczywistością. Jego znakiem firmowym stały się długie godziny spędzane na analizach i rozmowach z asystentami, a nie styl gry drużyny. W zasadzie te godziny w pracy od jakiegoś czasu są odwrotnie proporcjonalne do efektów sportowych” – pisał już po zwolnieniu Nawałki z Lecha na łamach „Przeglądu Sportowego” były reprezentant Polski Dariusz Dziekanowski. „Ale patrząc na drugą stronę, czyli

pracodawców – czy oni tego nie wiedzieli? A jeśli wiedzieli i dali się przekonać do określonej wizji sportowej, to dlaczego tę wiarę tak szybko stracili? Cztery miesiące na poważny projekt to nie jest dużo czasu” – zauważał w swoim felietonie.

BEZKRÓLEWIE PRZY ŁAZIENKOWSKIEJ

Niedługo popracował także szkoleniowiec jednego z najgroźniejszych rywali Lecha Poznań. Ricardo Śa Pinto przyszedł do Legii mającej apetyt na najwyższe krajowe laury oraz na udział w europejskich pucharach, ale rozchwieanej ciągłymi zmianami szkoleniowców. Objął stery w zespole w sierpniu 2018 r., wprowadzając do Warszawy również trzech swoich współpracowników. Postawienie wtedy na Śa Pinto było dość zaskakujące.

FOTO: TOMASZ JASTRZEBSKI/FOTO OLIWIER WIERCIECH



■ 2017/2018 przy Łazienkowskiej pracowało trzech trenerów, a w sezonie 2016/2017 czterech. Na tym tle 231 dni pracy Ricardo Ša Pinto nie jest wcale rażąco krótką współpracą.

SZANTAŻ KIBICÓW?

Nieco w cieniu tych rozstań przebiegły kolejne dwa zwolnienia w niżej klasyfikowanych drużynach Ekstraklasy. Jednego dnia – 3 kwietnia – ze szkoleniowcami rozstały się Arka Gdynia oraz Wisła Płock.

Wisła Płock zmianą trenera chce ratować się przed spadkiem z Ekstraklasy, a jest na prostej drodze do takiego scenariusza. Nafciarze w najlepszej polskiej lidze występują od sezonu 2016/2017. I ten zespół w ostatnich latach często zmieniał trenerów, co w tym wypadku nie było jedynie wynikiem decyzji władz klubu. Jeszcze do 2017 r. zespół z Płocka mógł się pochwalić najdłuższą współpracą z jednym szkoleniowcem. Kiedy Marcin Kaczmarek rozwiązywał umowę z Wisłą Płock, był nie tylko najdłużej prowadzącym jeden klub trenerem w Ekstraklasie, lecz także najdłużej współpracującym z Nafciarzami szkoleniowcem w historii klubu. Jednak odszedł, a powody rozstania (przeprowadzonego formalnie za porozumieniem stron) były niejasne. Schedę po Kaczmarmku przejął Jerzy Brzęczek, który w lipcu 2018 r. zajął się prowadzeniem reprezentacji Polski. Zastąpił go Dariusz Dźwigala, ale jego drogi z klubem rozeszły się po 85 dniach. Wtedy władze klubu zatrudniły hiszpańskiego trenera Kibu Vicuñę, jednak po 175 dniach zdecydowano się na zmianę. 3 kwietnia podziękowano dotychczasowemu trenerowi. Czy to pomoże Nafciarzom zostać w Ekstraklasie? Wisła Płock, która poprzedni sezon kończyła na 4. miejscu w tabeli, po 29. kolejce zajmowała przedostatnie miejsce.

W nieco lepszej sytuacji, bo o dwa oczka wyżej w ligowej tabeli, jest Arka Gdynia, która również 3 kwietnia pożegnała się z trenerem. Zbigniew Smółka został zwolniony po 299 przepracowanych w klubie dniach. Decyzję o rozstaniu właściciel Arki, 22-letni Dominik Midak, ogłosił na Twitterze godzinę przed derbami z Lechią Gdańsk. I zapowiedział większe zmiany w klubie. W rundzie wiosennej do 28. kolejki, podczas której zwolniono Smółkę, gdynianie zdobyli zaledwie jeden punkt.

Trenerzy zwolnieni między 31 marca a 3 kwietnia



31 marca: Adam Nawałka – Lech Poznań

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



2 kwietnia: Ricardo Ša Pinto – Legia

Warszawa FOT. MATERIAŁY PRASOWE



3 kwietnia: Kibu Vicuña – Wisła Płock

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



3 kwietnia: Zbigniew Smółka – Arka

Gdynia FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Jednak sposób, w jaki zwolniono trenera Arki Gdynia, nie pozostał bez echa. „Tego to jeszcze nawet w kinie nie grali, a co dopiero w Ekstraklasie. Trener zwolniony przed meczem ma prowadzić zespół w derbach, a po meczu ma wypier...” – napisał na Twitterze Artur Wichniarek. Emocjonalnie zwolnienie Midaka komentował trener ścierającej się z Arką w derbach Lechii Gdańsk. – To, co się wyrabia, to skandal. Niedługo w ogóle nie będziemy potrzebni. Jestem oburzony

tą sytuacją, tak się nie robi, to jest poniżające – mówił. – Może ktoś to przebijie i zwolni trenera w przerwie – ironizował.

Dziennikarz sportowy Adam Godlewski zasugerował, że trenerską głowę ścięto w tak kuriozalnych okolicznościach na skutek szantażu pseudokibiców klubu. „Jeśli to prawda, że zwolnienie trenera tuż przed meczem w Gdyni było warunkiem tego, aby derby Trójmiasta mogły być rozegrane bez zakłóceń (i w ogóle dokończone) – a takich sygnałów w trakcie meczu dostałem kilka z poważnych źródeł – to oznacza, że nasz ligowy futbol nie ma sensu” – napisał na Twitterze.

A że już parokrotnie mogliśmy się przekonać, iż kibole nie mają hamulców w „motywowaniu” swoich drużyn, to strach przed nimi niestety może mieć duży wpływ na działania podejmowane przez klub. Były już piłkarz (m.in. Legii i Jagiellonii) Dariusz Czykier wspominał w jednym z wywiadów: „Po porażce 0:3 w Poznaniu z Lechem przy Łazienkowskiej [kibice – przyp. red.] zorganizowali »ścianę płaczu«. Kazali ustawić się pod stadionowym murem i każdemu wypłacili po plaskacz”. A że podobne zachowania mogą zdarzać się i dziś, przekonali się w październiku 2017 r. piłkarze Legii, kiedy zostali „przywitani” przez grupę pseudokibiców na parkingu przy Łazienkowskiej po przegranym meczu z Lechem w Poznaniu, kiedy to nie skończyło się tylko na meńskiej rozmowie.

EFEKT NOWOŚCI

Jednak trenerska karuzela to przede wszystkim konsekwencja wiary w efekt nowej miotły. Właściciele klubów (nie tylko polskich, choć Ekstraklasa jest w czołówce częstotliwości wymian trenerów) wierzą, że wstrząs w postaci zmiany szkoleniowca wpłynie motywująco na zespół i wyciągnie go z dołka. I nawet jeśli czasem tak się zdarza, to jest to efekt krótkotrwały. Mimo tego kluby, które jak powietrza potrzebują kilku punktów, decydują się na takie metody.

Oddając jeszcze raz głos Jerzemu Dudkowi, byłemu zawodnikowi takich – pozostających na topie przez długie lata – potęg jak Liverpool i Real Madryt: „Mam wrażenie, że zmiany, do jakich doszło niedawno w czterech klubach, to krótkoterminowe działania. Wstrząs zadziała, pacjentowi przywróci się puls, jednak nie ma w tym żadnego długofalowego planowania, o którym przecież tyle się mówi”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Rentis

poznaj nowy
wymiar podróżowania



Rentis
Smart way to rent a car



+48 720 200 500



www.rentis.pl



info@rentis.pl

OGÓLNOPOLSKA WYPOŻYCZALNIA SAMOCHODÓW

📍 **BIAŁYSTOK** +48 519 535 331 📍 **BYDGOSZCZ** +48 519 535 300 📍 **GDAŃSK** +48 519 535 311 📍 **GORZÓW WLKP.** +48 519 535 327
📍 **KATOWICE** +48 519 535 301 📍 **KIELCE** +48 519 535 304 📍 **KRAKÓW** +48 519 535 305 📍 **LUBLIN** +48 519 535 318
📍 **ŁÓDŹ** +48 519 535 308 📍 **OLSZTYN** +48 519 535 314 📍 **OPOLE** +48 519 535 307 📍 **PŁOCK** +48 519 535 334 📍 **POZNAŃ** +48 519 535 303
📍 **RZESZÓW** +48 519 535 306 📍 **SZCZECIN** +48 519 535 310 📍 **WARSZAWA** +48 519 535 302 📍 **WROCŁAW** +48 519 535 307



KATARZYNA PINKOSZ: Gdy ksiądz rektor czyta informacje o przypadkach zgonów na SOR-ach, z powodu przepracowania lekarzy, ale też braku spojrzenia na pacjenta, to czy uda się tę sytuację zmienić dzięki kształceniu kadr medycznych na UKSW?

KS. PROF. STANISŁAW DZIEKOŃSKI: Nie mam wątpliwości, że wrażliwość kadr medycznych jest zależna nie tylko od wrodzonych cech potencjalnych lekarzy czy pielęgniarek, lecz także jest wynikiem refleksji i swoistej „pracy nad sobą”. Dlatego jakość kształcenia personelu medycznego będzie miała przełożenie na sposób podejścia do pacjentów – czy to na SOR-ach, czy w salach szpitalnych.

Medycyna na uczelni katolickiej – pomysł początkowo bardzo krytykowany – staje się faktem. Od października startujecie z wydziałem lekarskim. Czym medycyna na UKSW różni się od tej na innych uczelniach? Mówicie o etyce, ale przecież jest ona ważna dla wszystkich lekarzy. Inne uczelnie też uczą etycznego leczenia.

To prawda. Nie chcę stawiać się w kontraście do innych uczelni i doceniać wszelkie wysiłki etycznego kształcenia lekarzy. Faktem jest jednak, że humanizm naszych absolwentów ma pewną specyfikę. UKSW jest bardzo silny w naukach humanistyczno-społecznych, a także w innych, które podnoszą kwestie antropologiczne. Mamy długoletnie tradycje nauk teologicznych, filozofii chrześcijańskiej, psychologii i pedagogiki tworzonej na podstawie chrześcijańskich wartości akcentujących niezbywalną godność każdej osoby ludzkiej. Etyczna i bioetyczna refleksja wpisana w szeroki kontekst antropologii chrześcijańskiej uwrażliwia na człowieka nie tylko jako na pacjenta, lecz także na osobę, w której choroba jest wpisana w całość organizmu, oraz na relacje pacjenta z jego otoczeniem. Nakłada się nie tylko na ból fizyczny, lecz także duchowy. W tym kontekście niezwykle wagi nabiera to, że nasz uniwersytet ma bogate doświadczenia w obszarze komunikacji międzyludzkiej, z uwzględnieniem duchowości człowieka.

Lekarze, którzy tu się wykształcą, będą wiedzieć, jak przeprowadzić zabieg in vitro?

Nasz program kształcenia uwzględnia wymagania ustawowe, które przypisane są w ogóle do prowadzenia kierunku lekarskiego. Warto jednak podkreślić, że w kształceniu będziemy bardzo akcentować wartość ludzkiego życia na każdym



Z ks. prof. Stanisławem Dziekońskim,
rektorem Uniwersytetu
Kardynała Stefana Wyszyńskiego
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Medycyna po katolicku?



FOT. ANDRZEJ JANECZEK/EAST NEWS



jego etapie. W tym względzie będziemy obficie czerpać z doświadczeń lekarzy i klinik o proveniencji chrześcijańskiej. Współpracy z najlepszymi katolickimi ośrodkami medycznymi, wśród których chciałbym zauważyć Poliklinikę Gemelli w Rzymie, sprzyja charakter naszej uczelni. Aby odpowiedzieć na wyzwania czasu związane z prokreacją i ochroną życia, będziemy dążyć do utworzenia przy Wydziale Medycznym UKSW Światowego Centrum Bioetyki. Jestem pewien, że znajdziemy takie rozwiązania, które nie będą godzić ani w dobro matki, ani dziecka.

Chcemy też tak przygotowywać przyszłych lekarzy, by nie liczyły się dla nich tylko czas wizyty czy to, ile zarabiają. Dzisiaj też jest wielu lekarzy z misją, chcemy jednak te kwestie mocniej podkreślić.

Gdy tyle mówi się dziś o zarobkach lekarzy, jest realne myślenie, że młodzi ludzie, którzy tu skończą medycynę, będą patrzeć inaczej?

Myślę, że tak. Może nie wszyscy, jednak mam nadzieję, że uda nam się tak ich wykształcić.

Jak oni potem odnajdą się w naszym systemie, gdzie na SOR-ach są tłumy i nie ma czasu, by zająć się chorym, bo czeka kilkadziesiąt osób?

Problem kolejek osób czekających na pomoc lekarza jest dość złożony. Bardzo ważne jest jednak to, żeby lekarze okazywali większą empatię i wrażliwość chorym. Jestem przekonany, że w wielu przypadkach nie chodzi tylko o ilość czasu poświęconego choremu, lecz także o jakość kontaktu, w którym nie może zabraknąć np. spojrzenia w oczy i słowa budzącego nadzieję. W tym kontakcie nie można zapomnieć o tym, że człowiek jest istotą fizyczno-duchową, posiada godność. Bardziej dogłębne zrozumienie tej prawdy umożliwia studiowanie nauk humanistycznych.

To ważne, jednak od lekarzy oczekuje się przede wszystkim wiedzy i skutecznego leczenia.

Jak najbardziej te oczekiwania są zrozumiałe. Dlatego też w kształceniu przyszłych lekarzy, zapewniając odpowiednią wiedzę z zakresu humanistyki, dużą wagę będziemy przykładać do warsztatu typowo medycznego. W kształcenie chcemy włączyć m.in. warsztat z zakresu medycyny cyfrowej, rozwijany w nowo otwartym Centrum Cyfrowej Nauki i Technologii UKSW.

Zawsze jednak kwestia godności jako najwyższej wartości będzie porządkowała nasze spojrzenie zarówno na rozwój technologii stosowanych w medycynie, jak i praktyczne przygotowanie studenta do zawodu lekarza.

Stawiacie na nowoczesną medycynę?

Oczywiście, w tym celu zbudowaliśmy nowoczesne laboratoria biologiczne, chemiczne, fizyczne, związane z obszarem nowych technologii cyfrowych. Już dziś zmieniamy profil niektórych kierunków studiów, tworząc np. biologię medyczną czy fizykę medyczną. Stawiamy też – jak wspominałem – na innowacje w medycynie cyfrowej. W tym celu chcemy

partnerów, wśród których są: Wojskowy Instytut Medyczny w Warszawie, Instytut Kardiologii w Aninie, Szpital Centralny MSWiA, Instytut Matki i Dziecka. Wydział Medyczny wpręgamy w ustawę 2.0, dlatego zwracamy uwagę nie tylko na jakość i poziom dydaktyki kandydata na wykładowcę, lecz także na poziom badań naukowych. Kadre dobieramy tak, by spełniać najwyższe kryteria przypisane do kategorii A i A+.

Niektórzy lekarze nie potrafią rozmawiać z chorymi. Chcemy uczyć lepszej komunikacji z pacjentem.

Od lekarza wymaga się jednak przede wszystkim skutecznego leczenia...

Nie chodzi tylko o ilość czasu poświęconego choremu, lecz także o jakość kontaktu, w którym nie może zabraknąć np. spojrzenia w oczy i słowa budzącego nadzieję

otworzyć nowy kampus, w którym część laboratoriów będzie dedykowana medycynie cyfrowej, sztucznej inteligencji. Będą z nami pracować osoby z ogromnym doświadczeniem, mające światowe osiągnięcia w tym względzie.

Na UKSW działa już pielęgniarstwo. Dużo mieliście chętnych?

Kierunek pielęgniarstwo jest oblegany. W rekrutacji mieliśmy kilka osób na jedno miejsce. Prowadzimy studia bezpłatne – w języku polskim i angielskim, z myślą o studentach z innych krajów, np. z Indii, z Afryki czy z Chin. Przygotowujemy specjalny program stypendialny dla sióstr zakonnych z wymienionych wyżej obszarów geograficznych w przekonaniu, że po odpowiednim przygotowaniu i nauce języka polskiego uzupełnimy braki pielęgniarek w polskich szpitalach.

Jest już kadra, która będzie kształcić przyszłych lekarzy?

Tak, choć nie chcę wszystkiego zdradzać. Kandydatów do pracy w UKSW na nowo tworzonego Wydziału Medycznym jest wielu. Przy doborze kadry kierowaliśmy się nie tylko ich doświadczeniem klinicznym, lecz także pozycją naukową i współpracą międzynarodową.

Osoby włączone w Wydział Medyczny UKSW zostały w dużej mierze wskazane przez naszych strategicznych

Tak, przy czym skuteczność tego leczenia zależy od jakości pracy lekarza, od jego przygotowania. Ważne w tym względzie są zdobyta wiedza, praktyka, ale też cechy wpisane w duchowość każdego człowieka, wśród których trzeba zauważyć sumienność, poświęcenie, gotowość służby innym. Nietrudno więc zauważyć, że znowu wracamy do kwestii akcentowanych w humanistyce.

Niedawno UKSW organizował konferencję na temat bólu, niepełnosprawności. Mówiliście o perspektywie wiary, a z drugiej strony na konferencję zaprosiliście m.in. WOŚP. Czy medycyna na UKSW też będzie starała się łączyć różne środowiska?

Pozostając wierną przesłaniu Ewangelii, nasza uczelnia otwiera się na współpracę z różnymi środowiskami, które stawiają sobie za cel pomoc potrzebującym, zwłaszcza chorym i cierpiącym. Od kilku lat organizujemy konferencje, których ideą przewodnią jest temat bólu czy cierpienia, odnoszonego nie tylko do sfery fizycznej człowieka, lecz także duchowej. W wielu wystąpieniach osób na co dzień współpracujących z nieuleczalnie chorymi bardzo silnie akcentowana była kwestia wartości wiary w odkrywanie sensu cierpienia. Tematyka ta bardzo dobrze wpisuje się w charakter naszego uniwersytetu i doskonale łączy kierunki studiów obecne na naszej uczelni – od teologii do medycyny.



JACEK KOMUDA

GRZECY PIASTÓW

Jedźmy na hops!

Pisaliśmy już o św. Stanisławie, biskupie krakowskim pobożnym, pierwszym polskim pogromcy LGBT et cetera, czas więc wspomnieć o jego nieco mniej pobożnych następcach, których wszakże zasług pominąć nie można. Jednym z nich jest bp Zawisza z Kurozwęk herbu Poraj, syn możnego Dobiesława Kurozwęckiego, człowiek, który po śmierci Kazimierza Wielkiego wywierał wielki wpływ na politykę Królestwa Polskiego.

Zawisza był stronnikiem króla Ludwika Węgierskiego, który odziedziczył tron po śmierci Kazimierza. Przyszły biskup stał się zwolennikiem osadzenia na tronie polskim jednej z córek władcy; osiągnął ogromne zaszczyty za czasów unii personalnej polsko-węgierskiej, w czym pomagali mu zarówno ojciec, jak i brat – Krzesław, kasztelan sandomierski. Dość powiedzieć, że w 1352 r. Zawisza był zaledwie kanonikiem sandomierskim, w 1352 r. już krakowskim, w 1366 r. został archidiaconem. Wreszcie w 1380 r., król mianował go biskupem krakowskim. Jednocześnie sprawował urzędy świeckie – w 1371 r. został podkanclerzym koronnym, w rok potem kanclerzem. Dziesięć lat później, po opuszczeniu kraju przez Elżbietę Łokietkównę sprawującą urząd regentki, został mianowany przez Ludwika na stanowisko vicariusia regni Poloniae – zastępcy króla polskiego. Faktycznie sprawował niepodzielną władzę w Polsce, rządząc silną ręką, co doprowadziło do konfliktów z rycerstwem i możnowładcami – głównie wywodzący się z Wielkopolski.

Janko z Czarnkowa, autor kroniki, nie pałał do niego miłością i przedstawił nam na jej kartach żywot nie tylko twardego polityka, lecz także rozpustnika i hulaki, sławnego z bogactw, awantur i podbojów miłosnych. „Roku pańskiego 1382 [...] Zawisza, syn Dobiesława,



FOT. WIKIPEDIA

kasztelana krakowskiego, pełen złych uczynków, a z cnót prawie wszystkich wyzuty, zakończył żywot doczesny” – pisał o biskupie. Oskarżał go o podstępne intrygi, dzięki którym został archidiaconem i potem podkanclerzym – wywierając wielki wpływ na regentkę. Wszystko dlatego, że biskup krakowski był jego osobistym wrogiem i doprowadził do wygnania autora w 1372 r., za próbę przywłaszczenia insygniów koronnych po śmierci Kazimierza Wielkiego; przejął też jego urząd podkanclerzego.

Zawisza jednak prowadził własną politykę, nie ulegając Andegawenom i trzymając cugle królestwa mocno w garści, co oczywiście nie było w smak feudalnym panom. Słynął z hulaszczego żywota. Jak podaje Janko: „Koni cugowych, rzędów na nie i szat dla ubrania swego ciała miał mnóstwo nadzwyczajnie, mówiono, że posiadał przeszło 70 koni i tyleż zmian ubrania i rozmaitych przyborów do pojazdów i koni, do poczwórnych kolas miał mieć niezwykłą ilość cugowców”.

Poza tym fundował kaplice, rozpoczął na nowo budowę katedry poznańskiej, zaczął murować rezydencję w Głównie, obmurował też miasto Słupcę. Według kronikarza najślawniejsze były jednak jego wy-

czyny miłosne: „Nie unikał bowiem grzechu wszetecznego, zwłaszcza gwałcenia dziewic [...]. Przybywszy do Krakowa, nowy biskup [...] tak dalece cugle swawoli popuścił, że cielesnym rozkoszom tak obrzydliwym u biskupa oddawał się otwarcie bez żadnej powściągliwości”.

Janko podaje, że Zawisza został ciężko poraniony podczas jednej z miłosnych wypraw. Umówiwszy się z pewną piękną córką chłopca lub „jakiegoś biedaka” na schadzke w stogu słomy, został tam przydybany przez jej ojca, który „zrzucił go razem z drabiną na dół”.

„Od tego upadku, jak powiada, biskup zapadł na chorobę i już się nie mógł wyleczyć do śmierci”, ta zaś z kolei w opisie Janka z Czarnkowa jest wręcz przykładem moralizatorstwa. Zawisza, który grzeszył dwoma członkami ciała – z których wcale nie najbardziej winnym był język – „cierpiął na rany na języku i w gardle, a to tak, że przed śmiercią, jak powiadają, ledwo mógł mówić i połykać jakikolwiek napój i nie mógł zamknąć ust, tak że i po śmierci został z otwartymi ustami, a prawy bok jego, jak powiadają, był od operacji zupełnie pocięty. Długo się męczył przed śmiercią – tym skuteczniej mógłby żałować za grzechy”.

Śmierć Zawiszy dała początek czarnej legendzie biskupa, który za swoje występki został przeklęty, czego świadectwem były znaki, jakie zdarzyły się po jego pogrzebie, wyprawionym przez brata Krzesława z przepychem i na sposób świecki. Po pochówku ludzie strzegący w zakrystii skarbu kościelnego usłyszeli tętent koni, biegających tam i z powrotem po posadzce, oraz głosy wołające jeden do drugiego: „Jedźmy na hops!” – czyli na pijaństwo i rozpustę. Tak bowiem wołał biskup i prawdziwy władca Królestwa Polskiego, zwołując kompanów na wesołą zabawę. ©©

WIELKANOCNY STÓŁ BEATY MAZUREK

Święta – czy to bożonarodzeniowe czy wielkanocne – są w moim domu bardzo tradycyjne. To dotyczy również potraw. Są to sprawdzone przepisy, znane zapewne w wielu domach. Wśród potraw, które zawsze przygotowuję na Wielkanoc, jest pascha. Nie wszędzie w Polsce jest podtrzymywana ta tradycja, ja natomiast odkąd założyłam własną rodzinę i poznałam tę potrawę na Lubelszczyźnie, dbam o to, by zawsze znalazła się na świątecznym stole. Przygotowuję się ją prosto, podobnie jak moją ulubioną potrawę, która również zawsze gości na naszym wielkanocnym stole, czyli białą kiełbasę.

Pascha

Składniki:

- 50 dag tłustego białego sera
- 3 żółtka
- 3 łyżki miodu
- 2 łyżki rodzynek
- 3/4 szklanki cukru pudru
- cukier waniliowy
- 2 łyżki obranych i posiekanych migdałów
- 2 łyżki pokrojonych moreli
- 2 pokrojone figi
- skórka starta z całej cytryny

Przygotowanie:

Ser zemleć trzy razy, połączyć z resztą składników i bardzo dokładnie wymieszać. Salaterkę (najlepiej w kształcie stożka) wyłożyć

wilgotną gazą, przełożyć do niej paschę i wstawić na kilkanaście godzin do lodówki. Wyjąć bezpośrednio przed podaniem i przełożyć na patelnię.

Biała kiełbasa: surową (nie parzoną) białą kiełbasę opłukać i nakłuć kilka razy widelcem z dwóch stron, posypać solą ziołową i czosnkiem granulowanym, ułożyć ciasno w blaszce wyłożonej papierem do pieczenia, na wierzch kiełbasy położyć pokrojoną w piórka cebulę. Przykryć folią. Piec w piekarniku ok. 40 min, po czym zdjąć folię i piec jeszcze ok. 15 min, by kiełbaski nabrały pięknego koloru. Tak przygotowana biała kiełbaska smakuje doskonale na zimno, ale nadaje się również do podania w żurku. ©©

oprac. raw

Beata Mazurek jest wicemarszałkiem Sejmu, rzecznikiem prasowym PiS.



FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PPAP



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Niedobre „czerwone złoto”

Margaryna, ciasteczka, chińskie zupki, lody, kremy czekoladowe, gotowe dania, pizze – to tylko kilka z wielu produktów, w których znajduje się olej palmowy. W postaci płynnej od zawsze składnik kuchni afrykańskiej, której zapewnia dostawę witaminy A. My mamy z nim do czynienia w postaci utwardzonej, a to zmienia postać rzeczy.

Utwardzony olej palmowy staje się niezdrowy. Pozbawiony jest wartości odżywczych, jego nasycone kwasy tłuszczowe niekorzystnie wpływają na układ krążenia. Trudno go wykrzyć, bo jest właściwie bez smaku. Producentom żywności niechętnie się nim chwala, podając listę składników, czasem zasłaniając się kryptonimem Oleje Roślinne.

Główny Inspektorat Jakości Handlowej Artykułów Rolno-Spożywczych co prawda precyzuje, jaka informacja o tłuszczu użytym do produkcji powinna być użyta na etykiecie. Kto jednak będzie sprawdzał, czy olej został użyty w postaci płynnej czy został utwardzony? Kto będzie się zastanawiał, jaki składnik zawiera szminka, którą przecież częściowo się zjada?

Nie to jest jednak najgorsze w oleju palmowym. Najgorsze jest to, że jest wyjątkowo wredny dla środowiska. Doprowadził do wycięcia tysięcy hektarów lasów tropikalnych. W latach 70. ten gatunek palmy został wprowadzony do Malesji

w celu dywersyfikacji upraw kauczukowca. Wkrótce drzewa skolonizowały Azję w niewyobrażalnym i przerażającym tempie: co minuta zniknął tam obszar dżungli równy sześciu boiskom do piłki nożnej! Rozprzestrzeniły się także w Afryce – uprawy lasów palmowych rozciągają się teraz w Kongu, Nigerii, na Wybrzeżu Kości Słoniowej, w Gaboronie. W latach

2005–2015 na Borneo zniszczono 2,1 mln ha lasu.

W 2015 r. gigantyczne pożary wywołały gęstą toksyczną chmurę nad Azją

Południowo-Wschodnią. W parku narodowym Tanjung Puting wyginęły orangutany. Kiedy jednak, mając świadomość zagrożeń, Europa chce zmniejszyć import, Indonezja mówi: „Nie”, grożąc zerwaniem zawartych w Paryżu porozumień klimatycznych. Palma „czerwone złoto” jest bowiem niezwykle wydajna i pozwoliła wyciągnąć z nędzy miliony ludzi. Z hektara można osiągnąć cztery tony oleju – rzepak daje 600 kg, soja – tylko pół tony.

Czy należy zakazać uprawy lasów palmowych? Dobrego rozwiązania nie ma. Żeby wyprodukować takie ilości oleju rzepakowego, trzeba by ośmiokrotnie zwiększyć powierzchnię upraw. Ekolodzy proponują, aby palmy sadzić tylko na ziemiach wyjątkowych. Organizacje ekologiczne śledzą nielegalne wycinki za pomocą satelitów i dronów. Czy to coś jednak da? ©©



FOT. ADRIAN STOK



KOMPAKTOWA SZYBKA LIMUZyna

Mercedes-AMG A 35 4Matic limuzyna to drugi model Mercedes-AMG zbudowany na nowej platformie dla aut kompaktowych. Ograniczona elektronicznie prędkość maksymalna wynosi 250 km/godz. Auto od zera do pierwszej setki przyspiesza zaś w ciągu 4,8 s. Takie wyniki są zasługą czterocylindrowego benzynowego silnika turbo o pojemności 2 l, mocy 306 KM i maksymalnym momencie obrotowym wynoszącym 400 Nm, dwusprzęgłowej przekładni AMG Speedshift DCT 7G oraz aktywnego napędu na obie osie AMG Performance 4Matic. Aby jak najbardziej upodobnić auto do wozów sportowych, projektanci tego modelu nawet lusterka umieścili poniżej bocznych szyb. Wzrok przechodniów przyciągają też: dyfuzor, spoiler oraz dwie końcówki układu wydechowego.



POZEW ZA POMIAR

Odcinkowy pomiar prędkości narusza prawo do prywatności i ochrony wizerunku – przekonuje kierowca z Tychów, który pozwał Wojewódzki Inspektorat Transportu Drogowego w Katowicach. Polski kierowca argumentuje, że brakuje podstaw prawnych dla odcinkowych pomiarów, i powołał się na wyrok niemieckiego sądu, który kazał wyłączyć takie kamery w Niemczech, wskazując, że taki sposób zbierania informacji jest niezgodny z konstytucją.

„Informacje zbierane w chwili wjazdu do strefy są w stosunku do absolutnie wszystkich przejeżdżających pojazdów, nawet jeśli kierujący pojazdem nie popełnił wykroczenia, a nawet nie jest o nie podejrzany. Informacja zbierana jest tylko dlatego, że hipotetycznie w przyszłości kierujący może popełnić wykroczenie, którego prawdopodobieństwo jest nikłe – poniżej 1 proc. pojazdów poruszających się tą drogą” – argu-

mentuje w pozwie kierowca cytowany przez portal BRD24.pl.

AUTONOMICZNE AUTA W NIEMIECKICH MIASTACH

Volkswagen Group rozpoczął testy pięciu samodzielnie jeżdżących golfów na ulicach Hamburga w Niemczech. Na wszelki wypadek poczynania komputera cały czas będzie nadzorował człowiek. Uzbrojone w nowoczesne czujniki laserowe, a także w radary i skanery auta będą poruszać się też po ściśle określonym obszarze o wielkości 3 km kw. VW dołączył tym samym do BMW, które od 2017 r. na ulicach Monachium testuje rozwiązania dotyczące czwartego (czyli niemal najwyższego) poziomu rozwiązań autonomicznej jazdy.

WIĘCEJ ELEKTRYCZNYCH NIŻ SPALINOWYCH

W Norwegii padł nowy rekord. Pierwszy raz w historii w statystykach sprzedaży samochody elektryczne wyprzedziły auta napędzane silnikami spalinowymi. Elektryki stanowiły w marcu aż 10 732 (58,4 proc.) z 18 375 sprzedanych nowych aut. Liderem rynku jest Tesla model 3.

Norweskie władze postawiły ambitny cel zaprzestania sprzedaży nowych samochodów z napędem spalinowym do 2025 r. Wiele wskazuje na to, że liczne przywileje zachęcające



do kupna elektryków zdają egzamin. Nabywcy takich samochodów są np. zwolnieni z konieczności zapłaty 25-procentowego podatku VAT, cieszą się też licznymi zniżkami na parkingi, promy czy drogi.

NIE TYLKO DLA EKOLOGÓW

Jest też dobra wiadomość dla tych, którzy kochają niezbyt ekologiczne, ale za to fantastyczne, królewskie silniki... 12-cylindrowe. W zielonych czasach, gdy kolejni producenci porzucają produkcję dużych silników, jeden z dyrektorów BMW zapewnił, że bawarska firma zamierza produkować jednostki V12 co najmniej do 2023 r. Limuzyna BMW 7 z silnikiem V12 (i mocą wynoszącą aż 585 koni mechanicznych) cieszy się bowiem ogromną popularnością zwłaszcza wśród nabywców z Bliskiego Wschodu oraz Chin. ©©

Jacek Przybylski



PRENUMERATA 2019

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA



**TYGODNIK
„DO RZECZY”**

WERSJA PAPIEROWA
TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP
DO E-WYDAŃ W APLIKACJI



W PREZENCIE
KSIĄŻKI

MARK BOWDEN
„HUE 1968. WIETNAM WE KRW”
LESZEK ADAMCZEWSKI
„W KRÓLESTWIE HANSA FRANKA”

~~689~~ zł



245,00 zł



**OSZCZĘDNOŚĆ
444** zł

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl



ANDRZEJ NOWAK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Odrzucone dziedzictwo

Wówczas może więcej jeszcze niż dzisiaj arystokracja polska, pragnąc zrzucić z siebie wszelki pozór barbarzyństwa, zrzuciła razem namiętnie wszystkie polskości cechy. Wówczas jak dzisiaj hasłem jej była rezygnacja i szyderstwo z gorącego patriotyzmu. [...] Wielki świat bolał tylko, że musiał po trosze być polskim. Polska dla niego była tak smutną, iż z niej ciągle się uciekać chciało, ona przedstawiała obowiązek, trud, twarde zapasy z losami, a wszyscy tak pragnęli życia i użycia! Po cichu ileż to serce biło do tego, aby raz sobie kto Polskę zabrał... byle w niej było spokojnie, byle patrioci przestali hałasować, byle rewolucje przestały wybuchać, byle wzięwszy pieniądze z domu, można było uciec nad brzegi Arnu lub Sekwany. To usposobienie wielkiego świata ubierało się chętnie jak dziś w pozory byle jakiej doktryny, która by dozwalała siedzieć z założonymi rękami wygodnie, nic nie robiąc, a napawając się życiem [...]. Miłość ojczyzny w tym sfrancuziałym świecie schodziła do tak drobnych rozmiarów, iż się w końcu stawała niedostrzeżoną. Patriotów zwano po cichu donkiszotami jak dzisiaj, a salon nienawidził ulicy, co też

przetrwało do dni naszych. Wielkie panie zmuszone były poklaskiwać fetom patriotycznym i dawać rączki do pocałowania bohaterom ulicy, ale po cichu jakże się z nich wyśmiewano.

Tak pisał, równo 150 lat temu, Józef Ignacy Kraszewski w powieści „Sto diabłów. Mozaika z czasów Sejmu Czteroletniego”. Pisał o postawach, które dostrzegał wokół siebie i które niszczyły, podmywały polską wspólnotę polityczną, Rzeczpospolitą, jeszcze 100 lat wcześniej, w czasach tworzenia oświeceniowego kompleksu: polski ciemnogród i europejski jasnogród.

Ten cytat nasunął mi się w związku z wystąpieniami dwojga dzisiejszych posłów, noszących piękne historyczne nazwiska. Jerzy Meyszowicz, herbu Rawicz, oburzył się na białą-czerwoną flagę, nazywając ją partyjnym emblematem. Róża, z domu Woźniakowska, herbu Prawdzic (inaczej niż wiele współczesnych kobiet, broniących z dumą swego nazwiska, zdecydowała się je zakryć całkowicie przyjętym po mężu: Thun und Hohenstein), oburzyła się natomiast na różaniec wiszący w taksówce, dostrzegając w nim od razu także symbol partyjnego szaleństwa. Poseł Meyszowicz dawał wiele razy odczuć swe poczucie wyższości nad plebem zamieszkującym polskie zagacie: „Bardzo często na prowincji ludzie nie mają dekodów, nie oglądają komercyjnych telewizji [...]. W dużych miastach, gdzie świadomość polityczna jest dużo większa i ludzie są wykształceni, bardziej są w stanie pojąć pojęcia Trybunał Konstytucyjny, konstytucja”. Pani europoseł (skoro nosi tylko nazwisko po mężu, nie będę zmieniał formy gramatycznej na żeńską) ujawnia z kolei, jak uwiera ją trwanie przy polskiej suwerenności: „Suwerenni

w dzisiejszym, zglobalizowanym świecie jesteśmy tylko wtedy, jak tą suwerennością dzielimy się z takimi rządami, które dzielą te same wartości – szanują demokrację, prawa człowieka, wolny rynek itd.”.

Tak jak pan poseł chciałby się wreszcie uwolnić od polskiej hołoty bez dekodów, pani poseł chodzi o pozbycie się tego nieznosnego balastu polskości, zaścianka, niepodległości. Pani poseł jakby chciała uciec od tego zadumanego nad polskim losem gen. Henryka Dembińskiego, wodza powstania listopadowego i powstania Węgrów w roku 1849, który spoglądał na nią od dzieciństwa. Polska i Węgry, razem połączone w walce o niepodległość – nic gorszego nie można sobie w 2019 r. w Europie wyobrazić. Cóż zrobić jednak, kiedy w pamięci wielu z nas tkwi jeszcze ten portret wolnego Polaka – namalowany przez prapradziadka pani poseł, Henryka Rodakowskiego. Cóż zrobić? Oddać do narodowej rupieciarni, do archiwum symboli zbędnych i zabezpieczonych?

Może lepiej przypomnieć zamiast tego słowa polskiej arystokratki Karoliny Lanckorońskiej: „Czym jest patriotyzm? – Poczuciem absolutnej przynależności i tym samym pierwszego obowiązku służenia wspólnocie narodu, do którego należę”. „Absolutna przynależność”, „obowiązek służenia” – i do tego „wspólnocie narodu”? Z jakiego ciemnego czasu te słowa pochodzą?

Karolina Lanckorońska wypowiedziała je już w XXI w., w swoim ostatnim wywiadzie z roku 2002. Żyła długo, 104 lata, dość długo i godnie, by mieć prawo do takiego testamentu. Szkoda, że inni, mniej doświadczeni, odrzucają ten testament. I wybierają tradycję „wielkiego świata” z powieści Kraszewskiego. ©©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

OKIEM JASTRZĘBIA

Pocałujcie mnie
w wokandę

Szanowni Państwo, do podłansowania sprawa jest. Głośno może być o nas we wszechświecie, a jak to potem zmonetyzować (idiotyczne słowo, menedżerowie chętnie używają), to się zobaczy. Otóż czarnymi bohaterami światowych mediów, na których dobrze można zarobić, stawały się osoby porywające i przetrzymujące przez lata niewinne jednostki. Tacy kidnaperzy bardzo różni charakterologicznie, psychologicznie, mentalnie.

O tych brutalnych dziwakach kradnących wolność, powstają książki, filmy, reportaże (to się dobrze sprzedaje). Grzebie się w rodowodach kidnaperów, w ich życiorysach, genach i fotografiach, interpretując wszystko, nawet gest najmniejszy, i na serio biorąc słowa sąsiadów: „To taki spokojny człowiek był. Zawsze mówił »Dzień dobry«”. Owo „dzień dobry” ma świadczyć o tym, że „no, kto by się spodziewał”.

Tymczasem mamy w Polsce wielu sędziów, których działania sprawiły, że niewinni ludzie zostali porwani i uwięzieni w więzieniach na baaardzo długo. Niestety, ktoś nie dostrzegł potencjału i ci sędziowie nie są odpowiednio wylansowani. Nie ma w przestrzeni publicznej ich twarzy, nazwisk, rysów charakterologicznych oraz czy mówili „dzień dobry”. Niewymediowani są po prostu.

A przecież taki wywiad rzeka sędziego: „Uwięziłem sobie i możecie mnie pocałować w wokandę” sprzedałby się w milionie egzemplarzy. Być może autor przestałby być

sędzią. Ale kto by mu zabronił być prawnikiem? Przecież nie inni sędziowie chyba? To bardzo skonsolidowane środowisko. No na przykład sędziemu Łączewskiemu sędziowie nie uchylili immunitetu, co minister Ziobro nazwał kastowym myśleniem, a to po prostu taka jakby rodzina jest.

Pewną jaskółką medialną wydaje się być sędzia Maciej Strączyński. Prokuratura twierdzi, że skazał na dożywocie za dwa morderstwa niewinnego człowieka, który gnije za kratami lat 19. Wygląd pana sędziego wskazuje na to, że wysnuć można wielorakie wnioski. I to jest dobry początek lansu. Natomiast ważne są też jego słowa komentujące tę sprawę. Pan sędzia powiedział: „Czy mógłbym skazać człowieka, gdybym miał jakiejkolwiek wątpliwości? Nie ma sędziego, który wydaje wyrok skazujący, gdy ma wątpliwości. Jeżeli nawet mam 99 proc. pewności o winie, to uniewinniam. Muszę mieć 100 proc. pewności i tak było w tej sprawie”.

Pan sędzia ubawił tym stwierdzeniem wszystkich adwokatów, jakich znam, bo każdy polski obrońca wie, że w sądach zasada domniemania niewinności nie obowiązuje, choć powinna, po cichu obowiązuje zaś zasada domniemania winy. Kiedy zasada domniemania niewinności naprawdę powinna zadziałać, sędzia wygłasza formułkę:

„Sąd nie dał wiary”. A z wiarą sądu dyskutować się nie da i niewinni ludzie trafiają za kratki. Książki o wylansowanych kidnaperach dobrze by się czytały. ©©

MARCIN
MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

„Efekt
Wałęsy”

Pierwszy dzień protestu nauczycieli. Pendolino na trasie Kraków–Warszawa, przedział z tzw. strefą ciszy. Wchodzi znany aktor. Siada, wyciąga komórkę i zaczyna. – No, ty masz dzisiaj domowe przedszkole? Dzisiaj protest, nie? Ciekawe, co to będzie – mówi. – Ale by było, gdyby ten rząd wyłożył się na strajkach kolejnych grup zawodowych, bo jeszcze ci taksówkarze w Warszawie doszli. No, jaja by nieźle były – słyszę. Po chwili rozmówca nieco traci na optymizmie. – Ale co z tego, nikt w tym czasie do teatru ani do kina i tak nie pójdzie. W domu będą siedzieć – dodaje.

Pociąg rusza, ale dyskusja o stanie Polski nie ustaje. Ktoś zwraca aktorowi uwagę na przedział, w którym siedzi. – A przepraszam, to ten wagon ciszy jest czy coś. Nie mogę głośno gadać – opisuje sytuację swojemu rozmówcy, zakrywając usta ręką i tłumiąc głos. Po chwili nieco skrzepowany wychodzi na korytarz i kontynuuje debatę do momentu, w którym pociąg opuszcza miasto, po czym, tak jak w każdym pendolino, błyskawicznie urywa się zasięg.

To ciekawe, jak zjednoczoną i nieprzejechaną siłą we wszystkich protestach, które mają choćby cień „antyżądowości”, są wszelkiej maści artyści, aktorzy, wokaliści, celebryci i performerzy. Od kornika i puszczy, wyciniki drzew na Mierzei Wiślanej przez wolne sądy, adoptowanie pszczoł i karpi do ochrony loch prośnych. Za każdym razem z białą kartką na

Instagramie, z napisem wykonanym czarnym flamastrem: „Popieram protest lekarzy rezydentów”, „Popieram protest opiekunów osób niepełnosprawnych”, „Popieram strajk nauczycieli”. I zawsze – tutaj stawiam pewną radykalną tezę i jestem ciekaw, czy się państwo ze mną zgodzą – gdy to poparcie się zaczyna, a od Mai Ostaszewskiej cykl „zdjęć poparcia” dochodzi przez Kubę Wojewódzkiego do Anji Rubik, jak za dotknięciem różdżki czarnoksiężnika poparcie dla protestujących spada. Kto by pomyślał?

Ateraz na poważnie. Nie jest to nawet ironia nieczułego kpiarza, który zatracił wrażliwość na krzywdę ludzką, ale zwykła statystyka. Według badań opinii publicznej okazało się, że moment, w którym protesty osób niepełnosprawnych i ich rodzin straciły na impecie i poparciu, pokrywa się co do dnia z tym, w którym do Sejmu przyszedł „pomoc” Lech Wałęsa. I tutaj dochodzimy do sedna problemu: siłą nauczycieli jest to, że protestują w słusznej sprawie. Pensje w oświacie były i są za małe, a ona sama od 30 lat ugina się pod presją doraźności i braku strukturalnych reform. Jeśli jednak nauczyciele chcą coś realnie osiągnąć i wywalczyć, to muszą uważać na „efekt Wałęsy”. Czyli na podczepianie się pod strajk celebrytów, robienie na nich własnych związkowych karier i rozgrywanie politycznych wojenek. Wierzę, że są tego świadomi. To bardzo mądrzy ludzie – sam kilku z nich wiele zawdzięczam. ©©



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Murem za uczniami

SŁAWOMIR BRONIARZ: „Z tą szkołą mieliśmy wiele kłopotów. Ci uczniowie mają problemy wychowawcze. Zdarzało się, że musieli interweniować ochroniarze. Lepiej, żeby ta szkoła sobie poszła. Poza tym ja muszę zarabiać dla dobra Związku. A nowy najemca daje więcej. To liceum nie jest państwowe. Dyrektor dostaje wysokie czesne, więc nie jest to oświata z misją. Dbamy o nasze szkoły, ale o tę nie musimy”.

Tak 10 lat temu ówczesny i obecny prezes Związku Nauczycielstwa Polskiego bronił swojej decyzji o wypowiedzeniu z dnia na dzień umowy

Jeśli w którejś szkole uda się przepchnąć chory pomysł torpedowania matur, to będzie to moralny koniec Broniarza

najmu lokalu Społecznemu Liceum Ogólnokształcącemu prowadzonemu przez Społeczne Towarzystwo Oświatowe. Szkoła była kameralną placówką chętnie przyjmującą młodzież z różnymi problemami rozwojowymi. Za wynajem 250 metrów płaciła ZNP blisko 7 tys. zł, ale najemca, dla którego Broniarz wyrzucił szkołę, dawał

więcej. I choć negocjacje z firmą trwały kilka miesięcy, to najbardziej zainteresowani dowiedzieli się o tym przed samymi wakacjami i do końca nie było wiadomo, czy szkole uda się znaleźć inne miejsce, aby normalnie rozpocząć kolejny rok szkolny.

„Broniarz działa jak łobuz, który nie ma zahamowań moralnych. ZNP to organizacja quasi-mafijna. Dopóki nauczyciele będą mieli takiego przewodnika, nie wywalczą nic” – żalił się „Gazecie Wyborczej” dyrektor wyrzuconej szkoły. I wcale mu się nie dziwię. Nie jestem tylko pewna, czy prawdą jest druga część tego zdania. Być może właśnie dlatego, że Broniarz nie ma zahamowań moralnych, uda mu się wywalczyć dużo więcej, niż gdyby uwzględnił dobro uczniów, planując strajk w okresie egzaminów i matur. Tymczasem coraz liczniejsze są głosy nauczycieli postulujących sięgnięcie po broń ostateczną i niedopuszczenie uczniów do matur. Niestety, dzięki mobilizacji nauczycieli lojalnych wobec uczniów oraz innych osób zgłaszających się do pomocy przy egzaminach nie udało się bowiem broniarzystom storpedować egzaminów, które już się odbyły. Nie mam pewności, do czego będą

zdolni związkowcy od Broniarza, ale wiem na pewno, że on się dobrem uczniów przejmie tak, jak 10 lat temu przejął się dobrem uczniów wyrzucanej przez siebie szkoły.

Nie mam nic przeciwko temu, aby nauczyciele zarabiali godnie, bo to praca ciężka i niewdzięczna, za to o ogromnym znaczeniu dla tego, jak wygląda Polska. Jeśli dzisiaj wygląda nie tak, jak byśmy chcieli, to także dlatego, że „takie jest młodości chowanie”. Jednak sceny z ubiegłotygodniowego strajku mnie zmroziły. Ubrani na czarno nauczyciele sekujący swoich kolegów, którzy zdecydowali się w dniu egzaminów być ze swoimi uczniami – trudno będzie zapomnieć takie obrazki. Nietrudno sobie też wyobrazić, ile dodatkowego stresu strajkujący w czasie egzaminów nauczyciele zafundowali biednym dzieciakom. Jeśli w którejś szkole uda się przepchnąć chory pomysł torpedowania matur, to będzie to moralny koniec Broniarza. I choć ja mu generalnie takiego końca szczerze życzę, to mimo wszystko nie kosztem uczniów. I nie kosztem tych tysięcy porządnym nauczycieli, którym szkodzi najbardziej. ©©

PODSŁUCHANE

Zero się omsknęło

Grzesiek, nie jest dobrze.

To ja wiem i bez ciebie, Tomek. Ale konkretnie to co się stało?

Przyszły nowe badania w sprawie strajku belfrów. Nasze, niejawne. Odwraca się niestety. Nawet w naszym elektoracie prawie 60 proc. jest przeciw. Trzeba coś z tym zrobić.

No dobra. To tak: żeby nie było, że nagle zmieniamy opinię, to najpierw zróbmy ze cztery dni przerwy. Niech nikt w mediach nie mówi nic stanowczego o strajku. A najlepiej niech o nim w ogóle nie mówi.

A jak będą dziennikarze pytać?

To niech mówią o czymś innym. Na przykład o Macierewiczu, że wariat. Standardowo.

Dobra. A potem?

Potem powiemy, że postulaty słuszne, strajk uprawniony, no,

ale jednak długo trwa, dzieci się denerwują, może pora, by chociaż zawiesić.

A jak w sondażach będzie jeszcze gorzej?

To się powie, że Broniarz nas oszukał. Że nam przysłał pismo, a tam stało, że oni chcą 100 zł, a nie 1000. A może mu się zero omsknęło?

Przecież wyjdziemy na debili.

Eee... A myślisz, że to jeszcze jest jakaś różnica? ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Trochę się boję tej kampanii, bo za jakiś czas zdesperowany Kaczyński zaproponuje pięćset dla każdego myśliwego, który zastrzeli lisa”.

TOMASZ LIS, publicysta, na Twitterze

foto. Jerzy Gumowski



Cwelowanie stolicy

Nie możemy mówić, że to nas zaskoczyło — że spotkała nas przykra siurpriza. Od dobrych paru lat wiedzieliśmy, że zaraza przyjdzie nad Wisłę. Jak mogła nie przyjść, gdy opanowała już całą zachodnią Europę zespoloną z nami więzami brukselskimi? Roznoszą ją po świecie salonowe szczury, które są takie same wszędzie — tam i tutaj. Starają się wymieść Chrystusa zewsząd, krzycząc/szerząc, dla chwały Lucyfera, postępową „tolerancję”, będącą niczym innym jak kultem zboczeń, vulgo: praktycznym wdrażaniem każdej sprofności. Nie mają ani honoru, ani wstydu, ani sumienia, ani żadnych hamulców. Ich żywiołem jest gówno, w którym według nich winien się taplać człowiek.

Ze strategicznego punktu widzenia rozgrywają to szczeniawie, zaczynając od stolicy (centrum państwa) i od dzieci (przyszłość narodu). Uderzenie równoczesne w cały kraj wymaga innych niż aktualne rozstrzygnięć politycznych. Partia Wiosna, aby móc dekretemi upolitypoprawiać całą Polskę na modłę pedalską, musiałaby wygrać wybory parlamentarne, tymczasem partia PO już wygrała w Warszawie walkę o fotel burmistrza, mogła więc wszcząć rozporządzeniami ratusza proces dewiantyzacji grodu stołecznego. Nim minął luty, merostwo warszawskie podpisało program LGBT+ (zwany „*deklaracją LGBT+*” lub „*kartą LGBT+*”), który pod pozorem „*edukacji seksualnej*” maluchów i uczniów wprowadza homoseksualny terror propagandowy do przedszkoli i do szkół (z tzw. „*pełnomocnikiem LGBT*” w każdej placówce edukacyjnej) oraz na ulice (tzw. „*tęczowy tramwaj*”). Szaleństwo? Ależ skąd! — „*There is a method to that madness*”. Krytyczni komentatorzy bezzwłocznie zawyrokowali, że tu nie chodzi o edukację, tylko o perfidną indoktrynację. „*Karta LGBT+*”, podobnie jak standardy seksualnych szkoleń WHO, na których się ona wspiera i z których czerpie, to propagowanie „*norm*” nie normalnych, lecz zboczonych, i nadwartościowywanie (pod przykrywką emancypowania/równouprawniania) erotycznych patologii. Tradycyjne systemy wartości dotyczące sfery intymnej mają zostać zdegradowane gwołi wypromowania wszeteczeństw zgodnych z nihilistyczną doktryną „*poprawności politycznej*” oraz z pełnymi rozpasania wybrykami „*rewolucji seksualnej*”.

Od miesięcy szermuje się w mediach samym inicjałowym logo dewiantów, więc dla przypomnienia tym, którzy zapomnieli, rozwinę skrót L G B T Q: L (lesby), G (geje), B (biseksy), T (transgenderowcy vel trans-

seksualiści), Q (queer — dziwaki, lub questioning — poszukujący). Mają klarowny program: pierwszy etap to jedynie akceptacja ich „*odmienności*”, drugi to przyzwolenie formalne na „*związki partnerskie*” (z całym bogactwem urzędowych praw), trzeci to małżeństwa homoseksualne, czwarty zaś to prawo adoptowania dzieci przez pedałów. A piąty?... Cóż — „*und morgen die ganze Welt!*” („*Horst Wessel Lied*”) alias „*związek nasz bratni ogarnie ludzki ród!*” („*Miedzynarodówka*”). Marzeniem misjonarzy zepsucia, aktywistów LGBTQ, jest nawrócić „*heteryków*” na „*homosio*”, lecz jak pisał sławny pederasta Oscar Wilde: „*Nawrócić innych czasami się udaje, wszakże trudno jest nawrócić siebie samego*”. Tego nie próbują, trwają hardo w okopach pedastwa/lesbijstwa. I niech sobie tam tkwią, lecz wara wyciągać oślizgłe łapy ku niewinnej dziatwie!

Widziałem miesiąc temu szyderczy „*Plan pewnego miasta*”, autorstwa świetnego grafika, Mirosława Owczarka. Były tam: ulica Hańby, ulica Zdrady, ulica Pogardy, ulica Błagi, ulica Hipokryzji, ulica Targowicy, ulica Postpatriotyczna, ulica Wredna, ulica Krętacza, ulica Obelżywa, ulica Parszywa, ulica Podstępna, ulica Wroga, ulica Uzur-

∞
Zmartwychwstały „*Panie nad wiekami*” — *chron nas w tym wieku przed zboczeńcami!*
∞

patorska, ulica Koszałka Pyszałka, ulica Kuby Opluwacza, ulica Łgarza, ulica Gnojów, ulica Zaprzańców, ulica Konformistów, ulica Oprawców, ulica Ćwoków, i podobne, co mi bardzo pasowało do stolicy, której mieszkańcy wybrali sobie platformersko-pedalski ratusz. Ten zaś (prócz „*edukacyjnego*” deprawowania pacholąt) szefową Komisji Kultury w Radzie Miejskiej mianował lewaczkę z Krytyki Politycznej, czyli rozwał bramy przed kontrkulturą (rzeczona baba zaczęła od postulatów, aby MEN zmniejszyły liczbę szkolnych lekcji religii i o żądania, by Wigilia w Radzie Miasta obydwała się bez duchownych).

Ale właściwie dlaczego Warszawa ma nie być pedalizowana i laicyzowana, jeśli nawet rodzimy Kościół jest pedalizowany za zgodą swoich zwierzchników? Czytając wywiad ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego dowiedziałem się, że przewodniczący Episkopatu Polski, abp Józef Michalik, wbrew instrukcji Benedykta XVI, kategorycznie zakazującej przyjmowania homoseksualistów do seminariów duchownych, zezwolił ich jednak przyjmować, vulgo: bezczelnie się sprzeciwił swemu przełożonemu, ziemskiemu Namiestnikowi Chrystusa. To już może niech ich raczej przyjmują do psiami służb specjalnych, czyli tradycyjnie, jak za PRL-u. Znowu ks. Isakowicz-Zaleski: „ — *Bardzo*

często przyczyną werbunku przez SB były czyny homoseksualne (...) Ogromna liczba homoseksualistów, których przyłapano, stała się wierna SB do samego końca. To jest w wielu wypadkach bardzo dokładnie opisane (...) Późniejsza niechęć wobec lustracji wynikała także z tego, że nie chciano ujawniać postaw homoseksualnych”. Na szczęście ujawnia się dzisiaj wyniki statystycznych badań: 80% przypadków pedofilii ma (wbrew rozpaczliwym zaprzeczeniom Salonu) podłoże homoseksualne.

Badania robione tuż po ogłoszeniu „*karty LGBT+*” mówią, że plan wprowadzenia jej do szkół akceptuje 28,4% społeczeństwa, a przeciwnych jest 54,6%. Co tworzy kolejny front domowej wojny między zwolennikami importowania politpostępu łączącego Lechistan z Zachodem, a przeciwnikami tego deprawacyjnego proceduru. Już w XIX w. anonsował taką wojnę Norwid, dowodząc esejem „*Gorzki to chleb jest polskość*”, iż „*unicestwić żadnego narodu nikt nie zdoła bez starannego współdziałania obywateli tegoż narodu*”. Pisze tam: „*Jeżeli więc kto życzy zatracić naród, ten zamąca, wawni dwa żywioły składowe narodu — żywioł łączności z konglomeratem innych narodów i żywioł wyróżnienia — powodując tym sposobem upadek moralny prowadzący umysł narodowy do błędu, jaki otrzymuje się właśnie przez radykalną nieharmonię pomiędzy importacją a suwerennością*”.

Jarosław Kaczyński już oznajmił w imieniu konserwatywnej części narodu, że antySalon podejmie twardą walkę z deprawowaniem dzieci (czyli z owym Norwidowskim „*upadkiem moralnym*” vel „*narodowym błędem*”). Krytykując tę pedalizację również kontrmainstreamowi celebryci, od lidera kapeli Bayer Full, Sławomira Świerzyńskiego, po medalistkę olimpijską w windsurfingu, Zofię Klepacką, perswadującą, że jej dziadek „*nie o taką Warszawę walczył w Powstaniu!*”. Ale z przeciwnej strony barykady dudni wspierający „*kartę LGBT+*” jazgot platformersów (różnych Neumannów i im podobnych), zaś burmistrz Pedalero (który chce być równie sławny jak nasz mediołański „*Pistolero*”) rwie się publicznie do udzielania ślubów pederastom. Tak to jest: „*Gdy pozwalasz mnożyć się robactwu, rodzą się prawa robactwa, oraz piewcy, którzy będą je wysławiać*” — pisał Saint-Exupéry w „*Twierdzy*”. Trzeba uczynić Warszawę twierdzą antypedalską — „*Festung Warschau*” — jeśli chcemy mieć „*WARSZAWĘ WOLNĄ OD PEDALSTWA!*” (jak banerowo apelowali kibice Legii). Rodzice winni głosować małymi nóżkami, nie posyłając swych brzdąców na lekcje pederastii i transgenderu, a także demonstrować kontrsodomicko przed ratuszem. Jak to nie pomoże, wznieciemy silniejszy bunt.

„*Zbokom*” precz! ©©

Waldemar Łysiak



PARTNER
STRATEGICZNY
VII EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI

2019

